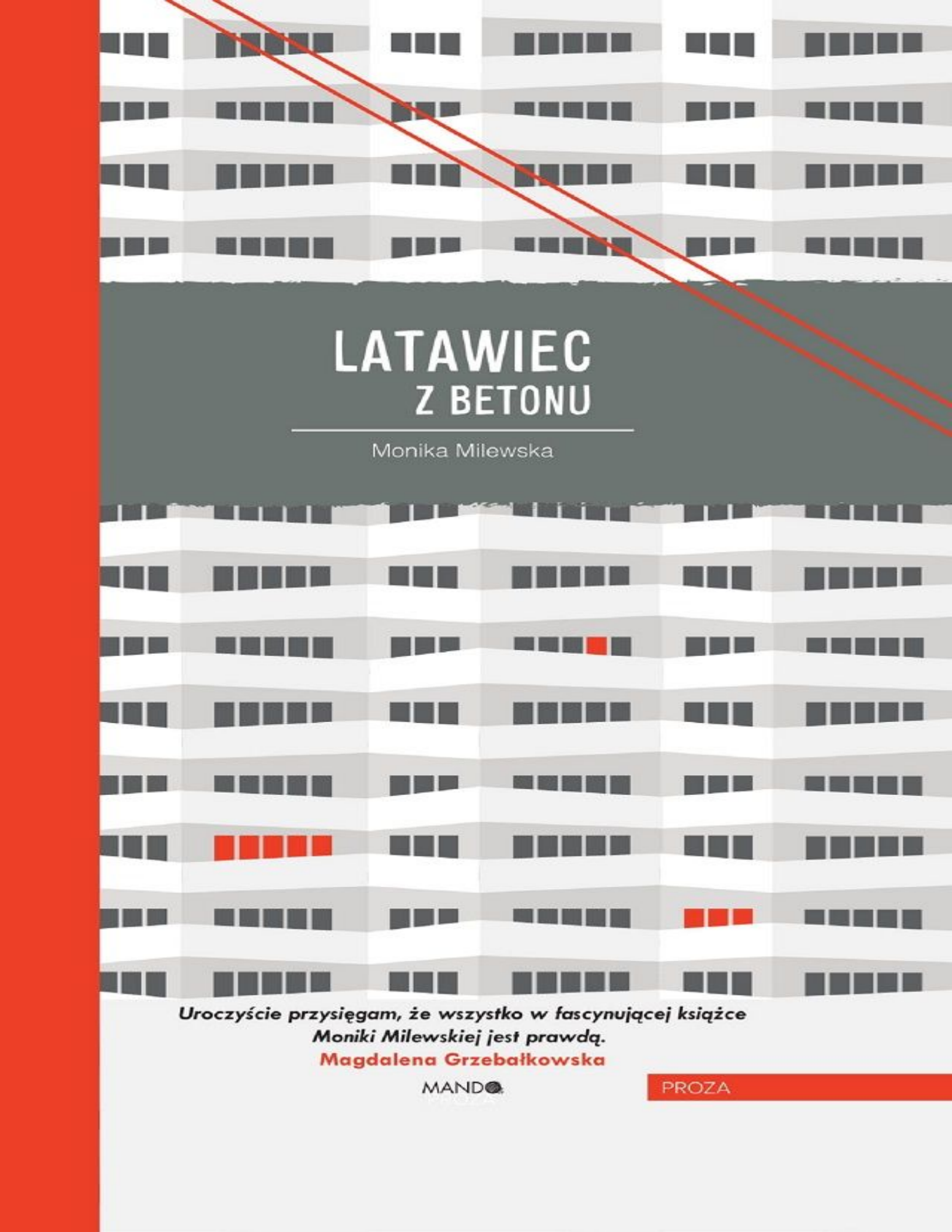




LATAWIEC Z BETONU

Monika Milewska

*Uroczycie przysięgam, że wszystko w fascynującej książce
Moniki Milewskiej jest prawdą.*

Magdalena Grzebałkowska

MANDA

PROZA

LATAWIEC Z BETONU

Monika Milewska

MANDO 

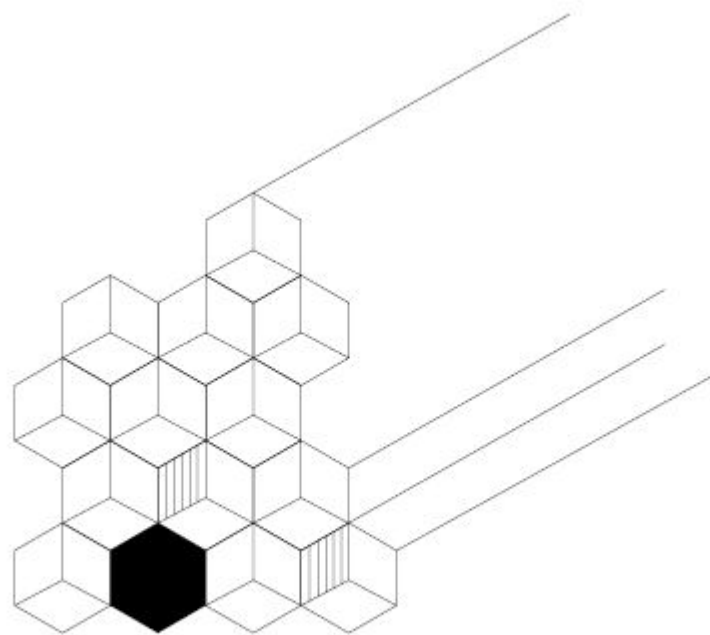
GENESIS

Na początku była łąka.

Na łące tej przez stulecia pasły się krowy, w nieskończoność przeżuając długie źdźbła słonej od morskiego wiatru trawy. Dojrzałe mlecze obracały się w ich żuchwach jak słońce na podniebieniu świata, a wahadła ich ogonów odmierzały kolejne wieki. I tak już być miało.

Ale w niedalekiej Oliwie cystersi postavili kościół. I zbiesił się diabeł, i chwycił kamień, by nim zdruzgotać wieże oliwskiej katedry. Kiedy leciał nad łąką, usłyszał dzwony. Czy to cystersi dzwonili na jutrznię, czy to łąka biła tysiącami swoich dzwonek na trwogę, nie wiadomo. Dość, że diabeł kamień upuścił, a głaz zarył w ziemię. Podlewały go deszcze słone i kwaśne, aż po wielu wiekach z kamienia-nasienia zaczął rosnąć dom. I rósł ten dom diabelski, urągając niebu. A kiedy wyrósł na pół mili i zaczął łaskotać chmury, Pan wyszedł zza obłoków i rzekł doń: „Żeś wyrósł z czarciego nasienia, to jako ten wąż kamienny na brzuchu czołgać i wić się będziesz”. I upadł dom, i wić się zaczął wśród prochu.

Kiedy przyszli pierwsi ludzie – rybacy, pasterze i dokerzy – nie wiedzieli, że z dziełem diabła mają do czynienia. Myśleli, że to wiatr od morza tak ten dom pofalował, że wije się w pyle i kurzu budowy. I nazwali go falowcem. I zamieszkali w nim.



SEGMENT PIERWSZY

KLATKA A

Inżynier po raz setny poprawił słuchawkę. Na masywnym szarym korpusie telefonu wyglądała jak martwy hipopotam. Odruchowo dotknął leżącej obok niebieskiej papierowej paczki z wymiętym napisem „Caro”. Od godziny tkwił w niej ostatni papieros.

„Wypalę go po – powtórzył w myślach i zawahał się. – A może On poczęstuje mnie gauloisami? Francuzi zawsze mają przy sobie gauloisy”. Tylko właściwie jakich on znał Francuzów? Paru robotników budowlanych i dwóch architektów, z którymi na delegacji w Lipsku obalił pół napoleona. „On nie nosi przy sobie gauloisów, tak jak królowa angielska nie nosi portfela”.

Telefon wciąż milczał.

„Tak, ten papieros przyda mi się po”.

Znów wyszedł na balkon.

„Jakiś kichowaty taki. Innym zaprojektowałem lepsze. A właściwie dziwny pomysł z tą przejażdżką. Kto na to wpadł? Pewnie jakiś kretyń z Komitetu Wojewódzkiego. Tramwajem się chcą pochwalić, jakby w Paryżu nie było dość tramwajów. A może On się boi wsiąść do naszej

czarnej wołgi? Ha ha! No dobrze, skupmy się. Trzeba jeszcze raz powtórzyć. Budowa trwała trzy lata. Każdy z czterech segmentów powstawał oddzielnie i każdy był oddzielnie zasiedlany. Łącznie budynek liczy szesnaście klatek, każda klatka średnio 110 mieszkań, co daje ogółem 1792 mieszkania. Blok ma jedenaście kondygnacji. Jego wysokość to trzydzieści dwa metry, szerokość – trzynaście metrów. I wreszcie rekordowa długość – 860 metrów, co plasuje go na drugim miejscu po wiedeńskim Karl-Marx-Hof. Jednak tamten proletariacki dwór nie faluje. Efekt falowania uzyskaliśmy za pomocą ustawienia prefabrykatów pod różnym kątem. Ta nowoczesna architektura stworzona została z myślą o naszej przodującej klasie robotniczej oraz o inteligencji pracującej, których przedstawiciele dla dobra socjalistycznej ojczyzny integrują się w tym wielkim wspólnym domu”.

Z każdym zdaniem rosła w nim duma. „Ha, może zacząć bardziej patetycznie? Na przykład tak: «Tu, gdzie jeszcze niedawno pasły się krowy, zbudowaliśmy najdłuższy falowiec Europy»”.

Telefon wciąż milczał.

„A może Go to zaboli? Że to u nas powstał najdłuższy, nie u niego. A niech Go zaboli, niech nie śpi całą noc. A następnego dnia znów zadzwoni telefon: «Słuchajcie, towarzyszu, prezydent Francji chce podpisać z wami kontrakt. Macie mu w Normandii wybudować falowiec. Jeszcze dłuższy niż nasz». «Dłuższy? Przecież to zdrada socjalistycznej ojczyzny». «Nie martwcie się, jak wrócicie, to u nas postawicie jeszcze dłuższy. A jak was znowu wezwie, to znowu wrócicie. I tak w kółko, aż całą Normandię i całe nasze Wybrzeże zabudujecie tymi swoimi falowcami». Ale kto by tam wracał z kontraktu we Francji? Tam nawet robociarze palą gauloisy”.

Znów podszedł do stolika, na którym leżał milczący telefon. Może aparat jest wadliwy? Zamontowano go dopiero wczoraj, w związku

z przyjazdem prezydenta. Gdyby nie Jego wizyta na Przymorzu, inżynier musiałby czekać na przydział telefonu dobrych kilkanaście lat.

„Żeby tylko żaden z sąsiadów nie dowiedział się o tym. Zaraz ktoś będzie chciał zadzwonić – a to po pogotowie, a to na międzymiastową. Moje mieszkanie stanie się jedną wielką budką telefoniczną. «Proszę czekać, będzie rozmowa z ciocią z Ozorkowa». Niedoczekanie. Niech jadą na Poczta Główną do Gdańska. W końcu po coś otwarto tę cholerną linię tramwajową. Nie, tę linię też otwarto tylko na Jego przyjazd. Jutro ją znowu zamkną, bo wszystko niegotowe. Nasypy, podkłady – prowizorka. Może wykoleił się na tych potiomkinowskich szynach i dlatego Go nie ma?”

Inżynier poprawił słuchawkę i wyszedł na balkon. Spojrzał w dół i głęboko odetchnął.

„On to musi zobaczyć. Każdy to musi zobaczyć”.

Wyglądało to tak. Najpierw pocztówkowe niebo, biały szlaczek drobnicowców na redzie, ciemnoniebieska farbka morza i głęboki cień lasu. A potem łąka pełna kolorowych chwastów i żółtych motyli. Motyle nie dolatywały na dziesiąte piętro. Niósł się tam tylko pył z niezakończonej budowy. Ale właśnie ta budowa była widokiem, który zapierał dech w piersiach przechylonego przez balkonowe kratki mężczyzny. Porzucone betonowe płyty, rozkopane kwadraty ziemi, które z nieznanych przyczyn wciąż nie mogły zamienić się w trawniki, zardzewiałe łopaty wbite w porośnięte samowolnie trawą hałdy, mozaiki gruzu i piasku – wszystko to budziło w budowlańcu najczulszy ojcowski zachwyt. Zachwyt nad upaprannym, nieporadnym – ale własnym – niemowlęciem. To niemowlę leżało w białym, prążkowanym beciku o długości 860 metrów. Cudowną regularność prążków najlepiej było podziwiać z dołu od strony galerii. Znajdujące się po drugiej stronie balkony przypominały raczej wzburzone fale z betonową pianą na grzbietach i metalowymi prętami w załamaniach.

Ogromne białe rozhukane morze ciągnęło się aż po horyzont, aż po linię tramwajową, którą z lepszego świata miał przyjechać On.

Huk był przez długie lata dosłowny. Kiedy inżynier wprowadzał się do pierwszego członu, trwała budowa kolejnych. Wielkie skrzypiące żurawie kiwały głowami od rana do wieczora, przenosząc w dziobach żelbetowe żdźbła do nowego gniazda, a betoniarki całymi dniami mamrotały swoje monotonne mruczanki. Teraz też jedna jeszcze, może już tylko z przyzwyczajenia, obracała się jak bąk, brzęcząc coś owadziim basem. W pewnej chwili jej brzęczenie stało się bardziej wyraźne, dźwięk zaczął być przenikliwy i urywany.

„Telefon!” – pomyślał mężczyzna i rzucił się w kierunku słuchawki.

– Mówi Bulwa z Komitetu. Prezydentowi bardzo podobało się wasze dzieło.

– To On tu jest?

– Nie, odjechał już na to nowe lotnisko w Rębiechowie.

– Dlaczego nie zadzwoniliście wcześniej? Miałem Go oprowadzić po całym falowcu.

– Prezydent nie wyraził na to chęci. Popodziwiał z okna i pojechał aż na pętlę. Bardzo zainteresowały go nasze nowe tramwaje. Czy wiecie, towarzyszu, że w Paryżu nie ma tramwajów? My też nie wiedzieliśmy. Niby taki Zachód... No to do usłyszenia. Jak będzie coś ważnego z Komitetu, zadzwonimy do was.

Inżynier wyszedł na balkon. Drżącymi palcami wyjął z paczki ostatniego papierosa. Gdy próbował go zapalić, papieros wymknął mu się z ręki i – rozżarzony – poszybował dziesięć pięter w dół.

KLATKA B

Inżynier obudził się rześki i niezwłocznie przywitał się ze sobą w łazienkowym lustrze. Wciąż wyglądał młodo, choć na jego fasadzie pojawiły się ostatnio drobne spękania zmarszczek. No cóż, 1 września skończył lat trzydzieści pięć i poświadczająca jego młodość legitymacja Związku Młodzieży Socjalistycznej utraciła swoją ważność bezpowrotnie. Namydlił pędzel i wprawnym ruchem włożył żyletkę do maszynki. „Przecież i tak nie mógłbym pojechać na ten kontrakt” – pomyślał, rozcierając na twarzy pianę.

Rok temu uciekła od niego żona. Wyjechała do matki, Niemki, do RFN-u, zabrała dzieci. Zabrała też mężowi nadzieję na paszport. „Nie wypuszczą mnie na Zachód nawet po żyletki”. Z westchnieniem spojrzał na puste pudełeczko. Podobnie jak w całym kraju, w jego domu dawało się odczuć coraz więcej przejściowych braków. „Czy lodówka też już jest zupełnie pusta?” – próbował sobie przypomnieć, wpatrując się w lustrze w swoją mlecznobiałą brodę. Dziewczynki, kiedy były małe, lubiły ściągać mu z twarzy pianę i chichotały, nazywając go „tatą Mikołajem”. To było dawno. W innym życiu. Rok temu.

Z przedpokoju dobiegło go pukanie. Właściwie nie pukanie, a walenie w drzwi. „Kto się tak dobija, przecież jest dzwonek...”. Złe przecucie chwyciło go za gardło. Przetarł ręcznikiem twarz. Kiedyś, gdy był młodym chłopakiem, takie walenie mogło znaczyć tylko jedno. „Chyba nie uznali, że jestem dywersantem? Spokojnie, mamy połowę lat siedemdziesiątych, a za budowę dostałem medal. Wszystko za chwilę się wyjaśni”.

Pokryty pianą ręcznik rzucił na umywalkę, szybko naciągnął na siebie koszulę i z biciem serca otworzył drzwi. Na galerii stała baba.

– Świeże jajeczka. Prosto łód kury.

Inżynier wściekły trzasnął drzwiami. Walenie odezwało się po raz wtóry, więc zrezygnowany ponownie je uchylił.

– Nie chcecie jajeczek? Z własnego chowu. Łostał mi się akurat tuzin.

Wizja pustej lodówki przeważała.

– Biorę.

– Łoj, widzę, żeście cosik markotni. Może mlichko wam by się zdało? Świeżuśkie, prosto łód Krasuli.

Tu baba trafiła w słaby punkt. Ciepłe wspomnienie mleka z dzieciństwa rozlało się w duszy inżyniera.

– Ze wsi? – zapytał, przełykając ślinę.

– Nie, łode mnie. Dobrze, balkonowe. Chodźcie ze mną, to wam dam kankę. Bliziuśko mieszkam. W sąsiedniej klatce.

– Dobrze, tylko włożę buty.

– A na co tam, kochaniuśki, buty. Tu wszystkie ludzie w papuciach do nas lizą.

Odruchowo spojrział na jej nogi. Baba miała na sobie wysokie, uwalane błotem gumofilce. Zapłacił za jajka, schował je do lodówki, zamknął drzwi od domu na klucz i podążył za swoją przewodniczką. Przeszli razem kilkanaście metrów odkrytą galerią, z której wchodziło się bezpośrednio do mieszkań sąsiadów. Potem baba pchnęła ciężkie drewniane drzwi i oboje znaleźli się na klatce schodowej. Klatka była obszerna i pusta. Nie było na niej nawet wejścia do windy, bo winda na dziesiąte piętro nie dojeżdżała. Za to oszczędnościowe rozwiązanie inżynier dostał specjalny dyplom. Zachęcony sukcesem, dalej ulepszał swój projekt. Sypnęły się kolejne pochwały. A potem przekleństwa mieszkańców. Winda zatrzymywała się co

dwa, trzy piętra. W skali budynku dawało to oszczędność wielu drzwi z deficytowego szkła i metalu. A naród, oszczędzając cenny mechanizm i zrzucając z siebie zbędne kilogramy, stawał się dla państwa coraz mniejszym ciężarem.

Baba z całej siły pchnęła kolejne drzwi. Weszli na sąsiednią galerię.

„Jakoś tu chłodniej – pomyślał inżynier. – Słońce pada pod innym, jakby jesiennym kątem. Ciekawie to zaprojektowałem”.

Baba zaczęła stukać w kuchenne okienko.

– Józek, łotwieraj. Letnika ci przyprowadziłam. Mlika chce.

Drzwi otworzył wąsaty chłop w kufajce i wysokich gumiakach.

– Co ty, kobieto, gadasz. Jesień już. Letnicy wyjechali.

– Ale ten chce mlika.

– To sama wydój. Ja nie mam kiedy. Miłka się oprosiła.

– Ło, Jezu! – pisnęła z radości baba i zniknęła w czeluściach małego pokoju.

„To ten sześciometrowy” – pomyślał nie bez dumy inżynier. Za ten pokój też otrzymał dyplom. Chłop zdawał się czytać w jego myślach.

– Za mały dla człowieka, tom z niego chlewik zrobił. Ledwie jedna świnka się zmieściła. A tera trza będzie siedem trzymać.

Baba wychyliła głowę z chlewika.

– Nie frasuj się, Józek. Troszkę podtuczysz i na pniu sprzedasz. Ja ci mówię, że łogonek po wieprzki będziesz miał przez całą galerię, aż do ostatniej klatki. No, co tak stoicie, kochaniuśki? Wejdźcie do izby.

Inżynier przestąpił w kapciach kilka kroków i... runął jak długi.

– Gdzie łone, cholery, znoszą te jajka! – usłyszał nad sobą głos gospodyni. Kiedy podniósł głowę, zobaczył małe świdrujące oczka. Między nimi żarzył się na czerwono grzebień. Wielki, nakrapiany, jesiennobarwny

kogut stanął na straży własnego terytorium. Najpierw uniósł z lekka jedno skrzydło i zaczął machać nim miarowo, jakby odliczał znokautowanego już przeciwnika. Ponieważ przeciwnik ani drgnął, kogut postanowił ogłosić swoje zwycięstwo. Stanąwszy na palcach, wygiął kogucią sylwetkę i tryumfalnie zapiał.

– A pójdziesz stąd, sio!

Odsiecz uzbrojona w ścierkę wybawiła zmartwiałego ze zgrozy inżyniera.

– Nic się wam nie stało?

Gospodarz pomógł mu wstać. Dopiero teraz mężczyzna zobaczył, gdzie trafił.

Lwią część dużego pokoju zajmowało wielkie drewniane łóżce, na którym piętrzyły się stożkowe góry haftowanych poduszek. Nieotynkowane ściany zdobiły święte oleodruki, pouczające makatki, malowanki na szkle i ptaszki wystrugane z drewna.

„Skansen” – pomyślał inżynier i spojrzał w stronę okna. Na karniszu równym rzędem siedziały żywe kury.

– To od nich te jajka? – spytał.

Baba uderzyła w lament.

– A co było robić? Ziemię zabrali, że niby łosiedle majstrować będą. Wszystko na zatracenie szło, to chciałem choć coś z gospodarki łocalić. Wzielim świnkę, krówkę, co było w kurniku i zabrałem to tutaj, do tego waloneca.

– Faloneca – poprawił ją chłop.

– No mówię, że walonec. My tu kwaterunek dostalim.

– Nie gadaj, matka, jak nie wiesz. My tu są spółdzielcy, do spółdzielni nas zapisali. A z tym „walońcem” to masz, babo, rację, bo tu wszystko się wali. Żadna ściana prosta nie jest. I bez tynku je oddali, jak w jakiej oborze.

– Ło Boże, ło Boże! Jaka u nas piękna chata była, calusia drewniana. I krówek było tyle, pasalim je tu, na tych łąkach, a tera się ino Krasula łośtała.

– Tego, co to ten walonec wymyślił, to ja bym na dożywocie skazał. Niech tu do koniuszka swego życia mieszka. Może by od tego rozumu nabrał. Wszystko tu głupie, a najgłupsza ta winda, co się co niektóre piętro zatrzymuje. A ciasna, że się ledwie baba z chłopem pomieści. I to w takim ścisku, że dzieciaki z tego być mogą. A dzieciaki już się w windzie nie zmieszczą. I co będzie?

– Nasza Krasula też nie wlizła. Musielim ją dziesięć pięter na górę na postronku ciągnąć. Ledwie nam ducha na tych schodach nie wyzionęła.

– Cichaj, matka. My tak gadamy, a pan nic. To nie po chrześcijańsku tak gościa zagadać. Dawno tu mieszkata?

– Trzy lata – inżynier nerwowo przełknął ślinę.

– No, to wy tu stary gospodarz! A my się tu dopiero niedawno sprowadzilim. No i jak się wam tu żyje?

– No cóż, mnie mieszka się dobrze. Ale rozumiem, że nie każdemu musi to odpowiadać. To bardzo nowoczesna architektura. Można powiedzieć na miarę XXI wieku.

– Jak ten XXI wiek ma być taki jak ten poroniec, to lepiej go nie doczekać. Matka, daj nam mlika!

– Nie drzyj się, Józek, idę doić.

Baba otworzyła drzwi balkonowe z góry na dół zasłonięte słomianką. Do pokoju wsunął się ciekawski łeb Krasuli. Tego już inżynierowi było za wiele.

– Dostaliście zezwolenie na trzymanie zwierząt gospodarskich w domu?

– A kto by się tam kogo pytał? U siebie my są, na swoim.

– To może jeszcze w łazience macie staw rybny? – zakpił inżynier.

– Jakbyście zgadli. Zajrzyjta tam sami.

Gość nie dał się dwa razy prosić. Otworzył drzwi łazienkowe. W niedużej wannie pływało kilka młodych karpi. Spojrzały na intruza wybałuszonymi oczami. Chłop nie krył dumy.

– Podkarmi się je chlebem, to na wigilię będą jak złoto. Już się sąsiedzi na karpie zapisują. Zapisać was?

– Nie, dziękuję – inżynier już tylko kombinował, jak czmychnąć z tego dziwnego świata. – Za wcześnie myśleć o wigilii.

Machinalnie spojrział na wiszący w przedpokoju kalendarz. 21 października 1976 roku. Za bardzo go nawet nie zdziwiła ta oderwana od rzeczywistości, październikowa data. Krasula mogła przecież wyjść z kalendarza kartka po kartce tych kilka dzielących ich od października miesięcy. Ale gdzie, u licha, ci prości ludzie zdobyli kalendarz na przyszły rok? Teraz, w czerwcu, na pewno nie było go jeszcze w dystrybucji. Pożegnał się pospiesznie i – bez mleka – wrócił na swoją klatkę. Przywitało go czerwcowe słońce.

Natychmiast zaszył się w swojej sześciometrowej pracowni. W pokoju mieściły się tylko: zaniedbany asparagus na drewnianym stojaku oraz zawalone papierami biurko. Nad biurkiem w kilku rzędach wisiały dyplomy. Wśród nich ten za „racjonalizację w dziedzinie użytkowania windy osobowej”. Inżynier zawzięcie liczył coś według wzoru. Potem podsumował wynik na wielkim elektrycznym kalkulatorze i... złapał się za głowę.

„Natychmiast muszę biec do spółdzielni. No tak, ale przedtem powinienem założyć krawat, marynarkę, ogolić się. Przecież nie zdążyłem się ogolić... Lepiej będzie, jak zadzwonię”.

Szary hipopotam drzemał na stoliku w dużym pokoju. Inżynier wyciągnął z teczek notes i pod literą „s” znalazł numer do spółdzielni.

Zagłębił palec w tarczy telefonu i wykręcił kolejno pięć cyfr.

– Dzień dobry. Tu mówi główny projektant falowca. Chciałem zgłosić zagrożenie katastrofą budowlaną.

– Pan się do kasy dodzwonił. U nas katastrofa *non stop*.

– A mogłaby mnie pani połączyć z panią Basią?

– Pani Basia akurat u nas kawkę pije. Już ją daję.

– Dzień dobry, panie inżynierze. Koleżanki mówią, że w falowcu jakaś katastrofa?

– Jeszcze nie, ale w każdej chwili może się wydarzyć. W pierwszym segmencie w lokalu 103 w klatce B sąsiedzi trzymają na balkonie krowę.

– Krowę? Pan żartuje! Słyszałam już o kurach, królikach, nawet o prosiaku na balkonie. W falowcu zamieszkało wielu chłoporobotników z okolicy, więc trudno im się rozstać z żywym inwentarzem. Ale krowa? Od takiego ciężaru chyba zarwałby się balkon.

– Ma pani stuprocentową rację. Przed chwilą to policzyłem. Balkon nie utrzyma ciężaru krowy.

– Ale mimo to ona tam jest?

– Tak. W mieszkaniu jest też i świnka z sześcioma prosiętami, i staw rybny w łazience...

– O, to pewnie można u nich karpia na wigilię załatwić?

– ...i kurnik w dużym pokoju. Tym powinien się zająć sanepid.

– Dobrze, sprawdzimy to. A pan inżynier dzwoni z biura projektowego?

– Nie, cały czerwiec jestem na zaległym urlopie.

– To skąd pan dzwoni? Z budki?

– Nie, już nie muszę. Od dwóch dni mam własny telefon. Tylko proszę o dyskrecję. Nie chciałbym, żeby ktoś z sąsiadów się dowiedział.

– Rozumiem. Nie dadzą panu żyć. Jaki tam jest numer? Jutro do pana oddzwonię.

Inżynier odłożył słuchawkę z ulgą. Poczuł, że tym donosem spełnił swój obywatelski obowiązek i zasłużył na jajecznicę z pięciu jaj.

Otworzył lodówkę, by je wyciągnąć i... zdziwiony cofnął rękę. Lodówka była pusta.

KLATKA C

Obudził go telefon.

– Panie inżynierze, wszystko sprawdziliśmy. W lokalu 103 jest pustostan.

– Jaki pustostan? – próbował otrząsnąć się z resztek snu.

– Zwykły. Pusty. Pus-to-stan – pani Basia umilkła na chwilę, zerkając zapewne na zegarek. Była jedenasta. – Tak wynika z papierów. Ale ja papierom z zasady nie ufam. Wysłałam więc dziś o siódmej rano komisję. I stwierdzili to samo. Lokal jest niezamieszkały. Nawet ściany nie są jeszcze otynkowane.

– To się zgadza. Ściany były nieotynkowane. Może to są dzicy lokatorzy?

– Wręcz przeciwnie. Na to mieszkanie jest już od dawna przydział. To mieszkańcy nie chcą się wprowadzić.

– Dlaczego?

– Mają małe gospodarstwo tam, gdzie w przyszłym roku powstaną te nowe bloki. Dostali już nakaz eksmisji, ale zaparli się i ciągle siedzą na swoim. A, i rzeczywiście kilka krów mają na stanie, ale żadnych balkonowych.

– Dziękuję. To był tylko taki test, czy jesteście czujni. Wie pani, że falowiec to moje ukochane dziecko.

– Nasze też, panie inżynierze. Mam nadzieję, że test zdaliśmy dobrze. A swoją drogą, to dziwna historia z tą rodziną. Inni chłopci aż się palili, żeby zamieszkać w falowcu. To dla nich awans społeczny: już nie stara chałupa,

ale mieszkanie w nowym bloku, drzwi w drzwi z nauczycielem, lekarzem, inżynierem. A ci? Podobno widłami przegonili urzędników.

– Tak, rzeczywiście dziwna historia.

Po skończonej rozmowie inżynier wyszedł na balkon. Brakowało mu tchu. Co to było? Sen, przywidzenie, początki schizofrenii? Może wciąż nie doszedł do siebie po ucieczce żony? A może tylko pomylił numer lokalu? Nie, to obłąd. Dorosła mleczna krowa spadłaby razem z balkonem. Rzucił okiem na pobliską klatkę. W miejscu, w którym komisyjnie stwierdzono brak krowy, zza betonowego parawanu wystawał zakrzywiony róg. Inżynier udał, że go nie widzi. Matematyce zawsze ufał bardziej niż własnym zmysłom.

Odwrócił głowę i spojrzał dalej, na następną klatkę. Jego wzrok przykuła nowa dekoracja. Zwykle to właśnie inżyniera – po starej znajomości – spółdzielnia prosiła o projekty okolicznościowych dekoracji dla falowca. „Chyba przegapiłem jakąś ważną datę. Co to? Zjazd Partii? A może czyn społeczny?” Jeden z balkonów na dziesiątym piętrze ozdobiony był niedużym portretem, nieznanym emblematem i chorągiewkami. Wśród tych ostatnich brakowało tej najważniejszej, czerwonej. Były za to biało-żółte i biało-niebieskie. „Może to jakieś branżowe kolory? – kombinował inżynier. – A to godło ze skrzyżowanymi kluczami i dziwnym kaskiem? Związek metalowców?” Nad emblematem udało mu się odczytać napis: „Witamy”. „Kogo to wita klatka C? W administracji pewnie będą wiedzieć”. Nie, po dzisiejszej wpadce inżynier wołał już nie dzwonić do pani Basi. „Sam się dowiem” – pomyślał, zerkając ukradkiem na wystający z betonowej obory róg.

Drzwi do klatki B były wyjątkowo ciężkie. Jakby ktoś zaparł się po drugiej stronie i nie chciał wpuścić intruza. Dopiero po chwili mocowania się inżynier pojął, że uprawia zapasy z wiatrem. Wiatr też był jego dziełem.

Zrodził się z falowca, z ogromnej bryły, która przecięła powietrze. Blok zagroził wiatrowi drogę, więc wiatr wpadł w złość i z całym impetem uderzał w betonowe galerie, aż spiętrzył na nich fale. I odtąd byli nierozdzieloną parą: falowiec i wiatr, który już na stałe zamieszkał na galeriach i w przejściach pod budynkiem, gdzie zrywał kapelusze nieostrożnym przechodniom.

Tak opowiadał tę historię swoim córkom, ustawiając na stole pudełko zapalek. Dziewczynki wydymały usta i dmuchały z całych sił. Pudełko ani drgnęło. Od tego w końcu był inżynierem, by jego konstrukcje opierały się wiatrom.

– Tato, to ty stworzyłeś wiatr? – zapytała kiedyś starsza córka.

– Tak, córeczko.

– Po co?

– Żebyście mogły puszczać latawce.

– Ale my nie mamy latawców.

– Kiedyś wam je zrobię. Jak skończę budować falowiec.

– Ja nie lubię wiatru – powiedziała młodsza.

– Dlaczego?

– Bo nam porywa tatę – zawołała starsza. – Porywa na cały dzień i nie mamy z kim się bawić w klocki.

Inżynier mocniej szarpnął drzwi. Szybko pokonał wietrzną i mroczną galerię klatki B. Klatka C przywitała go, o dziwo, czerwcowym skwarem. „Czyżby tak mała różnica kąta nachylenia mogła tak bardzo zmieniać warunki atmosferyczne na poszczególnych galeriach? Warto to przedyskutować z jakimś fizykiem. Może z Antkiem? Nie widziałem go od czasu studiów. Podobno też mieszka w falowcu. Tylko gdzie? Tu jest 1790 mieszkań. I tylko jeden sklep mięsny. Gdyby tu mieszkał, na pewno spotkalibyśmy się w kolejce. No tak, w tej klatce też nikogo nie znam.

Kogo więc spytam, po co te wszystkie dekoracje, czyj to portret i w jakiej sprawie wisi?”

Wybór mieszkania okazał się nadzwyczaj prosty. W jednym z wychodzących na galerię okien inżynier ujrzał dekorację w miniaturze. Plastikowe narcyzy, białe-żółte chorągiewki i obrazek w tandetnej złotej ramce. „To chyba papież – inżynier rzadko zaglądał do kościoła. – Ale jakiś inny, zmieniony. Jak się nazywa obecny papież? Paweł VI? Niby tak samo ubrany, ale zupełnie niepodobny”.

Inżynier nacisnął dzwonek do drzwi. Otworzyła mu starsza, uśmiechnięta pani.

– Przepraszam, że przeszkadzam. Chciałem tylko...

– Proszę wejść, ale szybko. Właśnie wylądował.

Zaprowadziła inżyniera do dużego pokoju. W pomieszczeniu panował półmrok. Żaluzje zazdrośnie broniły dostępu czerwcowemu słońcu. Kilka wytartych ciemnozielonych foteli i okulałych bordowych krzeseł stało na baczność przed miodową meblościanką z czeczotki. W jej centrum fałszywymi kolorami rozbłyskał wielki radziecki rubin.

– Niech pan tu usiądzie – gospodyni wskazała ostatni wolny fotel.

Kilka osób w różnym wieku skinęło przybyszowi głową. Poczuł, że panująca w pokoju cisza nie jest zwykłą ciszą. Była to cisza nabożna, a półmrok był półmrokiem kaplicy. Zrozumiał, że musi ulec temu nastrojowi i nie wolno mu zadawać żadnych pytań. Usiadł więc pokornie w wystrzępionym fotelu i zapatrzył się w ołtarz radzieckiego telewizora. W nim znalazł odpowiedź na wszystkie pytania.

Na ekranie ukazał się człowiek w bieli. Zstąpił z białego jak on samolotu i ukląkł na ziemi, by ją ucałować. Twarz miał jasną, pogodną. Ręce wznosił raz po raz do góry jak prorok. Albo gwiazdorz. Głos miał donośny i pewny. I mówił po polsku.

– Umiłowani Bracia i Siostry! Drodzy Rodacy! Ucałowałem ziemię polską, z której wyrosłem. Ziemię, z której wezwał mnie Bóg – niezbadanym wyrokiem swojej Opatrzności – na Stolicę Piotrową w Rzymie. Ziemię, do której przybywam dzisiaj jako pielgrzym. Pozwólcie więc, że zwrócę się do was, aby pozdrowić każdego i wszystkich tym samym pozdrowieniem, którym w dniu 16 października minionego roku pozdrowiłem zebranych na placu św. Piotra w Rzymie: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Witam w duchu i obejmuję sercem każdego człowieka żyjącego na polskiej ziemi. Dziękuję wam, że temu Polakowi, który dzisiaj przybywa „z ziemi włoskiej do polskiej” towarzyszy na progu jego pielgrzymki po Polsce ta melodia i tekst, w którym stale dochodziła i dochodzi do głosu nieustrudzona wola życia narodu: „póki my żyjemy”. Pragnę, ażeby mój pobyt w Polsce przysłużył się również tej nieustrungionej woli życia moich rodaków na ziemi, która jest naszą wspólną Matką i Ojczyzną. Niech was błogosławi Bóg wszechmogący: Ojciec i Syn, i Duch Święty. Bóg zapłać!

Gospodyni podniosła żaluzje, wpuszczając czerwcową światłość. Goście zegnali się rozpromienieni, jakby światło biło nie z okien, ale z nich samych. Dopiero gdy znikli za drzwiami, starsza pani zauważyła obecność inżyniera.

– Tak to jest teraz z tymi telewizorami. Psują się w najbardziej nieodpowiednim momencie. Mojej sąsiadce – tej, która siedziała z dziećmi pod oknem, akurat wczoraj wybuchł rubin. Jakby w nim jakiś diabeł siedział. Wiem, wiem, co pan chce powiedzieć: że to żadna nowina, że rubiny wybuchają tak często, że można by je kupować zamiast sztucznych ogni na sylwestra. Ale ten jej wybuchł akurat na przyjazd papieża. I ledwie mieszkania nie spalił. Radziecki czort. Panu też wybuchł?

– Nie, nie... ja tylko...

– Nie chciał pan być w takiej chwili sam. Trzeba być razem, bo to chwila jedyna na stulecia. To chwila, którą wieszczył Słowacki: „Pośród niesnasków Pan Bóg uderza w ogromny dzwon, dla słowiańskiego oto Papieża otwarty tron”. Ale co ja będę panu mówiła. Sam pan wie. Mąż i syn pojechali do Warszawy, witać papieża na placu Zwycięstwa. Ja też bym pojechała, ale ktoś musi stać za pralką.

– Pranie nie mogłoby poczekać?

– Pranie tak, ale pralka przepadnie, jak się codziennie nie stawię w kolejce i nie podpiszę listy. Zresztą, sam pan wie. A przy okazji trzeba jeszcze stanąć po wędlinę, po masło, po chleb. Tyle ogonków do obskoczenia. I tak do wieczora, żeby poskładać kanapkę na kolację. Ech, może na pielgrzymce w Rzymie go zobaczę? Dałby Bóg. Był pan kiedyś we Włoszech?

– Nie, ale Italia zawsze mnie inspirowała. Szczególnie architektura włoska. Takie na przykład galerie ciągnące się wzdłuż drewnianych włoskich domów. Tam to dopiero tętni życie. Każdy mieszkaniec wystawia krzesło przed swoje drzwi, wygrzewa stare kości i zagaduje siedzących obok sąsiadów. Tak rodzi się wspólnota, tak rodzą się sąsiedzkie więzi. Nie wiem, doprawdy, dlaczego to nie sprawdza się u nas. Badam to już trzeci rok. Galerie w falowcu są zawsze puste.

– Nie wie pan dlaczego? Ktoś to źle zaprojektował. Galerie znajdują się od północy.

– We Włoszech też wznosi się je po północnej stronie budynku.

– Włosi szukają cienia, my szukamy słońca. Każdy naród szuka tego, czego mu brakuje. Ale nam teraz najbardziej brakuje wolności. Bardziej nawet niż chleba. Wierzę, że on nam tę wolność przyniesie. A pan, jak pan myśli?

– Myślę, że ma pani rację. Z tym słońcem. Że ja sam na to wcześniej nie wpadłem.

Pożegnał się pospiesznie i ruszył do siebie. Na galerii B, mimo zimnego wiatru, stała najprawdziwsza kolejka: kilkanaście okutanych w szaliki i płaszcze postaci o martwych, wypalonych oczach. Kolejkowe chochoły trzymały w rękach kanki na mleko z emaliowanej stali. Inżynier przyspieszył kroku.

Wpadł do siebie i natychmiast włączył telewizor. Jego czarno-biały ametyst rozpalał się dobrą minutę. Na darmo. Zamiast promieniującego człowieka w bieli przywitała inżyniera świecąca łysina któregoś tam sekretarza pochylonego nad mównicą któregoś tam plenum. Kolory nadziei stopiły się w szarej brei śnieżącego ekranu. Inżynier wyłączył telewizor i zaczął szukać na półkach wierszy Słowackiego. Poszukiwania przerwał mu szary hipopotam.

– Dzień dobry, inżynierze. Winszujemy nowego telefonu. Będzie nam się teraz łatwiej kontaktować.

Inżynierowi opadła ręka. Nie, o tym ułatwieniu na pewno nie marzył.

– Jesteście tam?

– Tak, tak – przyłożył słuchawkę z powrotem do ucha.

– Dawno nie mieliśmy od was nic nowego.

– Jestem na zaległym urlopie. Od prawie trzech tygodni nie byłem w biurze.

– Tym lepiej. Dużo wolnego czasu. Można przysiąść i coś dla nas wyskrobać. Nie chce się? A Resort nigdy nie ma wakacji. Zawsze czuwa. Co wy też takiego robicie na urlopie, ciekawe?

– Nic szczególnego. Odpoczywam.

– Smutno tak bez żony, nie? I bez córek. Macie od nich jakieś nowe wiadomości?

– Nie. Wy pierwsi wiedzielibyście. Przecież czytacie listy.

– Nieładnie ta wasza żona postąpiła. Zabrała córeczki, męża i socjalistyczną ojczyznę zostawiła. A gdyby tak poczekała rok, to już niedługo, na jesieni mogłaby to samo zrobić legalnie. Szykujemy akcję łączenia rodzin w NRF-ie. Ale jej było spieszno. Co wy jej takiego zrobiliście?

– Nic jej nie zrobiłem. Pracowałem. Za dużo pracowałem.

– Taaak... Baby nie potrafią zrozumieć, co to znaczy budować Polskę Ludową. A to wymaga od nas najwyższego poświęcenia. Rodziny, przyjaciół, kolegów. *À propos*, macie coś nowego na inżyniera Miotka?

– Nie, widuję go tylko w pracy.

– To może pora zaprosić go do domu? Jak nie macie go czym ugościć, to podrzucimy wam jakiś koniaczek, jakieś pralinki, może nawet gauloisy? Lubicie gauloisy, już my to wiemy. Dla nas to nie problem. Ważne, żeby coś z tego było. A nie ciągle rewelacje, że figurant ma katar albo że chodzi w czerwonych skarpetkach.

– No nie – tu mężczyzna uniósł się honorem. – Mój majowy raport był dość wyczerpujący.

– Tak, napisaliście, że się spotyka. Ale z kim się spotyka, po co się spotyka, to już zrzucacie na głowę naszego biednego Resortu. A samemu coś ustalić, to nie łaska? Płacimy wam w końcu za coś, do k... nędzy!

Oficerowi prowadzącemu odpowiedziało w słuchawce nerwowe przełknięcie śliny.

– Z tego, co wiem, to bez naszej pomocy nie byłoby wam lekko. Inżynierska pensyjka, *n'est-ce pas*? Pewnie by się wam talon na kolorowy telewizor przydał? Lubicie takie techniczne nowinki, prawda? Da się załatwić. Ale jak tylko wrócicie do pracy, musicie bardziej zaprzyjaźnić się z inżynierem Miotkiem. Zrozumiano?

– Tak, towarzyszu majorze.
– Macie może jakieś pytania?
– Nie, a właściwie... tak. Kto jest teraz papieżem?
– Ha, to nie mój departament. Ale z tego, co wiem, jakiś Włoch. Paweł VI albo coś koło tego.

– Tak myślałem. A czy Polak miałby szansę zostać ojcem świętym?
– Kim? Nie, po naszym trupie. Mamy wystarczająco dużo własnych ludzi w Watykanie. Taka wpadka się nigdy nie zdarzy. A czemu wam to w ogóle przyszło do głowy?

– Nie, nie, tak tylko. Wiersz Słowackiego czytałem.
– E, nie nabijajcie sobie głowy romantykami. Pamiętajcie, co z tego wyszło w sześćdziesiątym ósmym? No dobra, to do zobaczenia w lipcu. A teraz odpoczywajcie sobie. Urlop to urlop. Należy się wam.

Inżynier ciężko opadł na fotel. Mierziła go ta współpraca, ale – jak zwykle – nie potrafił powiedzieć „nie”. W końcu niczego takiego złego o swoich kolegach nie pisał. A to, że mają jakieś lepsze zapalniczki, zachodnie jeansy, że spotykają się z obcokrajowcami w „Maximie”? Na pewno zdobyli to wszystko legalnie, obcokrajowcy też byli tu legalnie. Resort wszystko sprawdzi, Resort wszystko wyjaśni. Od tego w końcu jest. Na pewno nie będą mieć kłopotów. I on nie będzie miał kłopotów z Resortem.

Zaparzył kawę po turecku, otworzył nową paczkę caro i włączył telewizor. Tak, z przyjemnością zamieniłby tego szarego ametysta na kolorowego neptuna. „Byle nie na rubina, rubiny za często wybuchają. W lipcu trzeba się będzie upomnieć o ten talon. A swoją drogą, to skąd oni wiedzą, że lubi gauloisy?”.

W czarno-białym ametyście rozpoczynał się *Dziennik Telewizyjny*. Otwierało go podsumowanie czterodniowej wizyty prezydenta Francji

w Polsce. „Wizyta miała na celu zapoznanie głowy francuskiego państwa z dorobkiem trzydziestolecia PRL. Valéry Giscard d’Estaing z podziwem oglądał wielkie osiągnięcia socjalizmu w naszym kraju”. Na ekranie mignęły: Huta Katowice w Budowie, maluch, a potem długi, biały, pofalowany blok.

KLATKA D

Czerwcowe słońce zalało cały pokój. Wpadło do wnętrza przez porwane żaluzje i rozlało się na parkiecie jasnymi kałużami. Po co tak wcześniej go zbudziło? Nie miał przecież nic do roboty. Pomyślał o pokoju dziewczynek. Tam aluminiowe żaluzje były całe. Chroniły sen jak zbroja. Ale pokój był zamknięty. Nie otwierał go od ucieczki żony. Nie potrafił, nie chciał go otwierać. A tak dobrze byłoby tam teraz wejść i coś sprawdzić. W zamkniętym pokoju leżała krowa. Wściekle szara z soczyście szarymi kwiatami na boku. Plastikowa krowa, którą inżynier ustrzelił kilka lat temu na balkonie barokowej kamienicy w centrum Zurychu. Leżała teraz wśród innych szaro-szarych zdjęć w albumie, który oglądał z dziewczynkami tuż przed... przed tym, co się stało i już się nie odstanie.

Inżynier podniósł się z łóżka i wdepnął nogą w jedną ze słonecznych kałuż. „Jeśli w Szwajcarii pasą się na balkonach plastikowe krowy, to może i do nas dotarła ta moda? A polski papież? To musiał być aktor. Tak, na pewno. Mówił jak aktor. Żaden klecha nie ma takiej intonacji, takiej dykcji, takiego gestu. Czyj to mógł być film? Strasznie długie ujęcia, tyle tekstu? Zanuszi?”.

Rozległo się pukanie. Inżynier narzucił na siebie nową koszulę, wcisnął peweksowskie jeansy i otworzył drzwi. Na galerii stała młoda kobieta. Długowłosa blondynka w żółtej sukience z bufkami i karczkiem w kratkę.

– Dzień dobry, czy mogłabym skorzystać z telefonu?

– Tak, proszę – inżynier zaprowadził ją do aparatu, a sam, zawstydzony, zaczął zgarniać z tapczanu białe zaspę pościeli. Kobieta była młoda i ładna.

Szybko wykręciła numer i rzuciła do słuchawki jedno krótkie słowo: „Zwyciężyliśmy”. Odłożyła słuchawkę i spojrzała zdziwiona na inżyniera.

– Pan nie ogląda telewizji? Jest teraz bezpośrednia transmisja.

– Mecz?

– Jakiego tam meczu. Kto teraz myśli o meczach.

Kobieta władczym gestem włączyła telewizor. Z ekranu spojrzała na nią spłoszonym wzrokiem surykotka.

– Może to było na Dwójce?

– Dwójka nadaje od siedemnastej.

– No co pan! Tak było kiedyś. Od dawna już można ją oglądać całe soboty i niedziele.

– Ale dzisiaj jest piątek.

– Aaa... widzę, że pan nieźle zabalował. I dlatego o niczym nie wie. Dzisiaj jest niedziela. No, nie! Dwójka śnieży. Nie da się oglądać. Chodźmy do mnie.

Inżynierowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Kobieta zaprowadziła go do klatki D. Kiedy otwierała drzwi do swojego mieszkania, wydała mu się znacznie starsza. Musiała być już dobrze po trzydziestce. Miała to wypisane na czole trzema wyraźnymi bruzdami, których nie zauważył, gdy trzymała w ręce słuchawkę – skąpana w słońcu, jasna i triumfująca. „Grecka bogini w sukience w kratę” – pomyślał wtedy. Za drzwiami czekało inżyniera kolejne rozczarowanie w postaci trójki mocno zaaferowanych dzieci.

– Mamo, wiesz, jak podpisywali, to ten z wąsami miał taki wielki długopis – mały kędzierzawy chłopiec uczepił się żółtej sukienki. Mógł mieć na oko sześć lat.

– Z papieżem – wyseplecił jego trzyletni braciszek.

– Już się skończyło – powiedziała z jakąś melancholią w głosie ośmioletnia dziewczynka. Miała przenikliwe oczy i brzydkie kanciaste okulary w żółtej, półprzezroczystej oprawie. Jej zbyt poważną twarz okalały dwa obwarzanki warkoczy.

– Nic się nie skończyło. Dopiero się zaczęło – zawołała z błyskiem w oku kobieta. Na chwilę wydała mu się znów młodsza. – Teraz będziemy ich pilnować, żeby dotrzymali słowa. Zapamiętajcie ten dzień. 31 sierpnia 1980 roku. Ten dzień przejdzie do historii. Jeszcze wasze wnuki będą się uczyć tej daty. A teraz idę obierać ziemniaki. Zajmijcie się panem.

Tak, inżynier zdecydowanie potrzebował w tej chwili czyjejś opieki. Choćby i trzylatka, który wiedział i rozumiał znacznie więcej niż on. Dzieci posadziły go na pufie, a same grzecznie usiadły na wersalce.

– Czy pan też strajkuje? – zapytał uprzejmie sześciolatek.

– Nie, ja jestem na zaległym urlopie. Co się tutaj właściwie dzieje?

– To pan nie wie? – zdziwiła się dziewczynka. – Zwyciężyliśmy.

– No tak, wiem. Ale właściwie nic nie wiem. Nie było mnie pięć lat. Mamy rok 1980. To rok olimpiady w Moskwie. Bardzo się na nią cieszyłem. Marzyłem nawet, że tam pojedę. Więc mówicie, że zwyciężyliśmy?

– Lampa się dawno skończyła – potrząsnął głową maluch.

– I jak nasi?

– Pokazali Roskom takiego wała – sześciolatek zademonstrował wulgarny gest.

– Bartek, nie popisuj się – skarciła go siostra.

– To nie ja, to Kozakiewicz zaczął – bronił się chłopiec.

– A dzie pan był, jak pana nie było? – zapytał trzeźwo trzylatek.

– Gdzie? Sam nie wiem. Gdzieś zgubiłem te lata. Pomożecie mi je odnaleźć?

– Pomożemy – wykrzyknął malec.

– To powiedzcie mi na początek, czy to prawda, że Polak został papieżem?

– Polak był zawsze papieżem – zawołał z oburzeniem Bartek.

– Ty nic nie wiesz, bo byłeś za mały – zaprotestowała dziewczynka i, jak prymuska wywołana do tablicy, wyrecytowała – Jan Paweł II został wybrany na Stolicę Piotrową 16 października 1978 roku.

– A potem przyleciał do Polski?

– Tak.

– Pamiętasz, kiedy?

– Mam zapisane w zeszycie od religii.

Dziewczynka zeskoczyła z wersalki i zajrzała do leżącego na ziemi plecaka, który już jutro miał stać się tornistrem drugoklasistki, ale wciąż pełen był wiedzy z klasy pierwszej. Wyciągnęła z niego zeszyt w brzydkiej, zielonej, plastikowej okładce.

– 2 czerwca 1979 roku.

– Mogę zobaczyć?

Inżynier wziął do ręki ciemnozielony zeszyt, cały wyklejony świętymi obrazkami. Na pierwszym z nich rozpoznał człowieka w bieli. Papież obejmował głowę małego Murzyniątka.

– Czy mógłbym wziąć sobie ten obrazek?

– Proszę, niech pan weźmie – powiedziała dziewczynka smutno.

„Jest mniej więcej w wieku mojej starszej córki – pomyślał inżynier i zawahał się. – A może raczej... moja córka była w jej wieku”. Wyrwał obrazek z zeszytu i wsadził go do kieszeni koszuli.

– Tutaj możesz mieć dużo takich obrazków. Ale tam, skąd przychodzę, będzie bardzo cenny – powiedział.

– A ja mam plakat z Hermaszewskim – pochwalił się Bartek. – On jest lepszejszy niż papież.

Siostra chciała go ostro skarcić, nie mogła się jednak zdecydować, za co: za błąd gramatyczny czy za jawne bluźnierstwo? Wysyczała więc tylko:

– Bartek, wypluj gumę, jak mówisz.

– Jest lepszejszy! Bo papież był w Częstochowie, a Hermaszewski w kosmosie. Pani w przedszkolu nam tak powiedziała.

– Ta twoja pani to stara komunicha.

„Ho, ho, to mamy Polaka nie tylko na Stolicy Piotrowej, ale i w kosmosie!” – serce inżyniera napełniło się dumą.

– I co jeszcze wydarzyło się w ostatnich latach?

– Porwano Aldomoro!

– Aldo Moro? Premiera Włoch?

– Nie wiem. Ale, jak ktoś się nie chciał bawić, to wołaliśmy u nas w przedszkolu: „Zabijemy cię, ty zmoro, jak Aldomoro. A jak nie damy rady, to wezwiemy Czerwone Brygady”.

– A my się bawimy w Bandę Cwolga! – oznajmił maluch.

– Bandę Czworga – poprawiła go dziewczynka.

– Tak powiedziałem – obraził się brzdąc.

– I jeszcze spadł samolot. I mówili, że się zabiła Anna Jantar. Ale to nie była Anna Jantar, ale jakaś inna pani. Bo Anna Jantar została sprzedana do haremu i szejk ją kupił za tyle złota, ile waży, żeby mu ciągle śpiewała. I rząd dostał za to dewizy. I jeszcze wybuchła weranda.

– Rotunda – poprawiła dziewczynka.

– No, przecież mówię. I zginęły takie miłe panie. Ale to nie była bomba, tylko zima stulecia.

– Były takie zaspy – malec zeskoczył z wersalki i zamachał rączką na wysokości swojego ucha.

– Ty nie wiesz, bo byłeś malutki i woziliśmy cię przez te zaspy w wózek. A zaspy były takie – Bartek podskoczył z wyciągniętą ręką.

– Zaspy były tak wysokie, że nie było widać taty – zabrała głos dziewczynka. – I śnieżnymi tunelami jeździliśmy na sankach w kolejki. Wszyscy mieli sanki, więc kolejki wyglądały jak kuligi.

– A teraz są kolejki po sanki – dodał ze smutkiem Bartek.

– Kolejki są po wszystko. Ja chodzę w kolejkę zaraz po lekcjach, Bartek prosto z przedszkola, a mama z Piotrusiem stoi cały dzień. Tata pracuje, więc stoi tylko na nocną zmianę. Jak babcia przyjedzie, to też stoi. Wszyscy stoją. Cała Polska stoi.

– I bolą ją nogi – wyszeptał maluch.

– Tak, Polskę bolą nogi. Bolą nas miliony nóg. I rąk. Od dźwigania pustych siatek. Bo puste siatki są najcięższe. Po ośmiu godzinach stania nadaremno są ciężkie jak worek kamieni – potwierdziła dziewczynka.

– Kiedyś tak staliśmy w deszczu – podchwycił Bartek. – A jak doszliśmy do lady, to zabrakło dla nas nawet nadziei. I tata powiedział, że tak dłużej stać nie będziemy. I wtedy stanęła Stocznia. Bo tata jest stoczniowcem.

– A my staliśmy pod stocnią – pochwalił się malec. – Pod takim płotem, z którego wylosły kwiaty. A w ślodku był tata.

– I daliśmy tacie chleb przez kraty – dodał Bartek.

– Przez pręty. Ten płot miał pręty, żeby dłonie stoczniowców miały się na czym zaciskać. A pod płotem stała skarbonka. I ja wrzuciłam do niej

dwadzieścia złotych, żeby Polska była Polską. A na bramie był papież i modlił się za nami.

– I wyglaliśmy! – obwieścił tryumfalnie brzdąc, składając dwa paluszki w zajączka.

– Obiad! – zawołała matka. W jej rękach dymiła wielka micha dorodnych kartofli. – Jest jeszcze groszek z marchewką i fasolka. I kompot z mirabelek – wyjaśniła. – Oto cały obiad stoczniowej rodziny. Ale to się zmieni. Stoczniowcy wywalczyli kartki na mięso. Będzie lepiej.

Bez przekonania zasiedli do stołu. Bezmięsny obiad stawał im kością w gardle.

– Powinnam zaproponować toast za zwycięstwo. Ale w Gdańsku wciąż obowiązuje prohibicja. Pan ją złamał w piątek, nieprawdaż? – uśmiechnęła się znacząco.

– Pana w piątek nie było – wtrącił się Piotruś.

– Tak, pana nie było pięć lat! – dorzucił Bartek.

– To prawda?

– Tak... byłem... na kontrakcie zagranicznym.

– O, to pan pewnie przywiózł dolarów a dolarów. Mój brat też był pięć lat na kontrakcie w Libii. Budował Kadafiemu autostrady. Dużo zarobił. Myślałam, że da dzieciom jakieś dolary, a on... No, pokażcie dzieci, co wam przywiózł.

Bartkowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Zniknął w drugim pokoju i po chwili z dumą zaprezentował małe przezroczyste pudełko. W środku znajdował się spreparowany skorpion. Inżynier z odrazą odwrócił głowę.

– Nie, nie przywiozłem dolarów. Ja... zarabiałem we frankach.

– Pan pracował we Francji?

– Tak. W Normandii. Budowałem falowce.

– Słucham?! – kobieta zakrztusiła się ziemniakiem. – To oni tam też takie buble stawiają?

– To nowoczesna architektura – inżynier czuł, że ma dość fasolki szparagowej.

– Nowoczesna? – prychnęła kobieta. – A winda staje tylko co któreś piętro. Na dziesiąte nie dojeżdża wcale. Ileż ja się tego wózka nataczałam. Ale to się teraz zmieni. Wszystko się w kraju zmieni. Dołożyć panu fasolki?

– Nie, dziękuję. Ja już muszę się zbierać. Nie mam za dużo czasu. Straciłem pięć lat.

– Szkoda. Zaraz powinien wrócić ze strajku mąż. Opowiedziałby o tych wypadkach.

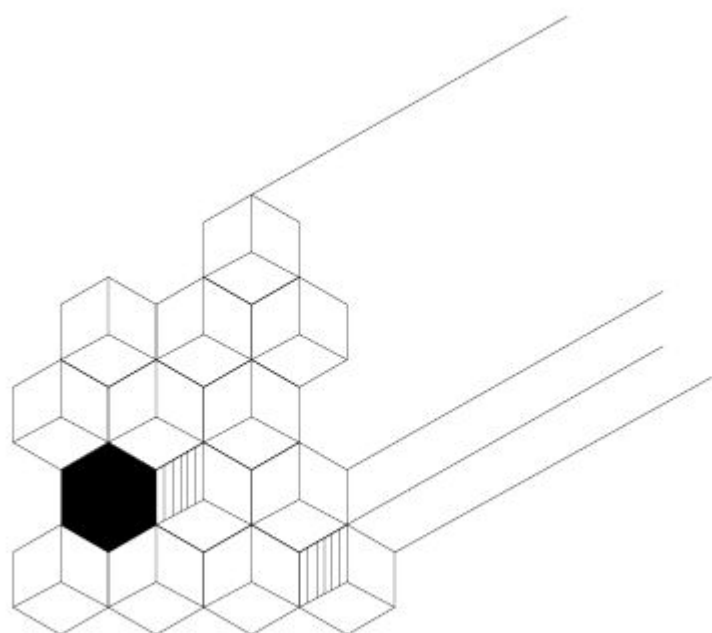
Inżynier zawahał się przez chwilę. „E, dowiem się kiedyś – machnął ręką. – I może lepiej, żeby mąż nie widział mnie tutaj. Ładna ta jego żona”.

Po powrocie do domu natychmiast zasiadł za biurkiem. Na wielkim białym kartonie narysował oś. „Czerwiec 1975 to punkt wyjścia. Tu się znajdujemy. W klatce B jest październik 1976 roku. Bardzo brzydki październik. W klatce C właśnie zaczyna się czerwiec 1979 roku, a w klatce D kończy sierpień 1980 roku. Powinienem za to dostać Nobla”. Inżynier uśmiechnął się do siebie tak, jak musiał uśmiechnąć się Archimedes w wannie albo Newton, gdy rozcierał guza po jabłku. „W falowcu czas zatrzymuje się nieregularnie. Jak winda, która staje co dwa, trzy piętra. O tym na pewno decyduje kształt budynku. Tak, ja tego dokonałem. Zakrzywiając przestrzeń, zakrzywiłem czas”.

Inżynier przeciągnął się i zapalił papierosa. „Trzeba to będzie ogłosić na najbliższej konferencji. Na razie tylko jako ideę. A potem jako projekt wdrożeniowy. Partia to kupi. «Falowiec naszą drogą w przyszłość». Albo

jeszcze lepiej: «Falowiec najkrótszą drogą do socjalizmu». Przeskoczmy Zachód. Będziemy pierwsi w dwutysięcznym roku”.

Głowa inżyniera rozpalala się coraz bardziej. „Trzeba tylko zdobyć niezbite dowody. Jeden już mam. Tylko czy polski papież to rzeczywiście najlepszy przewodnik w drodze do komunizmu? Partii może się to nie spodobać”. Pełen wątpliwości sięgnął do kieszeni koszuli po obrazek z Murzyniątkiem. Kieszeń była fabrycznie nowa i pusta.



SEGMENT DRUGI

KLATKA A

Obudziło go walenie do drzwi. Na galerii w promieniach czerwcowego słońca stał wąsaty facet w tureckim haftowanym kożusku.

– Czy u pana też telefon nie działa? – zapytał od progu.

– Nie wiem. Szczerze mówiąc, spałem. Mam urlop – usprawiedliwił się inżynier.

– Urlop nie urlop, dzisiaj niedziela. Że też akurat w niedzielę musieli to zrobić, skurczybyki! To gdzie ten telefon?

– Proszę za mną – inżynier zaprowadził go do pokoju. Był zły, że wszyscy już wiedzą. Nawet ci z przyszłości.

Facet wykręcił numer i – ku swemu zdumieniu – usłyszał znajomy głos.

– Mama?! Od samego rana nie mogę się dodzwonić. Po sąsiadach biegałem. U wszystkich telefony wyłączone. Że co, że z budki mogłem? Budki popsute. Teraz tylko złe wiadomości, to ludzie się denerwują i budki niszczą. A może telefony same nie wytrzymują tego napięcia, co w powietrzu wisi? Ale ja nie o tym chciałem. Wie mama, że jest wojna? Nie wie mama?! To niech mama włączy telewizor. Nie, nie *Czterej pancerni*. Niech mama włączy. I co? Adam Słodowy? Czy Adam Słodowy

jest w mundurze generała? Że co? Że jest tylko majorem? Co mi tu mama z dystynkcjami wyjeżdża? Niech mama lepiej okulary włoży. I co? Nadal Adam Słodowy? Majsterkuje! No co mi mama powie! Może czołg robi? Z czego? Z wkładu do długopisu? To niech mama przełączy na drugi program. Że co, że rusza od siedemnastej? Dzisiaj niedziela, to jest przez cały dzień. Jaka sobota? Nie-dzie-la! Jakby mama dobrze włączyła telewizor, to by zobaczyła, że wojnę mamy. I przez tę wojnę nie polecę do Enerefu. Na jutro miałem bilety, na czternastego. W jedną stronę. Tak, nie mówiłem, bo o takich rzeczach się nie mówi. Z Basią miałem lecieć. Z jaką Basią? Z narzeczoną. Jak to mama nie zna?! Niech mnie mama nie denerwuje, bo telefon rozwalę, a to niepaństwowy, nim nie można rzucać. Zadzwońię do mamy później. Może się wojna skończy.

Odłożył słuchawkę i rozejrzał się po pokoju.

– U pana stary ametyst. Ja sobie za dewizy kupiłem grundiga. Kolor pierwsza klasa.

– Mój jest popsuty – inżynier wołał nie konfrontować przybysza z majorem Adamem Słodowym.

– To może pan też nie wie, że jest wojna? Jak moja matka sklerotyczka. Wszystko się jej miesza. Powiedziała, że mamy czerwiec. Uwierzy pan! Strach ją teraz zostawić bez opieki. Ale co robić? Mieszka w sąsiednim województwie, a granice województw są od dzisiaj jak granice państw. A ja miałem jutro emigrować. Ale się porobiło. Ma pan papierosa?

Inżynier podał mu niebieską paczkę.

– Caro? Ja krajowych do ust nie biorę. Chodźmy do mnie.

Typ w baranim haftowanym kożuszką zamieszkiwał duży czteropokojowy lokal w segmencie drugim, w klatce A.

– Sam tu mieszkam – powiedział z dumą. – Trochę trzeba było podpłacić temu i owemu. Ale ja prywatna inicjatywa jestem, proszę pana.

Inżynier wszedł do dużego pokoju. Przywitały go strzeliste palmy strzegące nieskazitelnej bieli piasku. Plaża była dzika, bez śladu ludzkich stóp. Morze miało te wszystkie niemożliwe barwy, których nie potrafił z siebie wykrzesać poważny i po nordycku powściągliwy Bałtyk. Z plaży można było przejść wprost na kowarski dywan. Stały na nim wytłaczane pufy z połączanego skaju usilnie naśladowującego kurdyban. Towarzyszyła im dębowa ława i skórzana kanapa ze sztucznego zwierzęcia. Na półkach ciężkich dębowych mebli stały rzędami trofea – butelki alkoholi z całego świata. Wszystkie odkorkowane, odkręcone, puste. Ze wszystkich dawno wyleciał ich duch.

– Chce się pan czegoś napić? – zapytał gospodarz, częstując inżyniera oryginalnym marlboro.

– Chętnie. Chłodno tu.

– Dzisiaj to i tak dobrze grzeją. Zwykle jest trzynaście stopni.

Góral i góralka z zakopiańskiego termometru kiwnęli głowami, by przyświadczyć jego słowom. On miał w ręku ciupagę, ona – drewnianą parasolkę. Oboje mieszkali w małym góralskim domku. Razem, a jednak osobno. Gdy świeciło słońce, z domku wychodził on. Gdy miało się na deszcz, na metalowym pręciku wychodziła ona, z maleńką parasolką w swej drewnianej rączce.

„Taki sam domek przywiozłem z gór córkom” – pomyślał inżynier.

– Jakiś debil to zaprojektował – ciągnął gospodarz. – Na ścianach jest lód.

– Gdzie? – zapytał inżynier wpatrzony w sosnowe ścianki domku.

– W kuchni i w najmniejszym pokoju. Ściany przemarzają. Na galerii leży śnieg. Wczoraj brnąłem przez zaspy do własnego mieszkania.

Otworzył barek i wyjął stamtąd solidnie napoczętą butelkę. Na białej etykiecie Napoleon lustrował pole bitwy pod Jeną.

– Courvoisier! – ucieszył się inżynier.

– Tak, świeżutko z peweksu – odpowiedział tamten, nalewając oszczędnie drogocenny płyn. – No to na pohybel budowniczym tego domu!

Inżynier ledwie się nie zakrztusił.

– Albo nie – zmienił decyzję gospodarz. – Pierwszy toast niech będzie za tę wojnę, co ją nam generał wypowiedział. Na pohybel wronie!

– Dlaczego wronie?

– Ach, na śmierć zapomniałem, że u pana się telewizor popsuł. Zaraz panu tę wronę pokażę.

Włączył grundiga nowoczesnym pilotem. Na ekranie pojawiła się dziwna różowa postać z termometrem w łapce.

– Ożeż Bromba! – zaklął prywaciarz. Przełączył pilotem kanał. Na drugim był tylko grudniowy śnieg.

– Pomyśleć, że właśnie jutro miałem porzucić ten cholerny ustrój. Kupiłem bilety do Bremen. Dla mnie i dla mojej Basi. Najpierw czekał nas obóz przejściowy. A potem – Australia. Takie plaże jak ta – wskazał pilotem fototapetę z palmami.

– Moja żona też uciekła do Bremy – zadumał się inżynier.

– Dawno?

– W siedemdziesiątym czwartym.

– A, to dawno.

Gospodarz rozlał resztkę ciemnobursztynowego płynu spod Jeny i postawił na półce kolejne trofeum.

– No to za tego, kto w tym kraju ostatni zgasi światło. Może to będzie nasz Wielki Elektryk.

– Jaki elektryk? – zainteresował się inżynier.

W tym momencie w pokoju zgasło światło, a wraz z nim śnieżący grudniowo grundig.

– To już dzisiaj trzeci raz – rzekł ponuro prywaciarz. – Dwudziesty stopień bezsilności. I do tego ta wojna.

Po chwili światło ponownie rozbłysło, by zмагаć się dalej z grudniowym półmrokiem.

– No to strzemiennego za wszystkich z biletami w jedną stronę.

Inżynier wypił i poczuł, że sam powinien już opuścić tę dziwną grudniową niedzielę.

– Gdyby pan jednak poleciał do Bremy, to proszę powiedzieć mojej żonie... Albo nie, niech jej pan lepiej nic nie mówi.

Na sąsiedniej klatce było jasno i ciepło. Dwóch znajomych chłopców grało w kapsle. Bartek na widok inżyniera zerwał się czym prędzej z betonowej planszy.

– Proszę pana, a my byliśmy dzisiaj w peweksie! Wujek z Libii nas zabrał.

– I tam było wszystko – objaśnił malec.

– Co ty, więcej niż wszystko. Były nawet takie rzeczy, że ich sobie nie można wymyślić.

– I była synka w pusce.

– E tam, koka-kola to dopiero była w puszce! Brat Krzyśka, tego z mojej grupy, to ma całą półkę takich koka-kol. Jak wypije, to stawia na meblach i wszyscy mu strasznie zazdroszczą. Też chciałbym mieć taką puszkę. Albo po piwie. Ale najbardziej to klocki Lego.

– Ja też!

– Dla ciebie to są klocki Dupol.

– I co, kupił wam coś wujek? – zapytał inżynier.

– Tak tak! – wykrzyknął Piotruś i wyciągnął z kieszonki przezroczyste pudełeczko. Przyłożył je do ucha jak muszlę i zagrzechotał. Pudełko tic taców było jedyną pamiątką z zaklętej krainy obfitości, jedynym namacalnym dowodem jej istnienia. Podobnie jak puste butelki po zachodnich trunkach, które spoczęły na brzegach falowcowych meblościanek. Te butelki nie były wcale puste. Niosły w sobie przesłanie: jest lepszy świat. Tam trzeba płynąć.

„Nigdy mnie nie wypuszczą” – pomyślał z żalem inżynier.

KLATKA B

W nocy śniła mu się wojna. Stał na galerii po pas uwięziony w śniegu. Na jego bezbronnych ramionach i głowie przysiadły wielkie posiwiałe wrony. Machał rozpaczliwie rękami, ale wrony miały to za nic. Czuł się jak nikomu niestraszny, żalosny w swojej bezsilności strach. W pewnej chwili rozwarły się drzwi galerii i wytoczyła się z nich tłusta różowa Bromba z termometrem wielkim jak karabin. Przyszła go ocalić – tego był pewien w chwilę po przebudzeniu.

Czerwcowy niedzielny poranek okazał się ciepły i słoneczny. Inżynier wyszedł na balkon. „Trzeba cieszyć się każdym dniem, bo żyjemy w przedwojennych czasach – uświadomił sobie. – Za sześć, siedem lat stanie się coś strasznego. Ale właściwie co? Z kim będzie ta wojna? O co? Facet w kożusku niczego mi nie wyjaśnił. Trzeba iść znowu, najlepiej do kolejnej klatki. Tylko czy ta klatka jeszcze istnieje?”

Inżynierowi przewinęły się w pamięci filmy ze zburzonej Warszawy, ze zrujnowanego Gdańska. Jego falowiec być może wkrótce stanie się nagim szkieletem z żelbetonowymi kikutami wzniesionymi błagalnie ku niebu. Podobny do niego samego z koszmarne snu.

„Może lepiej tam nie iść? Nie brnąć w tę niepewną przyszłość? Zostać tu, cieszyć się tym czerwcowym słońcem i nie wiedzieć. Jak letnicy w pobliskim Brzeźnie, którzy kąpali się w trzydziestym dziewiątym, o tam, na plaży, prawie na wyciągnięcie ręki. Teraz też pewnie wygrzewają się na piasku pierwsi plażowicze. Stąd nie widać dobrze, las wyrósł wysoko”.

Inżynier spojrzał więc w przeciwnym kierunku, ku torom. Falowiec falował spokojnie, miarowo. W pobliskiej klatce pasła się na balkonie krowa. Nic nie zapowiadało apokalipsy. Inżynierowi myśl o wojnie nie dawała jednak spokoju. „Tak musi czuć się człowiek, który zna datę własnej śmierci. Zamknięty w klatce czasu, w której z każdą chwilą jest coraz mniej powietrza. Tak, duszę się”.

By zaczerpnąć oddechu, postanowił wybrać się na wojnę.

„Kto wie, czy stamtąd wrócę? Może właśnie trwa ostrzał galerii? Trzeba tu wszystko zostawić w należytym porządku”. Przede wszystkim należało podlać asparagus. Była to ostatnia z uprawianych przez żonę roślin doniczkowych, której udało się przeżyć jej ucieczkę. Najpierw odeszła palma, duma stołowego pokoju, zazdrość wszystkich gości. Potem pomarły paprotki, uschły filodendrony. Wytrwał tylko on. Wielki asparagus na drewnianym trójnogu. W dniach swojej świetności zajmował połowę pracowni i zagrażał Bardzo Ważnym Projektom. O ten asparagus codziennie wybuchały kłótnie, w sześciometrowym pokoiku urastające do zaiste groźnych rozmiarów.

– Nie możesz go podlewać ostrożniej? Znowu zalałaś mi papiery. Moja praca nic dla ciebie nie znaczy?

– To nie kładź tu swoich szpargałów. To jest półka na drugą doniczkę, nie na twoje marne projekty.

– Gdyby nie te moje projekty, nie miałabyś z czego żyć.

– Może żyłabym godniej. Nie dusiłabym się w tej klatce. I nikt by mi nie zaglądał przez okno do garów. No, ciesz się z tych twoich dyplomów na ścianie. Bohater socjalizmu z partyjnej łaski. Tylko ja jedna mogę ci powiedzieć prawdę: stworzyłeś tu wielką wiochę. Tak, wiochę, w której jedni drugich podglądają przez okna. A może ty tak lubisz? Sąsiadka ma od strony galerii sypialnię. Darmowy striptiz co noc. O to ci chodziło?

Inżynierowi wydawało się, że asparagus swymi pióropuszcami chłonał ich kłótnie, wzrastał i rozkwitał na nawozie z ich bluzgów. Wkrótce zawładnął całą przestrzenią pracowni, rozpanoszył się, zaczął zaglądać w papiery, dotykać zielonymi mackami niegotowych jeszcze projektów. Inżynier czuł się osaczony i bezbronny w obliczu coraz potężniejszego faworyta żony. Gdy wyjechała, czerpiący soki z awantur asparagus zaczął marnieć i usychać. Inżynier patrzył na jego upadek z pewnym żalem, tak jak patrzy się na degrengoladę naszego dawnego wroga, który teraz wynędzniały żebrze o łyk wody. Dostawał ją nieregularnie i w skąpych ilościach, nie dlatego że mężczyzna chciał go celowo upokorzyć, ale z tej racji, że woda była żywiołem zagrażającym jego pracy. Tej papierowej i tej betonowej. Całe jego życie było walką z napierającą na jego dzieła wodą.

Asparagus wypił zachłannie zawartość filiżanki. Teraz obaj byli po śniadaniu. Inżynier mógł wyruszyć na wojnę. „Może powinienem się w coś uzbroić?” W domu był tylko pistolet na wodę i plastikowy czołg, który dało się zamknąć w dłoni. Cały ten arsenał mieścił się jednak w pokoju małych Amazonek, w pokoju, do którego wejście zostało zamurowane bólem. Do dyspozycji pozostawało uzbrojenie żony: tłuczek do kartofli, sekator do roślin, bateria dawno nieostrzonych noży.

Inżynier zdecydował się na paczkę papierosów. Tylko ona dawała mu prawdziwe poczucie bezpieczeństwa. „A jeśli to będzie wojna nuklearna? Warto zabrać ze sobą szkła przeciwsłoneczne”. Uśmiechnął się w myślach do własnego konceptu i założył swoje ulubione ciemne okulary. „Może jeszcze powinienem wziąć rozmówki? Tylko jakie? Niemieckie, rosyjskie, chińskie? Jakim językiem posługuje się generał, który wypowie nam wojnę? Dlaczego o to wczoraj nie spytałem? Zapatrzyłem się w tego grundiga, piękny, zachodni, z prawdziwym pilotem. Sto razy lepszy od neptuna. Ale z drugiej strony, na co mi taki pilot? Dziesięć przycisków,

a u nas tylko dwa programy, z których jeden od siedemnastej. Kapitalistyczny przerost formy nad treścią. W końcu tak prosto jest nacisnąć guzik”.

Inżynier podszedł do ametysta i nacisnął. Telewizor jarzył się dłuższą chwilę, zanim zdecydował się wyjawić treść. Na wyblakłym ekranie Chaplin bawił się kulą ziemską. „Obejrzę *W starym kinie*, potem wyruszę na wojnę”. Gdy program się skończył, inżyniera znów dopadły wątpliwości. „Na co mi ta cholerna wojna? Żle mi tutaj? Falowiec pokazali w *Dzienniku*. Cała Polska widziała. I talon mam obiecany...” – westchnął, zakładając bojowe kalosze. Narzucił ortalion, ostatni raz spojrzął na fotografie dziewczynek i... cofnął się.

„Trzeba wziąć jakiś prowiant. Nie wiadomo, co mnie tam czeka”. Przejrzał pospiesznie szafki swojego kawalerskiego gospodarstwa. Na jednej z półek odnalazł dużą szarą torbę. Wystawały z niej papierowe rogi krówek. Inżynier zanurzył ręce w torbie i pełnymi garściami zaczął upychać po kieszeniach zbawcze mordoklejki. „Teraz mogę już iść” – zdecydował i z namaszczeniem przekręcił w zamku klucz.

Z przyzwyczajenia zerknął w okno sąsiadki. Leżała w łóżku razem z mężem. Leniwie pochłaniali niedzielną porcję rozrywki, którą serwował im ich popielaty ametyst na wyprężonych lokajskich nóżkach. „Takim to dobrze, a ja idę na wojnę” – uzalił się nad sobą inżynier. Na następnej klatce musiał postawić kołnierz. Szybko wyminął przymarznąętą do ściany kolejkę. W klatce C było ciepło. Pomimo późnej, popołudniowej pory przed jednym z mieszkań stała pełna butelka mleka. Gdy zimowymi rankami inżynier wychodził do biura, rozstawione regularnie na galerii butelki były jego mleczną drogą wskazującą mu w ciemnościach kierunek. W ich tłustych szklanych szyjach odbijał się zaspany księżyc. Kiedy wracał, butelki były już pełne księżycowej poświaty. Butelka mleka – pusta czy

pełna – stanowiła nieodłączny element peerelowskiej architektury. Dorycka kolumnienka podtrzymująca architrav blokowych drzwi. Lumpenproletariacki dworek polski z dwiema białymi butelkami na straży. Inżynier zburzył ten architektoniczny porządek. Po wyjeździe córek przestał zamawiać mleko.

Teraz jednak na widok butelki poczuł wielką suchość w gardle. „Może za chwilę zginę? Może ta galeria wiedzie wprost ku śmierci? Skazaniec ma prawo do drobnych zachcianek. Napiłbym się mleka. W końcu każdy z nas skazany jest na śmierć...”. Wyciągnął rękę i cofnął ją natychmiast. „Ha, ja, inżynier, budowniczy falowca miałbym po kryjomu wypijać mleko jego lokatorom?” „Wszyscy kradną – podpowiadał mu jego socjalistyczny daimonion. – Kradną twoi robociarze na budowie, kradną twoi dyrektorzy w zjednoczeniu. Dlaczego ty nie kradniesz? Frajer, frajer, frajer!”. Głos daimoniona stopniowo przechodził w dyszkant byłej żony.

Inżynier zerwał srebrną folię i zaczął spijać z rozkoszą biały peerelowski nektar. Mleko nasze powszednie. Mleko z gęstą pianką ixi. Mleko z kozuchami jak z peweksu. Mleko na socjalistyczną jutrznię szkłem co dzień dzwoniące. Mleko prosto spod drzwi. Mleko znad wycieraczki. Mleko z krainy mlekiem i sztucznym miodem płynącej. Mleko – symbol ustroju i rozstroju. Mleko z hormonami wzrostu. Mleko pełne leków. Na wieki wieków – mleko.

Inżynier otarł usta zadowolony. Odstawił butelkę i poszedł dalej.

Na następnej galerii chłopcy bawili się w wojnę.

– Pif-paf, nie żyjesz – wołał Bartek, celując w braciszka z wielkiego długopisu z papieżem.

– Całkiem nie żyję cy tylko tlochę? – negocjował leżący na betonie malec.

„Biedne dzieci – pomyślał obserwujący tę scenkę inżynier. – Nie wiedzą, co je czeka za rogiem historii”. Wszedł na kolejną klatkę. Drzwi na galerię otworzył mu grudniowy wiatr. Przejście wyglądało bezpiecznie. Żadnego ostrzału, pożaru, cudzoziemskich flag. Na śniegu kilka świeżych ludzkich tropów. Ale co czai się za następnymi drzwiami? Przetarł chustką spocone czoło. Dotknął ręką ramienia. Siedziała na nim jego własna dusza. „Jest jeszcze czas do odwrotu” – szeptała mu prosto w ucho.

– A czego tu szuka? – wychynęła z mieszkania głowa w papilotach. – Czytał dekret?

– Jaki dekret? – spytał niepewnie.

– Jaki dekret?! Z choinki się urwał! A pójdzie stąd, pijak jeden, bo milicję wezwę.

Wielkie cielsko w papilotach wylało się z mieszkania i odcięło jedyną drogę odwrotu. Inżynier spojrzał w dół przez betonową balustradę. Na horyzoncie białą arterią sunęła kolumna czołgów. Na długich lufach wiozły śnieg i strach. Mężczyzna rzucił się do ucieczki. Z ulgą zatrzaskały drzwi grudniowego świata i otworzył następne, przez które wlało się marcowe słońce. Świat istniał nadal. I Ziemia kręciła się niewzruszenie, a na niej – jak liszka na jabłku – kręcił się nietknięty dziobem wroga falowiec. Inżynier mógł wreszcie zdjąć z ramienia swoją przerażoną duszę.

Rozejrzał się po galerii. W jednej z kuchenek pichciła coś sympatyczna starsza pani. Na ścianie nad szafkami inżynier zauważył obrazek z polskim papieżem. „To znak” – pomyślał i zapukał w okno. Kobieta spojrzała na niego badawczo, nieufnie, może nawet wrogo. Zdjęła kuchenny fartuch i podeszła do drzwi. Szczęknęła zasuwa.

– Pan do kogo? – zapytała oschle.

– Ja tylko chciałbym porozmawiać.

– Nie ma o czym. Rozmawialiśmy już u was wiele razy. Nic na mnie nie macie.

Inżynier w lot pojął pomyłkę. Zdjął ciemne okulary, przyklepał kołnierz płaszcza.

– Źle mnie pani zrozumiała. Ja tylko chciałbym dowiedzieć się czegoś o tej wojnie. Bo ja nic nie wiem. Bo mnie tu tak jakby nie było.

– Proszę wejść – zarządziła gospodyni.

Inżynier próbował strząsnąć z butów śnieg z poprzedniej klatki, ale wycieraczka pozostała sucha. Mieszkanko było skromne, acz schludne. W przedpokoju szmaciany chodnik, parę metaloplastyk na ścianach, duży pawlacz i lustro w czarnych zakręcanych ramkach.

– Pan z podziemia? – spytała kobieta.

– Nie, z dziesiątego piętra.

– Wiem, że boi się pan mówić prawdę, ale tu może się pan czuć bezpiecznie. Ukrywałam już wielu. Przez to mieszkanko przeszły lisy, borsuki. Pan wie, o kim mówię? Ale pan to chyba ukrywał się w jakiejś norze. Mizernie pan wygląda.

Inżynier spojrzał w lustro w czarnej esofloresowatej ramie. Rzeczywiście wyglądał inaczej niż zwykle. „No tak, kilka dni temu po goleniu nie zdążyłem zmyć piany – przypomniał sobie. – Od tej pory chyba nie zaglądałem do lustra”. Spróbował zetrzeć białą mikołajową brodę, ale ta nie ustępowała. Była twarda jak szczecina.

– Co pan tam robi? Niech pan lepiej wejdzie do pokoju. Ale proszę nie zdejmować płaszcza. Nie grzeją.

Kobieta usadowiła go w narożnej ławie z tapicerowanymi siedzeniami. Obok rosła w donicy wielka rozłożysta paproć. W pokoju znalazło się jeszcze miejsce na wersalkę, słomiankę, wielki pawlacz i regał. Na regale

stał mały turystyczny telewizor w żółtej plastikowej obudowie z rączką. Inżynierowi przypomniało się pytanie, które nurtowało go od wczoraj.

– Kim jest Bromba?

– Nie wiem. A skąd pan ją zna?

– Widziałem ją w telewizji 13 grudnia.

– W takim razie to kolaborantka.

– Nie, na pewno nie. Próbowала mnie uratować. We śnie.

Kobieta postawiła na ławie dwie bułgarskie filiżanki z płaczącymi pawimi okami. Łudząco podobne do tych, które przywieźli kiedyś z żoną z Nesebyru.

– Kawa zbożowa – ostrzegła. – Zrobiłam przed chwilą śledzia po japońsku. Rzucili groszek konserwowy, trzeba to było uczcić. Skosztuje pan?

Śledź po japońsku – popisowe danie jego żony. Inżyniera nie trzeba było długo namawiać na tę peerelowską egzotykę, na to pierwsze bałtyckie sushi. Śledź po japońsku przypomniawszy mu pewne przyjęcie z odległej już dla niego przeszłości. W świeżo oddanym mieszkaniu inżynier podejmował wicewojewodę, dwóch wicedyrektorów ze zjednoczenia, wiceprezesa spółdzielni i jednego zastępcę członka. Wznosili toasty za falowiec, aby rósł w siłę, a ludziom żyło się w nim dostatnio. Żona w japońskiej fryzurze roznosiła śledzie, podtykała paluszki i nóżki w galarecie. Była jak prawdziwa gejsza, piękna i cicha. Może jeszcze wierzyła, że toasty się spełnią, że spełnią się jego przysięgi, że będą żyć tylko dla siebie. I dla dwóch małych dziewczynek śpiących w drugim pokoju. I że falowiec nigdy ich nie rozdzieli.

– Czy mogę zapalić? – zapytał inżynier, odstawiając pusty talerzyk.

Gospodyni podała mu wielką popielnicę z rżniętego kryształu. Mężczyzna wyjął z kieszeni ortalionu ulubione caro. Poczęstował ją

papierosem. Chciał ją jeszcze uraczyć krówkami, ale wydały mu się twarde jak kamień. Papieros miał smak trocin.

– Zwietrzałe – westchnęła kobieta. – Gdzie pan się ukrywał?

– Nie ukrywałem się. Wyruszyłem na tę wojnę, ale nie znalazłem jej. Czy może mi pani powiedzieć, gdzie ona jest?

– Wojna? Wojna jest w nas. Jest w naszym sprzeciwie, w naszych sercach, które zmieniły się w oporniki. Jest w nich. Tli się w otchłaniach ich koksowników, tli się w ich papierosach, które odpalają od luf swoich czołgów. Jest w tym, co nie wybuchło. Między czarnym a białym. Między „my” a „oni”. W powietrzu zakrzepłym od wspólnej nienawiści. Nie czuje jej pan?

Nagle rozległo się walenie do drzwi.

– Niech pan się schowa. Tam, za paprotkę.

Gospodyni opanowała się błyskawicznie i wyszła na korytarz, pozostawiając zmartwiałego ze strachu inżyniera.

– Nie, nie ma – mówiła do kogoś na galerii. – Zostawcie... nie zabierajcie. Dlaczego?...

Inżynier przykucnął za donicą i zakrył głowę dłońmi.

– Nie zabierajcie mnie – szeptał bezradny jak dziecko. – Nie zabierajcie. Dlaczego?...

Dlaczego właściwie wybrał się w tę cholerną, niebezpieczną podróż w czasie? Czy nie mógł siedzieć spokojnie we własnej klatce? W tej chwili uświadomił sobie, że jedyna podróż, jaką naprawdę chciałby odbyć, to podróż wstecz. Podróż poza falowiec, na łąki, po których chodził za ręką z przyszłą żoną. Łąki pełne koniczyny i leniwych krów. To on je zniszczył, stawiając na nich ten monstrualny blok. A teraz, skulony za paprotką, marzył, by na nie powrócić. Ale tam, do przeszłości, nie prowadziły żadne drzwi. W jego klatce, pierwszej od morza, panował rok siedemdziesiąty

piąty. Małżeństwo się rozpadło, łąki stały się zakurzoną placem wiecznie nieskończonej budowy. Nie było drogi odwrotu. Inżynier skulił się jeszcze bardziej.

– Usmażyć panu jajecznicę? – zawołała gospodyni z korytarza.

Mężczyzna nie odpowiedział, weszła więc do pokoju z kobiałką pełną jaj.

– Wie pan, jakie okazjone jajeczka? Cena jak sprzed kilku lat. Baba tu taka chodzi. Powiedziałam jej, żeby zostawiła całą kobiałkę, to się zawahała. Zaczęła się drożyć. Ot, chłopska mentalność. Zawsze myślą, że ich ktoś chce oszukać. A pan co tak za tą paprotką siedzi?

– Sama mi pani kazała się za nią schować. A właściwie, co to za pomysł? – wstał, podnosząc głos. – Zza tej doniczki widać mnie było jak na dłoni.

– O, i tu się pan wykazał elementarnym brakiem znajomości zasad konspiracji. I nieznajomością psychologii behawioralnej przy okazji też. Nikt by pana za tą paprotką nie znalazł. Dlaczego? Bo nikt by tam pana nie szukał. Komu przyszłoby do głowy, że ukrywa się pan w tak widocznym miejscu? Widzę, że nie przekonuje to pana?

– Nie.

– To może inaczej. Proszę się rozejrzeć po moim mieszkaniu. Ma łącznie trzydzieści metrów kwadratowych. Czy to możliwe, abym tutaj kogoś ukrywała?

– Na trzydziestu metrach? Nie sądzę.

– I tak samo myślą oni. Niech pan weźmie taboret. Proszę ustawić go tam – wskazała wylot pawlacza. – Wejść na niego i otworzyć drzwiczki. Tylko proszę nic nie mówić. Mieszkanie może być na podsłuchu.

Inżynier potulnie wykonał polecenia gospodyni. Otworzył pawlacz i zachwiał się na kulawym stołku. Z ciemności spoglądały na niego trzy

pary oczu. Trzy palce wskazujące spoczywały na trojgu ust. Inżynier czym prędzej zatrzasnął wrota skrytki.

– Widzi pan, mam komplet. Dlatego musi pan iść dalej. Dam panu adres i hasło do profesora – zapisała coś na kartce. – Proszę się tego nauczyć na pamięć.

Podawała mu karteluszek. Z adresu wynikało, że profesor mieszka w następnej klatce.

– Zapamiętał pan?

Inżynier kiwnął głową, kobieta zapaliła więc zapalną i starannie spopielila niebezpieczny dowód na istnienie podziemnego państwa na dziesiątym piętrze.

– Zrobić jajecznicę?

– Tak, poproszę.

Gospodyni wyszła do kuchni, skąd po chwili nadleciał nieopisany smród.

– Co za baba! Wszystkie jajka zepsute. Można by ich używać na manifestacjach zamiast koktajli Mołotowa. Ale się dałam nabrać. Niech pan chwilę poczeka, wyniosę je do zsypu.

Mężczyzna został sam. Z nadzieją spojrzął na mały żółty telewizorek. Tak bardzo chciał dowiedzieć się czegoś więcej o tej dziwnej wojnie. Telewizorek milczał jak głaz. Może zapytać tych z pawlacza? Nie, tu jest podsłuch. Wyłapią ich, rozstrzelają. I jego też przy okazji.

W mieszkaniu gęstniał smród rozkładającej się epoki Gierka. „Ile miały te jajka? Sześć lat? A może raczej sześć dni? Na jednym z nich poślizgnąłem się przecież nie dalej jak w środę”.

– Skorupki wyrzucone – obwieściła od progu kobieta. – Teraz czas na spacer.

– Spacer? A nie można później? Za chwilę zacznie się *Dziennik Telewizyjny* – przypomniał z nadzieją w głosie inżynier.

– Ej, gdzie pan się naprawdę ukrywał? – spojrzała na niego podejrzliwie. – W porze *Dziennika* cała Polska spaceruje. Niech pan weźmie ten telewizorek za rączkę. O, tak. Wyprowadzimy go razem na spacer. Niech zobaczy, jak wygląda świat. Jak cierpią ludzie, jak łakną chleba i wolności. Niech przestanie wreszcie kłamać.

Rozległo się walenie do drzwi.

– Znów ta baba. Szkoda, że nie zostawiłam skorupek do reklamacji. Ja mam ręce brudne, niech jej pan otworzy.

Inżynier przełożył telewizorek do lewej dłoni i nacisnął klamkę. Za progiem stało dwóch młodych milicjantów. Mogli mieć najwyżej po dziewiętnaście lat.

– Jest pan aresztowany.

– Dlaczego?

– Jeszcze nie wiemy. Józek, przeczytaj formularz. Coś się na pewno znajdzie.

Józek wyciągnął zza pasa bumagę i zaczął sylabizować.

– „Meldunek o zatrzymaniu. Przyczyna zatrzymania. Wznosił wrogie okrzyki. Wzywał tłum do działań niszczycielskich. Wygłaszał prowokacyjne przemówienia. Kolportował ulotki o treści antypaństwowej. Demolował sklepy, kioski, budki telefoniczne. Obrzucał kamieniami pojazdy i budynki. Atakował milicjantów niebezpiecznymi przedmiotami (kijami, prętami, kamieniami). Podpalał samochody, wzniecał pożar w obiektach. Uczestniczył w budowie barykady”. Nie pasuje – westchnął zawiedziony.

– Czytaj dalej. O, tutaj.

– „W czasie zatrzymania znaleziono: ulotki antypaństwowe, transparent o wrogiej treści, butelkę z płynem (benzyną, kwasem solnym), kij, pręt, ostre narzędzie, kamienie, łańcuch, pałkę, kabel, inne przedmioty”.

Drugi funkcjonariusz spojrzał triumfująco.

– Mamy go.

– „Inne przedmioty” – powtórzył Józek i zawiesił wzrok na małym żółtym telewizorku, który inżynier trzymał kurczowo za rączkę.

– Po co panu ten telewizor?

– Miałem wyprowadzić go na spacer.

Milicjant pokiwał głową z miną Sherlocka Holmesa.

– Dokumenty!

– Nie mam przy sobie dokumentów.

– W stanie wojennym wychodzi pan z domu bez dokumentów?!

– Nie wychodziłem z domu. Mieszkam w tym budynku.

– Gdzie?

– W pierwszej klatce.

– No to pan pozwoli z nami.

Inżynier odstawił telewizorek i skinął głową gospodyni. Zrozumiał, że musi stać się ofiarą tej historii. Musi za wszelką cenę uratować bohaterów z pawlacza, odciągnąć od nich uwagę milicyjnych psów. Aresztowany. Jak on się tak pokaże w swoich czasach? Co powiedzą jego dyrektorzy? Co powiedzą w Resorcie? A niech mówią, co chcą. Nareszcie będzie mógł im dumnie spojrzeć w twarz. Urodzony w dniu wybuchu drugiej wojny światowej, jako chłopak zazdrościł jej bohaterom. Teraz on będzie bohaterem nowej, niepojętej wojny.

Szli pustymi, ciemnymi galeriami. Słabe światła kuchni i sypialni padały co chwila na twarze młodych funkcjonariuszy. Z każdą klatką

zdawali się coraz młodszy. Kiedy doszli przed drzwi mieszkania inżyniera, stało się z nimi coś dziwnego. Zmaleli, zdziecinnieli, nie mogli się odnaleźć w za dużych, pofałdowanych na ich chłopięcych ciałach mundurach. Czuli się w nich wyraźnie nieswojo. Ten wyższy zapytał nagle głosem sprzed mutacji.

– Wujku, a masz może cukierka?

Inżynier odruchowo sięgnął do kieszeni. Pełne były świeżych, mięciutkich krówek.

– Macie, jedzcie, chłopcy – wcisnął im w ręce zbawcze mordoklejki.

Milicjanci spojrzeli na niego z wdzięcznością spod za dużych służbowych czapek.

– Idźcie już do siebie. Mamy się pewnie o was niepokoją.

Mali funkcjonariusze podciągnęli za długie nogawki i ruszyli z powrotem w swoich wielkich chaplinowskich butach. Inżynier z ulgą zatrzaskał drzwi. W mieszkaniu czekał na niego wierny ametyst z porcją dobrych wiadomości ze wszystkich frontów socjalistycznych budów.

KLATKA C

Obudził go przeciągły turkot. Telefon? Zdechły hipopotam leżał spokojnie na swoim szarym katafalku. Dźwięk dobiegał zza uchylonego okna. Inżynier wyszedł na balkon. Zapalił. Dziesięć pięter niżej rozkręcała się w twórczym zapale szara betoniarka. Wraz z hałasem wylewał się z niej beton. Zalewał cherlawy trawnik, kładł pokotem oddział czerwonych róż ćwiczących barwę przed lipcowym świętem, pełził w stronę nowo położonych, a już popękanych jak kra płyt chodnika. Stamtąd po osiedlowych schodkach przedostał się na czerwcowe niebo. Z każdym obrotem betoniarki niebo szarzało coraz bardziej. Szarość tężała nad betonowym światem.

„Nie będzie dziś plaży” – tak powiedziałaaby żona.

„Będzie, kochanie, będzie” – uspokajał ją, zanim zrozumiał, że kobiety myślą w sposób o niebo bardziej złożony niż geolodzy i architekci.

Wychylił się przez balkon. Plaża była. Było też morze. Szare jak cała reszta. Inżynier lubił szarość i – w przeciwieństwie do żony – dobrze czuł się pod betonowym sklepieniem nieba. „Jej oczy też były szare” – przypomniawszy sobie. „Wszystko na mój widok szarzeje” – powiedział jej kiedyś z dumą, myśląc o tych wszystkich łąkach, które uda mu się w przyszłości zabetonować nowymi osiedlami. Kiedy kochali się na jednej z takich łąk, czuł, jak w jego głowie obraca się wielka betoniarka. Po wszystkim ona, naga, z odcisniętymi stokrotkami na plecach, wskazała dłonią zielonego pasikonika.

– A gdzie on będzie mieszkał?

– I dla niego wybudujemy małe osiedle – odpowiedział, nie przestając jej całować.

Osiedla dla pasikoników nie wpisano w plan urbanistyczny Przymorza Wielkiego. Pozostawiono im za to obszerny Pas Nadmorski. Dzikie łąki i laski rozciągające się między ostatnią klatką falowca a plażą. Idealne miejsce dla zakochanych par i towarzyszących im w krzakach podglądaczy. „Zboczeniec” – to słowo przyniosły córeczki z łąki wraz z uwitym przez matkę wiankiem. Wkrótce zaczęły kolekcjonować ukrytych w lasku zboczeńców i chwalić się nimi w przedszkolu po każdym niedzielnym pikniku. Zboczeńcy należeli do nieodłącznych uroków lata, jak komary i złącząca po słońcu skóra. Byli nawet lepsi od komarów, bo dostarczali miłego dreszczyku emocji bez odczuwalnych skutków ubocznych. Ale odkąd pojawili się w słowniku dziewczynek, inżynier zabronił córkom opalać się bez matki. Sam nie miał czasu walczyć ze zboczeńcami. Niedziela to był dzień święty jego pracy. Na ołtarzu biurka składał co tydzień ofiarę ze swojej własnej rodziny.

Jednak wraz z ucieczką żony uciekł też gdzieś jego dawny zapal do pracy. Zamiast kreślić kolejne śmiałe plany, godzinami liczył igielki asparagusa albo przeżuwał dania serwowane mu przez popielatego ametysta, lokaja systemu. Dziś nie miał ochoty na kolejny kwadrans biadoleń o braku sznurka do snopowiązałki. Włożył ortalionowy płaszcz oraz pełne obuwie (kto wie, na jaki miesiąc trafi) i wyruszył w przyszłość.

Ta zaskoczyła go już za progiem. Gdy zamasyście otworzył drzwi do następnego roku, nad jego głową zawisło ostrze siekiery.

– Nie kręćta się tu jak bąk. Nie widzita, że drwa rąbię?

Inżynier musiał mieć bardzo oszołomioną minę, bo właściciel krowy balkonowej zaczął mu tłumaczyć już spokojniejszym tonem.

– Kożę kupilim, bo te kalofry to nic niewarte. Już tera zimno jak w oborze, a co będzie, jak mrozy przyńdą? Okna nieogacone, kit się wykrusza, wiatery szparami wieje. Chcielim okiennice założyć, pytalim w geesie, ale na te faloncowe okna okiennic nigdzie ni ma. Bo to po prawdzie nawet nie przypomina okna. Kalikatura taka. Szybki obok siebie nastawiali, jak w jakim ikonostasie. I patrzeć każą. Ino patrzeć ni ma na co, chyba że na insze walonce. U nas, na wschodzie, to były okna jak się patrzy. I piece szerokie – jak baba. Tu taki nawet nie wliże. Tom też sobie choć kożę do tej zimnicy sprowadził. Przeto i drewno rąbiem. Akurat ta galeryja na drewnię zdatna.

– Ale tu nie można dogrzewać mieszkania kożą. To jest nowoczesny blok.

– Nie można? A kto mi zabroni? Ja tu pan. Na swoim. Niech no przyńdzie jaka kontrol, to siekierą pogonie.

Inżynier nie odważył się polemizować z argumentem siły i ostrożnie wyminął pieniądze. Chłop powrócił do przerwanej pracy. Rąbał tak zapalczywie, że uderzenia jego siekiery słychać było jeszcze w siedemdziesiątym dziewiątym, ba! – nawet w osiemdziesiątym roku. Umilkły dopiero wytłumione śniegiem w mroźnej klatce stanu wojennego. Inżynier, brnąc przez świeże zaspy, obracał w myślach zapamiętane hasło. Przebył jeszcze dwie klatki i zatrzymał się pod wskazanym na kartce numerem.

– Byt jest, a niebytu nie ma – wyrzucił z siebie szybko myśl Parmenidesa.

– A reszta jest spod lady – odpowiedział mu spokojnie brodaczy w szarym swetrze z golfem. – Proszę wejść. Czekalem na pana.

Mieszkanie, choć tylko dwupokojowe, wyglądało jak skomplikowany labirynt. Na prawo, na lewo, prosto – wszędzie zalegały książki. Białe

zaspasy zadrukowanego papieru, w których ktoś wydrążył tunele. Jeden z nich prowadził do niewielkiej wnęki ze stojącą lampą i wersalką.

– Dobrze pan zgaduje: w wersalce też są książki – brodacz uprzejmym gestem wskazał inżynierowi, gdzie ma usiąść.

– To zrozumiałe, w końcu jest pan profesorem.

– Profesorem? Pewnie pani Jadwiga tak mnie panu przedstawiła. Sąsiedzi nazywają mnie profesorem, bo mam dużo książek. Nie rozumieją, że można je kochać bezinteresownie.

Brodacz czule przekartkował leżący na wierzchu tomik z piwowskiej serii z jednorożcem. Pod jego palcami kartki wydawały się zupełnie białe. Czyste jak płatki śniegu.

– Pomówmy lepiej o panu. Jak pan widzi, warunki do ukrywania się są tu idealne. Książki zasłaniają okna, wygłuszają podsłuch. Może pan tu przesiedzieć nawet do końca komuny.

– To pomyłka. Ja się nie muszę ukrywać. Z nikim nie walczę i mam gdzie mieszkać.

– To po co pan tu przyszedł?

– Przyszedłem, bo chciałem poznać przyszłość.

– Przyszłość? Pan myśli, że skoro przeczytałem wszystkie te książki, to wiem, co stanie się ze światem za dziesięć lat? Tak sądzą ludzie naiwni i... politolodzy. Na prostaczka pan nie wygląda. Czyżby był pan politologiem?

– Nie, nie. Trudno mi to wytłumaczyć. Czas, w którym pan żyje, jest dla mnie przyszłością. I tylko o ten czas, czas dla pana teraźniejszy, realny, chciałbym pana zapytać. Chciałbym dowiedzieć się czegoś o pana współczesności. Leżą tu sterty różnych czasopism. Czy mógłbym do nich zajrzeć?

– Naprawdę pan tego chce? – zaśmiał się ponuro brodacz. – Naprawdę chce pan poznać orwellowski rok osiemdziesiąty czwarty? A więc proszę,

niech pan otwiera i patrzy. Te wszystkie pisma, te wszystkie książki na podłodze – to moje dzieło.

Inżynier schylił się po pierwszą z brzegu książkę. Otworzył jej żółte okładki i przez chwilę obracał kartki. Odłożył ją. Wziął następną. Potem kolejną. I jeszcze jedną. Wszystkie wyglądały tak samo. Ich stronice były puste.

– Brak panu słów? – zapytał ironicznie brodacze. – Wie pan już, kim jestem? Kapłanem tego systemu. Człowiekiem, przed którym drżą najwięksi pisarze i najwybitniejsi uczeni. Najwyższym sędzią, od którego wyroków zależy dobro i prawda. Dawcą natchnienia dla karnych zastępów literatów. Nad-Twórcą, który nadaje ostateczny kształt naszej narodowej kulturze. Panem Słowa. Jestem, który jestem. Cenzorem.

Inżynier patrzył z niedowierzaniem. Brodaty mężczyzna na wersalce w niczym nie przypominał groźnego patriarchy. Był typowym zagubionym intelektualistą swej epoki.

– To pan cenzorskimi nożycami wyciął teksty z tych wszystkich książek?

– Tak, ja.

– Czemu pan to zrobił?

– Z niespełnionej miłości.

– Chciał pan być pisarzem?

– A kto nie chce?

– Zazdrościł pan innym talentu? Pan go nie miał i dlatego się mścił? – inżynier z każdym pytaniem czuł przypływ nieznanego mu dotąd odwagi i gniewu wobec świata, w którym żył.

– Nie mściłem się – odpowiedział spokojnie cenzor.

– A to, to co?!

Inżynier uniósł w stronę światła naręcze książek i upuścił je gwałtownie na ziemię. Rozsypały się białe kartki, okładki zadudniły głucho.

– Niech pan pójdzie za mną – brodacz wskazał mu tunel wydrążony w pustych słowach. Szli długo. Inżynier nie zorientował się nawet, czy byli teraz w drugim pokoju, czy w kuchni zabudowanej książkami.

– Widzi pan tę ramkę? W normalnych czasach służy do oprawy płócien malarskich. Teraz rozpina się na niej szyfon, a pod spód przykleja matrycę białkową z tekstem. Ten tekst napisany jest na maszynie bez taśmy barwiącej. Proszę spojrzeć, maszyna stoi tam, na książkach. Pod gotową matrycę podkładam kartki papieru i wałkiem przeciskam przez nią farbę. Tak powstają kolejne strony książki. Potem przycinam je ostrożnie gilotyną. To taka moja papierowa rewolucja. Oprócz tego prostego powielacza mam jeszcze zakonspirowany w łazience sitodruk. Emulsję drukarską naświetla się za pomocą zwykłego światła dziennego. Jakiś węgierski opozycjonista powiedział, że sitodruk to „władza radziecka minus elektryfikacja”. Tak wygląda nasz rok osiemdziesiąty czwarty.

Inżynier zaczął przeglądać leżące w stosach książki. Wszystkie miały szarozielone, wymiętoszone, niestarannie przycięte papierowe okładki z rozchwianymi literami i śladem źle odcisniętego szablonu. W środku kryły ledwie czytelne maszynowe pismo.

– Wszystko to pan sam wydrukował?

Oczy brodacza rozbłysły.

– Tak, ja sam. Wie pan, czemu zostałem cenzorem? Bo kochałem prawdę. Bo łaknąłem jej jak chleba. A w żadnym sklepie nie mogłem jej dostać. I wiedziałem dlaczego. Prawdy nie można kupić w księgarni, bo wcześniej wycinają ją starannie z książek wielkimi nożycami. Robią to w pewnym ponurym Urzędzie. Tam jest prawda. Leży na podłodze – wycięta z książek i gazet. Aby ją poznać, trzeba się dostać do tego gmachu.

I dostałem się tam. Zostałem ważnym cenzorem. Mogłem czytać wszystkie zakazane książki. Ale wkrótce poczułem się jak fryzjer króla Midasa, któremu nie wolno pisać słowa o wstydlwym sekrecie władcy. Tylko ja znałem prawdę. Wiedziałem wszystko o naszym położeniu, o władzy i o opozycji. Ale to ja jak fryzjer musiałem nożycami przycinać niepokorne książki. Nie mogłem pozwolić, aby wystawały z nich ośle uszy. Ja tymi ostrymi nożycami zabijałem prawdę. I wtedy podjąłem decyzję. Wiedziałem wszystko o opozycji, znałem ich adresy. Łatwo mi było przejść na drugą stronę. Powiedziałem szczerze, co mnie do nich sprowadza. Uwierzyli. Dali mi za pokutę tę drukarską ramkę, którą z mozołem przenoszę zakazane przeze mnie teksty z cenzorskich lochów do drugiego obiegu. Teraz wszyscy mogą je czytać. Widzi pan, jak zaczytane są te książki? Wszystkie mają ośle uszy.

– A pani Jadwiga? Kim ona jest?

– To jedna z moich najlepszych kolporterek. Choć dziwna na swój sposób. Ona też twierdzi, że znam przyszłość. Zafiksowała się na roku osiemdziesiątym drugim. Wciąż nie może wyjść ze stanu wojennego.

– To wojna już się skończyła? – inżynier spojrzał z nadzieją na rozmówcę, ale brodac zignorował pytanie.

– Mam wrażenie, że jest trochę nawiedzona. Twierdzi, że nad falowcem zatrzymuje się UFO. Czasem wprost nad nami, ale najczęściej nad zatoką. Wiele razy widziała tam nocą kolorowe, świecące cygaro. Podobno dobrze je widać z galerii. Do cygara wlatują talerze, a potem wszystko znika. Ja nic nie widziałem, bo nocami pracuję tutaj, przenosząc prawdę sitem.

– Może to Sowievi?

– Może. A wie pan, co mi pani Jadwiga wciąż podrzuca do powielenia? To schodzi dużo lepiej niż Sołżenicyn.

Wyciągnął ze stosu niepozorną broszurkę.

– Tu znajdzie pan całą przyszłość, której pan tak szuka. Będą gromy, błyskawice na niebie, morze podniesie się i zaleje Gdańsk. A potem zaleją nas Chińczycy. Będzie wielka wojna, a papież ucieknie do Polski po głowach kardynałów. Tylko nasz kraj ocaleje. Chce pan? Mam wiele takich prorocत्व. Każde głosi zagładę świata i odrodzenie Polski od morza do morza. Ja wolę Orwella.

Inżynier wziął broszurkę i machinalnie schował ją do kieszeni płaszcza.

– Nad czym pan teraz pracuje?

– Składałam właśnie nową książkę Zinowiewa. Słyszał pan o nim?

– Nie bardzo.

– Rosyjski emigrant. Dwa lata temu wydał we Francji książkę, za którą należy mu się Nobel. Nie, nie literacki. Nobel w dziedzinie medycyny. Wykrył i opisał wirusa, który opanował całe populacje demoludów. Nazywa się ten wirus *homo sovieticus*.

– Dziwnie się nazywa. Czy to groźne?

– Tak, bardzo. Chory z dnia na dzień czuje się coraz bardziej podporządkowany władzy. I – co gorsza – sprawia mu to coraz większą przyjemność. Ucieka od wolności i odpowiedzialności za siebie, za rodzinę, za kraj. Ma coraz większe problemy z samodzielnym myśleniem. Szuka kogoś, kto będzie decydował za niego, kto pokieruje jego życiem. Takemu panu gotów jest służyć. Staje się oportunistą, koniunkturalistą. Zaczyna donosić na kolegów.

Z każdym słowem inżynier czuł się coraz bardziej chory.

– Jak się tym można zarazić?

– Wszyscy jesteśmy zarażeni. Wszyscy nosimy to w sobie.

– Pan też?

– A jak pan myśli? Widzi pan tamtą półkę nad zlewem?

Inżynier z trudem zlokalizował zlew. Po brzegi wypełniały go książki. Brodacz podszedł do półki i zdjął z niej białą porcelanową figurkę ledwie widoczną na tle białego rzędu okładek.

– Ćmielów. Nosi tytuł: *Victor – Zwycięzca*.

Figurka przedstawiała brodacza w swetrze z golfem. Brodacz unosił w górę dłonie zaciśnięte w tryumfalnym geście olimpijskiego medalisty. Na jego szyi nie spoczywał jednak medal. Inżynier wpatrywał się w rzeźbę z niedowierzaniem.

– Czy to jest sznurek z rolkami papieru toaletowego?

– Prawda, że śmieszne? Musiałem zakazać. Produkcja nie ruszyła. Pozostał tylko prototyp.

Brodacz ostrożnie odłożył na półkę swojego białego sobowtóra.

– Może chce się pan czegoś napić?

– Nie, muszę już iść. Czuję, że dopadł mnie jakiś wirus.

– Nie weźmie pan paru książek na drogę?

Inżynier zawahał się. „Nielegalne pisma. Nie, lepiej nie. Tyle niebezpieczeństw czai się na każdej z klatek. A i u mnie w domu też nie można czuć się całkiem bezpiecznie. Kiedyś w końcu dowiedzą się, gdzie chodzę. Droga w przyszłość na pewno nie jest legalna”.

– Dziękuję. Następnym razem.

Gdy wyszedł na galerię, było już całkiem ciemno. Nad zatoką błyszczał jasny dysk. Księżyc? Nie, raczej talerz. Talerz po brzegi pełen światła. Wylewało się z niego jak biała mleczna zupa. Talerz wirował. Chlustając światłem, plamił czarny obrus nieba. Wtem niewidzialna ręka postawiła na obrusie termos. Stalowy, błyszczący. Talerz, termos, kosmos – wszystko zakręciło się, zawirowało i znikło.

Inżynier, przejęty, sięgnął po papierosa. Nie był jednak w stanie go dopalić. „Z roku na rok caro stają się coraz gorsze”. Zniechęcony, rzucił

niedopałek w kosmos. Samotny ognek wirował dziesięć pięter, w końcu pochłonęła go ciemność. Inżynier ruszył do domu. Nie była to jednak droga łatwa ani przyjemna. Dwie klatki dalej czyhała na niego Scylla w papilotach.

– Co tu robi po godzinie milicyjnej? Mam patrol zawołać?

– Ja tu mieszkam.

– To niech mieszka, a nie łązi po cudzych klatkach. Może mleko chce kraść? A pójdzie stąd!

Scylla machnęła za nim ścierką w sprane prążki. Inżyniera oblał zimny pot. Skąd wie o wypitym mleku? Przecież to było w klatce C, kilka lat temu. Przyspieszył kroku. Szedł tak szybko, że o mały włos potknąłby się na porzuconej w ciemnościach siekierze. Wokół szczapy drewna sterczały z mroku.

„Tak nie można – pomyślał. – Siekiera, koza, krowa. On stwarza zagrożenie dla całego bloku. Zadzwonię do pani Basi”.

I wtedy przypomniały mu się trzy sylaby nadmuchane powietrzem jak balon: „Pus-to-stan”. Machnął ręką i wszedł na swoją czerwcową klatkę. Tu było widno i bezpiecznie.

W mieszkaniu przywitała go meblościanka z regałem pełnym książek. Znajoma w księgarni dbała, aby miał wszystkie modne serie w komplecie. Jego szpanerska biblioteka hodowana była pieczołowicie pod ladą jak wiosenne nowalijki pod szkłem. Ustawione w równych rzędach książki czekały karnie na jego emeryturę. Mityczny czas, gdy będzie miał wreszcie dla nich czas. Kiedy on posiwieje, a nowości zżółkną, staną się sobie nawzajem potrzebni: on w starych papuciach, one – w wymiętoszonych okładkach. Szczęśliwi. Spełnieni.

Usiadł w fotelu obok wielkiej ciemnej plamy zdobiącej dębowy, dawno niepastowany parkiet. Usiadł w cieniu plamy, tak jak kiedyś siadał w cieniu

palmy. Plama była jej jedynym śladem, jedynym powidokiem potężnego tropikalnego drzewa, które władało niegdyś przestrzenią tego pokoju. Mała szorstkowłosa palemka była częścią posagu jego żony. Wędrowała z nimi po wynajmowanych mieszkaniach, coraz większa i cięższa, coraz natarczywiej domagająca się stałego lokum, w którym wreszcie mogłaby zapuścić korzenie. Kiedy wprowadziła się do falowca, bezceremonialnie zajęła cały duży pokój, przeznaczając go na własną palmiarnię. W wielkiej beżowej wytłaczanej donicy pełniła honory pani domu, palczastymi liśćmi zapraszając gości do wnętrza. Pierwsze powitania i zachwyty kierowały się zawsze ku niej. Byli i tacy, którzy chcieli ją odkupić, proponując ceny w dolarach, wysokie jak ona. Żona z godnością kręciła głową. Gdy uciekała do Niemiec, jej ostatnie spojrzenie padło z pewnością na palmę. Ta na próżno wyciągała ku niej swe palczaste liście z długimi brązowymi paznokciami. W kilka tygodni po ucieczce swojej pani palma postanowiła ze sobą skończyć. Jej rozczapierzone dłonie schły jedna po drugiej. Palma żółkła, kurczyła się, malała. Wreszcie trzeba było wyprowadzić jej opustoszały szorstkowłosy pień sterczący smutno z wielkiej ceramicznej urny. Pozostała tylko plama, gorzki anagram, a może negatyw bujnej przeszłości. To pod palmą najchętniej fotografowały się dziewczynki, to pod nią szukały gwiazdkowych prezentów, bo na choinkę w dużym pokoju nie starczało już miejsca. Teraz pozostała tylko wyżarta w podłodze pustka.

Pustka panowała też w lodówce. Inżynier od dwóch dni nie odwiedzał supersamu. Dziś było już za późno, by wybrać się do tego przyklejonego niemal do falowca pawilonu z rozczulającym wielkim napisem na szybie: „Zakład szkoleniowy. Prosimy o wyrozumiałość dla uczniów”. Inżynier był więc wyrozumiały, gdy po zakupach w sklepie poranną kawę słodził zbryloną solą. Z ostatnich zakupów pozostały mu już tylko słone paluszki zanurzone w wysokiej szklance na prostokątnym stoliku tuż obok. Zagryzł

nimi pierwszy głód i sięgnął do kieszeni płaszcza (dopiero teraz zauważył, że nie zdjął go przy wejściu). Wyjął z kieszeni małą broszurkę w jasnozielonej wymiętoszonej okładce. „W tym dziele zapisana jest na maszynie przyszłość całego świata” – pomyślał z nutką ironii. Otworzył na chybił trafił. Strony były puste. Białe jak grudniowy śnieg.

KLATKA D

Ostry dźwięk rozerwał mu sen na strzępy. Inżynier próbował zgarnąć resztki snu i przykryć się nimi jak kołdrą. Ale dźwięk był uparty, dokuczliwy. Mężczyzna zwlókł się z łóżka i odebrał telefon.

– No, i jak tam, inżynierku, pracujecie nad raportem? – zabełkotał głos w słuchawce.

– Nad jakim raportem?

– Co wy, głupa rżniecie? Mieliście myśleć, jak rozgryźć kolegę Miotka. *N'est-ce pas?*

– Tak, towarzyszu majorze, ale umówiliśmy się przecież w tej sprawie na lipiec.

– Lipiec, głupiec; czerwiec, wnerwiec. Cały czas trzeba myśleć. My myślimy za was nawet na nocnej zmianie. I mamy coś dla was. Taki mały talonik. Na bardzo kolorowy telewizorek. Cieszycie się?

– Tak, towarzyszu.

– Do odbioru po weryfikacji raportu. A teraz bez odbioru – słuchawka uderzyła o widełki.

Inżynier czuł, że już nie zaśnie. Wyszedł na balkon. Czerwcowe słońce dyżurowało już na niebie. Zapalił papierosa. „Po co im ten Miotk? Co im złego zrobił? Zwykły inżynier. No, może trochę zdolniejszy od innych. Ale pracuje jak każdy. Od rana do wieczora w biurze. Raz tylko jakieś ulotki przyniósł. O Katyniu. To było chyba ze dwa lata temu. Nie pisałem o tym nigdy, po co mam kolegę wkopywać. Zawsze słyszałem, że Katyń to Niemcy, a on się upiera, że to zrobił Stalin. Obraził mnie nawet.

Powiedział, że nic nie wiem, że mnie propaganda sukcesu oślepia. Właściwie to zawsze był wobec mnie jakiś taki... z dystansem. Pewnie zazdrości, że to ja dostałem ten falowiec. On robi w kółko czteropiętrowe. Tu nie zaszaleje ze swoim talentem. Pamiętam te zdjęcia z Gwiezdnego Miasteczka koło Moskwy. Byłem pewien, że to Przymorze. Toćka w toćkę identyczne bloki. I wszędzie taki sam rozkład. W całym bloku wschodnim takie same bloki. Znajomy przeprowadził się z Kielc do Gdańska i tylko mu się widoki za oknem zmieniły. Co tu można dodać od siebie? Widzę, jak on się męczy. Tu poszerzy okno w kuchni, tam da luksfery na klatce. Nudzi się w pracy, to mu się polityki zachciewa. Dlatego wpadł im w oko. Tylko nie wiem, dlaczego właśnie mnie nim obciążyli. Przecież prawie się nie kolegujemy. Co ja o nim w lipcu napiszę? Jeśli zaproszę go do domu, będzie pewnie trzymał język za zębami. Czuję, że od dawna mi nie ufa. A może wspomnieć jednak o tym Katyniu? W końcu służby wiedzą, jak było naprawdę. Kto jak kto, ale oni muszą wiedzieć. Może przy okazji i ja się czegoś dowiem? Bardzo mu to pewnie nie zaszkodzi. Zresztą, na moim miejscu zrobiłby to samo. Nie lubi mnie. Jak wchodzę do biura, nawet nie skinie głową. Udaje, że pracuje. A nad czym? Przecież nie ma nic do roboty. Może te czteropiętrowce dali mu za karę? Major wspominał mi, że Miotk nabroił coś w siedemdziesiątym roku. Był w jakiejś delegacji czy koło komitetu strajkowego się kręcił. «Niebezpieczny element» – tak o nim powiedział major”.

Tamtego grudnia inżynier chronił się przed historią w wynajętym na Ogarnej mieszkanku. Na ulicach było dużo dymu i hałasu. A potem pojawili się jacyś zabici i ranni. Żona w szóstym miesiącu ciąży, szczebiocząca rozkosznie córeczka. Zabici i ranni z pobliskich ulic nie mieli prawa wstępu na ich szczęśliwe poddasze użytkowe. A potem wszystko się uspokoiło. Ceny mięsa wróciły do normy. Przyszedł nowy

sekretny. Z francuską kartą. Całkiem cywilizowany, otwarty człowiek. Tylko czasem w biurze ktoś szeptał straszne rzeczy. O nocnych pochówkach, o grobach z napisem N.N. Miotk nie mówił nic.

„Pewnie rozmawiali z nim ci z Resortu. On też miał rodzinę, dwoje dzieci. Więc po co się mieszał w politykę? Polityka jest dla tych, którzy nie mają nic do stracenia. A on powinien przede wszystkim chronić swoich bliskich. Tym z Katynia życia nie wróci, bez względu na to, kto ich zamordował. A niepotrzebnie naraża żywych. I mnie też naraża. Bo może Resort wie, że ja wiem? Że czytałem te jego ulotki dwa lata temu i do tej pory nie napisałem o tym ani słowa? – inżyniera oblał zimny pot. – Trzeba będzie się z tego jak najszybciej wytłumaczyć. Ale co im napisać? Że zapomniałem? Zbagatelizowałem? Tak istotną sprawę? Może już dziś powinienem przygotować raport? Nie, nie, spokojnie. Tu trzeba wymyślić jakąś strategię. Spotkam się z nim w lipcu przy koniaczku, popytam o ten Katyń. A potem napiszę, że rozsiewa wiadomości. Niech sprawdzą, co rozsiewa”.

Inżynier uspokajał się powoli. „I jeszcze dodam, że od dwóch lat prowadziłem w tym kierunku operacyjne rozpoznanie. Dlatego nie ujawniałem wyników od razu. Tak będzie dobrze. Miotkowi nic nie zrobią. Dawno musiał pozbyć się tych przeklętych ulotek”.

Zgasił papierosa w starej doniczce. Od roku rosły w niej już tylko pety. Odetchnął rześkim powietrzem poranka i pogodniej spojrzał w przyszłość. Ona również zdawała się pogodna. Powiewała dziesiątkami chorągiewek w kolorach białym, niebieskim, żółtym i czerwonym. „Polski papież – domyślił się. – To musi być klatka D w drugim członie. Tym razem jest ich bez porównania więcej. Jakby wszyscy przestali się bać”.

Nad głową przeleciała mu mewa. Krzyknęła coś i pofrunęła w lepszą przyszłość. „Trzeba iść” – powiedział sobie inżynier. O tej porze nie chciało

mu się myśleć nawet o porannej kawie zbożowej.

Na galerii spotkał sąsiada alkoholika człapiącego z wiaderkiem pełnym śmieci, spośród których bezwstydnie wystawały butelki po żytniej. Sąsiad zniknął za prążkowanymi drzwiami. I w jednej chwili rozdzwoniła się dzwonnica zsypu, rozległy się czyste mocne dźwięki, jakby szklane serca dzwonów oznajmić chciały mieszkańcom nowy dzień socjalistycznej pracy.

Inżynier nie czekał, aż z czeluści zsypu wyłoni się na powrót czerwony nos sąsiada. Na następnej galerii w świetle pierwszej zorzy po zrąbanym drewnie przechadzał się kogut. Łypnął złym okiem na inżyniera i wskoczył na wbity w pień trzon siekiery, by po swojemu chrapliwie opiewać początek dnia. Na dźwięk jego głosu otwarło się jedno z sypialnianych okienek i korpulentna blondynka w bufiastej koszuli nocnej uśmiechnęła się zalotnie.

– Widzi pan, mieszkamy tu jak na wsi.

Okienko zamknęło się tak szybko jak otwarło. Tajemnicy sypialni strzegły białe zazdroski. Inżynier westchnął i poszedł dalej.

W sierpniowej – teraz już wrześniowej – klatce było ciepło i pusto, w grudniowej wciąż panowały ciemności. W marcowej klatce stanu wojennego słychać było pobrzękiwanie szkła. Dwóch młodych chłopaków w drelichach roznosiło butelki z mlekiem. Inżynier stanął na ich widok jak wryty.

– Przepraszam, czy ma pan może papierosa? – spytał wyższy z nich.

„Wujku, a masz może cukierka?” – zabrzmiało w głowie inżyniera pytanie sprzed dwóch dni. Nie, nie mylił się. To był ten sam dryblas. „Prowokacja” – przebiegło mu przez myśl.

Roznosiciel mleka patrzył na niego wyczekująco.

– Tak, mam całą nową paczkę – ochłonął wreszcie inżynier.

– A mogę dwa? Drugi dla Józka – wyjaśnił chłopak. – O, caro. Inteligencja to pali. Tak mówił wujek Kazik. On teraz w internacie siedzi.

– Wujek w internacie? – zdziwił się inżynier.

– No, internowany jest. Milicja po niego przyszła w grudniu.

– A wy nie jesteście z milicji?

– My? A czemu pan pyta? Jak byliśmy dziećmi, to chcieliśmy iść na milicjanta. Ale wujek Kazik nam to z głowy wybił. Lepiej roznosić mleko niż pałować ludzi. Prawda, Józek?

Józek ziewnął przytakująco.

– Popalimy później. Jak nie skończymy przed siódmą, to ta baba z szóstego da nam dopiero popalić.

Chłopcy w drelichach pozostawili inżyniera w głębokiej niepewności. Zręczna prowokacja czy... „Czyżby przyszłość była nie tylko niezdeteminowana, ale i wieloraka? Wszystko, co widzę w swej podróży przez falowiec, wszystkie wydarzenia i fakty z przyszłości mogą mieć wiele sprzecznych ze sobą wersji? Chłopcy zostają milicjantami albo roznosicielami mleka. Kardynałowie wybierają na papieża Polaka albo Murzyna. Przyszłość się rozgałęzia. A przecież droga jest jedna. Czas jest linearny. Trochę zakrzywiony, to prawda...”

Inżynier przerwał swe rozważania w klatce D. Na balustradzie stał samobójca.

– Co pan robi?!

– Ćwiczę skoki z dziesiątego piętra – wycedził flegmatycznie samobójca, odwracając twarz. Mógł mieć najwyżej osiemnaście lat. Nosił niemiłosiernie wytarte i podziurawione jeansy. Na środku ogolonej głowy sterczała mu utleniona szczecina. Inżynier widział kiedyś taką fryzurę. „Gdzie to było? Chyba w jakiejś książce o Indianach”.

– Co się tak gapisz? Masz szluga? – niedoszły samobójca zręcznie zeskoczył z barierki. – No, masz coś do jarania?

Inżynier drżącymi rękoma podał mu papierosa. Chłopak zapalił i zaciągnął się.

– Ty, stary, co mi tu dałeś? Niezły skręt. Jakieś ziółka? Marycha to to nie jest. Suche jakieś. Bez zapachu. Ale dobre. Kręci mnie. Mnie się skręty właśnie skończyły. Za to gotuję kompot. Chcesz?

– Tak, chętnie. Nie piłem dziś nawet kawy.

– Wyglądasz na zgreda, ale jesteś super gościu. Ile masz lat?

– Trzydzieści pięć.

– No, nie świruj. Dałbym ci pięćdziesiąt. Ta biała broda cię postarza. Wyglądasz jak moi wapniacy. Czaisz? Oni myślą, że ten kompot jest z rabarbaru! Tym to do szczęścia wystarczy garść mirabelek i pęto papieru toaletowego na szyi.

– A można spytać, z czego ten kompot, jeśli nie z rabarbaru?

– Lubię twój humor. A z czego miałyby być? Z maku. Pełno w nim makówek. Jak pod Monte Cassino. Włóż, to ci pokażę.

Chłopak z indiańską fryzurą i w postrzępionych łachach z amerykańskiego snu zaprowadził inżyniera do małej zaniedbanej kuchenki. Na największym z zatłuszczonych palników stał ogromny emaliowany gar z gęstą, brunatną cieczą. Jej bulgocząca powierzchnia bardziej przypominała wnętrze Etny niż kwitnące pole chwały na stoku włoskiego wzgórze. Z gara unosił się zapach amoniaku.

– Widzisz, to jest to. Polska heroina. Dwóch studentów z Gdańska wymyśliło ją w siedemdziesiątym szóstym. To nasz gdański wkład do dziedzictwa ludzkości.

– Smaczna chociaż?

– Słodka. Chcesz spróbować?

Inżynier skinął głową. Mimo że miał ku temu kilka okazji w latach sześćdziesiątych, nigdy nie zdecydował się zapalić trawki. Kompot brzmiał jakoś bardziej swojsko, po domowemu.

Narkoman zniknął na chwilę w stołowym. Zamiast kieliszków do ponczu przyniósł stamtąd dużą szklaną strzykawkę z przerażająco grubą igłą. Inżyniera oblał zimny pot. Niczego na świecie nie bał się bardziej od zastrzyków. Nigdy nie uczestniczył w szczepieniach swoich córek, nie chciał nawet słuchać ich rozszczebiotanych relacji z przebiegu leczenia penicyliną. Przy pobraniu krwi mdlał regularnie, otoczony wianuszkami troskliwych pielęgniarek.

– To nówka. Ze szpitala na Zaspie. Wyniosłem wczoraj. Tam teraz wszyscy szykują się na papieża. Nikt nie pilnuje strzykawek.

Napełnił ją brunatnym płynem z gara.

– Musi przestygnąć. To dla ciebie. Polska gościnność. Całkiem nowa strzykawka, rarytas. Chyba nie masz HIV?

– Czego?

– Oj, dziadku, gdzie ty się uchowałeś? Robisz wrażenie, jakby cię zahibernowali w innych czasach. Jakbyś się z *Seksmisji* urwał. O profilaktyce AIDS to nawet niemowlaki w wózkach słyszały. To taka super modna choroba. Każdy kiedyś na nią umrze. Więc lepiej młodo, niż jak się tak zgredzieje jak ty. Umiesz sobie dać w żyłę?

– Nie, ja już za kompot dziękuję.

– Jak chcesz. Nie wiesz, co tracisz. Kurna, a ten szczył co tu robi?

Po brudnych zielonych płytkach PCV wpęłzył do kuchenki mały zasmarkany chłopczyk.

– Brrrum brrrum. Zobacz, wujku, mam nowy samochodek.

Inżynier spojrzał na jego zaciśniętą piąstkę. Błyszczała w niej maleńka czarna karoseria. Tylko czy karoserie przebierają odnóżami?

– Złapał karalucha. Dzielny smarkacz – brat wyjął z rączki dziecka owada i zgniótł go dwoma palcami. Inżynier odwrócił głowę.

– U ciebie nie ma prusaków?

– Nie.

– A gdzie mieszkasz?

– W pierwszej klatce od morza.

– O, to masz jeszcze bardziej odjazdowe widoki niż my.

– Tak, widziałem z okna, jak budowano falowiec.

– Ale czad! Z okna falowca widziałeś, jak go budowano?

– Tak, poszczególne segmenty powstawały niezależnie.

– Wiedziałem, że ten, co to budował, to musiał być niezły świrus. I co, tak mieszkaliście, a cały czas wam coś tam przy d... majstrowano?

– Można tak powiedzieć. Budowa trwała. W dodatku lokatorzy wprowadzali się do mieszkań, które nie były jeszcze całkiem gotowe. Widziałem, jak na nieotynkowanych balkonach suszyła się pościel.

– Niezła jazda. Ja też to widziałem. Było takie zdjęcie w gazecie. Na ścianach pustaki jak w oborze, a cały balkon w białych zaspach pierzyn. Wietrzą swe kołdry straszni mieszczanie. A na innych zdjęciach: kury i króliki. Tylko krowy na balkonie zawsze mi brakowało.

– Krowy?

– Tak, krowy. To by dopiero była jazda. Może moich staruszków namówię. Oni też są ze wsi.

– Lepiej nie – inżynier wzdrygnął się i zmienił temat. – Tak rano, a oboje już w pracy?

– Gdzie tam, w takim dniu? Na papieża poszli. Wzięli stołeczki, czapeczki i trawę od rana na Zaspie ugniatają. Chcą mieć najlepsze miejsce w sektorze. Msza o szesnastej, pewnie ich słońce do tej pory wypali.

A mnie kazali jechać na Westerplatte. Ale mnie papież nie kręci. Ani „Solidarność”, ani komuna mnie nie rusza. Do Ameryki to bym pojechał. Ale muszę zostać w tej kuchni. Z prusakami walczyć. Każdy ma swoje Westerplatte. I tym szczyłem ktoś musi się zająć. Gdzie on jest?

W czasie ich rozmowy malec niepostrzeżenie wspiął się na kulawy taboret i wyciągnął rączkę w stronę bulgoczącego gara.

– Zjeżdżaj stąd, gówniarzu! Kompocik nie dla ciebie. Musisz na niego jeszcze parę lat poczekać.

Dziecko uderzyło w płacz.

– Będiesz mi tu ryczał? Idź spać. Karaluchy do poduchy.

Brat wyniósł pod pachą szamoczącego się malca. Musiał zastosować wobec niego jakąś skuteczną metodę usypiania, bo już po chwili w mieszkaniu panowała cisza, jak makiem zasiał. Słysząc było tylko bulgotanie kompotu.

– A widziałeś ten odlotowy ołtarz na Zaspie? Jak jakiś wielki stary okręt. Jakby chciał wypłynąć na łąki prosto z rusztowania. Byłeś tam wczoraj? Jeszcze go budowali.

– Nie, ale bardzo chętnie bym go zobaczył.

Inżynier pomyślał po raz pierwszy, że mógłby przecież zjechać dziesięć pięter w dół i odetchnąć nieznany powietrzem przyszłości. Spojrzał na kuchenny kalendarz zawieszony na ścianie, z której leniwie złaziła niebieska farba olejna. 12 czerwca 1987 roku. Wschód słońca o godzinie 4:15. Może mógłby w tym dniu pozostać aż do zachodu, który zaplanowano na 20:59? Zobaczyłby wreszcie polskiego papieża na mostku kapitańskim wielkiego okrętu płynącego naprzeciw niezmierzonym falom wiernych, którzy w pełnym słońcu siedzą jak zakłęci w czapeczkach na stołeczkach. A jeśli stamtąd nie będzie odwrotu? Jeśli jego jedyna droga do domu

zostanie odcięta? Jeśli na zawsze będzie musiał pozostać z tą nie swoją siwą brodą w nieznanym sobie czasie?

– Niestety, muszę już iść – inżynier odwrócił wzrok, jakby przykuły go fantazyjne kształty łuszczącej się na ścianie farby.

– Szkoda. Myślałem, że jesteś coś więcej wart!

Kopnięte przez narkomana drzwi zamknęły się z hałaśliwą wzgardą.

W drodze do domu na jesiennej klatce inżynier zobaczył dwie zawzięte gestykulujące sąsiadki. Jedną z nich była roznosicielka jajek. Druga, starsza, lecz bardziej zadbana, miała do niej o coś widoczną pretensję.

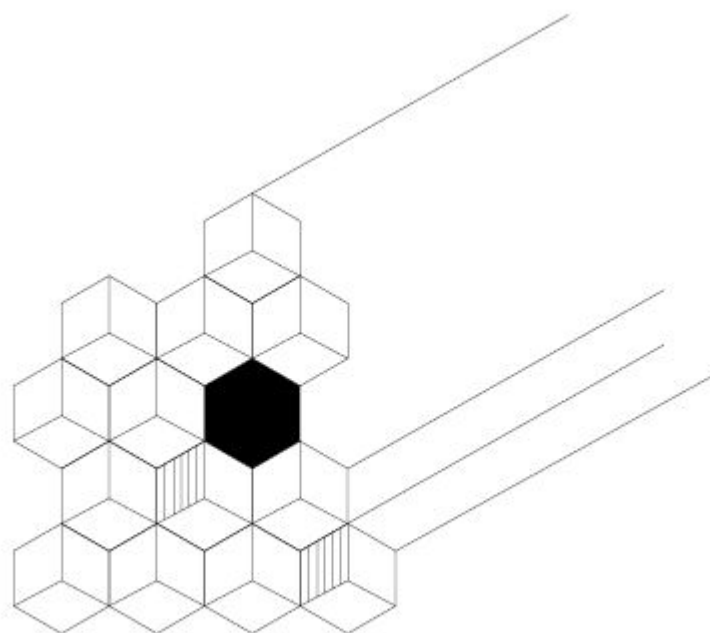
– Mówię pani, że były całe w kwiatki.

– Moja Krasula kwiatków nie ji. Łona miastowa. Pasze ino żre. I to te zachodnie.

Baba obwieściła to z dumą i trzasnęła drzwiami przed nosem sąsiadki.

– Widzi pan, co to za baba? – sąsiadka nie omieszkła poskarżyć się inżynierowi. – Nie dość, że na balkonie trzyma krowę, to jeszcze nie potrafi upilnować, żeby nie wchodziła w szkodę. Wnuczka do mnie na kilka dni przyjechała, więc rozwiesiłam pranie. Wie pan, takie dziecięce majteczki, w kwiatuszki. Patrzą, a tu, olaboga, krowi łeb na moim balkonie i przeżuwa. Przeczucie mnie tknęło i miałam rację. Po majteczkach ani śladu. Powiedziałam to Klementynce, a ona w bek. Nie może się uspokoić. Jeszcze się od tego dziecina kompleksów nabawi...

Inżynier miał tego dnia szczerze dosyć maków i innych kwiatuszków. Obcesowo wyminął zatroskaną babcię i czym prędzej zaszył się w domu, by odespać zabraną mu przez Resort noc.



SEGMENT TRZECI

KLATKA A

Obudził się rześki. Wyszedł na balkon w slipkach i podkoszulku. Raz dwa, raz dwa, góra dół, góra dół. Za czwartym wymachem ramion ręce opadły mu same. „Co to jest, u licha? Kolejny nalot UFO?” Tuż za papieską klatką, na której przerzedziły się już powitalne chorągiewki, jak grzyby po deszczu wyrosły białe talerze. „Ścienna hodowla popromiennych pieczarek – ocenił z oddali. – Grzybki atomowe, pozostałość po trzeciej wojnie światowej. Zaraz, zaraz, przecież naprawdę była jakaś wojna. Może to są instalacje wojskowe? Falowiec został zmilitaryzowany, na mur beton. To największy obiekt w Trójmieście, widoczny chyba nawet z kosmosu. Obiekt o strategicznym znaczeniu, długi i mocny jak średniowieczne mury. Mógłby bronić się bez końca”.

Inżynier wyobraził sobie, jak tysiące mieszkańców oblężonego falowca wygrażają wrogom z balkonów i galerii. Wylewają na nich pomyje z emaliowanych obtłuczonych misek, a potem katapultują wekowane całe lato słoiki z gęstym i lepkiem dżemem truskawkowym i żółtymi celnymi kulkami mirabelek. „Może właśnie tak będzie wyglądać trzecia wojna

światowa? Trzeba sprawdzić, do czego służą te talerze. Bo przecież nie do zupy owocowej z makaronem”.

Zbliżało się południe, czas, by pomyśleć o śniadaniu. Wczoraj w supersamie inżynier dostrzegł parę przejściowych braków. Znow nie udało mu się zdobyć kawy. Na szczęście w domu czekała na niego skromna i wierna Inka. Z nią nigdy nie było problemów. Ale też nigdy nie pałał do niej zbytnią namiętnością. Jego usta spragnione były gorącej, czarnej, niedostępnej kawy. Uległych i wiernych nikt nie ceni. Dlatego miejsce Inki było w kuchni. Tam z nadzieją czekała na rychły koniec swojej rywalki, którą – ku jej zgryzocie – wszyscy zwali „prawdziwą”.

Inżynier otarł usta. „Instalacje wojskowe. Może wielki nasłuch? Trzeba to jak najszybciej zobaczyć z bliska”. Politechniczna ciekawość gnała go do tego stopnia, że odwrotnie włożył skarpetki i zapomniał zabrać ze sobą ortalion.

Południową porą północne galerie były jeszcze bardziej puste niż zazwyczaj. Dzięki temu inżynier po raz pierwszy zauważył powolny rozkład swego dzieła. Z każdym rokiem falowiec wyglądał coraz bardziej niechlujnie. Obłazący tynk, pęknięte szyby, zabite dyktą okienka – czysty, biały modernizm przegrywał z socjalistyczną biedą. I ze strachem. Okna na galeriach jedno po drugich zarastały kratami. Kute w wymyślne esy-floresy, malowane na biało czy różowo, nie potrafiły ukryć tego, co inżynier już wiedział: w latach osiemdziesiątych Polska była więzieniem. Była nim z woli cudzej i własnej. Mieszkaniec wielkiego bloku czuł się bezpiecznie tylko w swoim małym więzionku, do którego osobiście zamówił sobie kraty.

W klatce A trzeciego segmentu lipiec brzęczał pszczołami. „Dobrze, że nie wziąłem ortalionu” – mężczyzna odetchnął z ulgą. Zaraz jednak zmarszczył brwi. „Kto na to pozwolił!” Obok zaprojektowanych przez

niego drzwi – białych, prążkowanych, z małym lufcikiem u góry – na galerii rozpieły się drzwi samowolki: wrota jaśniepańskie z rzeźbionymi klamkami i kasetonowym wzorem; drzwi góralskie z jasnej, wciąż pachnącej sosny; drzwi „sezamie, otwórz się”, obite chroniącą niezmierzone skarby blachą. Obok takich pancernych drzwi do skarbca inżynier dostrzegł wetkniętą w okno kartkę: „Absolutnie powracającemu z zagranicy 46 metrów sprzedam”.

„Tu mogę pukać bez skrępowania” – pomyślał. Rolę powracającego z zagranicy miał już w tej wędrówce nieźle opanowaną.

Otworzył mu barczysty mężczyzna dobrze po pięćdziesiątce z grubasnym złotym łańcuchem na szyi.

– Ja z ogłoszenia – wyjaśnił inżynier.

– Powracający? – upewnił się właściciel łańcucha.

– Tak. Z Francji.

– *Parlewufrance?* – ucieszył się gospodarz. – Niech pan wchodzi. To bardzo przytulne mieszkanko. Jak na placu Pigalle. Nie pożąkuje pan.

Inżynier, przestępując próg, poczuł się raczej jak w schronisku na Kalatówkach. Cały przedpokój, łącznie z sufitem, pokrywała lakierowana boazeria. Podobnie wyglądała kuchnia i mały pokój. Tylko w dużym pokoju ktoś, oszczędzając las, położył na ścianach winylową tapetę w staroegipskie wzory. Wszystko to gość mógł ocenić jednym spojrzeniem, ponieważ w mieszkaniu brakowało drzwi wewnętrznych.

– Widzę, że spodobały się panu te stylowe łuki. Całkiem jak u inżynierostwa Karwowskich.

– U kogo?

– Inżyniera Karwowskiego pan nie zna?

– Nie przypominam sobie. W naszym biurze projektowym nikt o takim nazwisku nie pracował.

– Jasne, że nie. On Trasę Łazienkowską budował, nie te bloczki.

– A, mówi pan o tym nowym serialu, co leci w piątki wieczorem? Przegapiłem dwa odcinki.

– Nowym? No co pan? Starym jak świat! Pierwszy raz go nadali w siedemdziesiątym piątym.

– Właśnie wtedy wyjechałem.

– 16 maja był pierwszy odcinek. Pamiętam dokładnie, bo razem z inżynierem Karwowskim świętowałem moje okrągłe urodziny. „Czterdzieści lat minęło jak jeden dzień”. Nie ma co wspominać. Przodem puściłem drania i jakoś się kręci. A pan to chyba moje pokolenie? Razem budowaliśmy socjalizm. No i teraz to pierdyknęło wszystko. Ale pan to się też kapitalizmu nabudował. Całe piętnaście lat! Francja-elegancja. Dobrze tam jest?

– Tak, dobrze. Sektor mieszkaniowy kwitnie. Dużo emigrantów, to i duże potrzeby.

– Zarobił pan?

– Nie narzekam.

– A Mitterranda pan widział?

– Niestety, nie miałem czasu na francuskie kino.

– Nieźle go pan podsumował. No, ale przejdźmy do mieszkanka. Niby w socjalistycznym bloku, jednak na najlepszej drodze ku kapitalizmowi. Zapraszam do kuchni. Widzi pan to чудо? W polskich domach to jest pieśń przyszłości. A u mnie ma pan to w cenie. Zmywarka. Żona będzie pana po rękach całować.

– Rozstałem się z żoną.

– I ma pan rację. Zmywarka lepsza od żony. Ciszej pracuje, mniej wody leje. I zdecydowanie tańsza w użytku. Nie będzie pan chciał wracać do

starej. Te meble też zostają – dodał, wskazując na politurowane szafki, które wyglądały tak, jakby lumbago łamało je w zawiasach.

– A teraz *klu* programu, wielkie *antre*. Proszę za mną do salonu.

Tu istotnie czuć było powiew nowej epoki. Na tle tebańskich tapet, między dwoma leniwymi fotelami o umaszczeniu ocelota przeciągał się na lwich łapach stolik ze szklanym blatem. Obok na gipsowej kolumnie korynckiej kwitł w doniczce storczyk w kolorze piwonii.

– Meble zabieram. Ale tapety zostają. Te wszystkie ibisy, anubisy i ozyrysty będą pana. I ten telewizor gratis. Sony Trinitron, trzydzieści dwa cale. Sto kanałów może pan oglądać.

– Mogę, ale na Zachodzie. Zapomina pan, że u nas są tylko dwa programy.

– Oj, widać, że pana dawno tu nie było. Proszę za mną na balkon.

Inżynier wzdrygnął się, wchodząc na betonową konstrukcję. Oprócz nich był tam jeszcze ktoś. Siedmiu niedużych facetów w zielonych portkach ze skrzyżowanymi szelkami i w spiczastych czapkach opadających im na plastikowe czupryny.

– Przywiozłem z Niemiec. Cały komplet. Zabieram do ogrodu. Ale jakby panu zależało, to mogę sprowadzić drugi. Siedem idealnie tu pasuje. A jakby pan sobie jaką śpiącą królową naraił...

– Miał mi pan coś pokazać – przerwał inżynier zniesmaczony obecnością krasnali w swoim modernistycznym dziele.

– No, niech pan spojrzy.

Gość wychylił się przez barierkę. Z każdego balkonu – jak narośl albo huba – wyrastał biały talerz.

– To instalacja wojskowa? Nasłuch?

– Jaki tam nasłuch! Wolność mamy. Każdy teraz może nasłuchiwać się i naoglądać świata, ile zechce. We Francji tego nie ma? Pewnie żabojady

nie muszą cudzych telewizji podglądać. Tam tak zachodnio, że bardziej już być nie może. A my ciągle szukamy okna na Zachód, psiakrew. A u mnie okienka południowe, najlepsze. Ciepło jak we Włoszech. Ten blok ma śródziemnomorski klimat. Winorośle się udają. Można własną winnicę założyć. A jakie widoki z tej winnicy! Jak się pan wychyli, to i Hel zobaczy. Winnica z widokiem na morze, ileż to we Francji musi kosztować. A u mnie – za pół darmo.

– A konkretnie?

Gospodarz otaksował gościa wzrokiem.

– Piętnaście patyków.

– To znaczy?

– Piętnaście tysięcy.

– Złotych?

– Co pan? Gazetę chce pan w kiosku kupić? Piętnaście tysięcy dolarów.

– Dużo – zagwizdał inżynier z podziwem, jaki czuje ojciec, gdy jego własne dziecko niespodziewanie wyrasta na milionera.

– Dużo? A ile jest pan szanowny skłonny dać?

– Niewiele. Tam, skąd przybywam, zarabiam na etacie dwadzieścia dolarów miesięcznie, w przeliczeniu, oczywiście. Poza tym mam już jedno mieszkanie w falowcu.

– To co pan mi tutaj nogi w d... zawraca! – sprzedający uderzył pięścią w pustą głowę krasnala.

– Przepraszam, że zająłem panu tyle czasu. Tak naprawdę przyszedłem, bo interesuje mnie ta instalacja za oknem.

– Antena satelitarna? Mogę panu zainstalować od ręki. Aaa-aby. Anteny, domofony, rolety instaluję. Z SECAM na PAL nabijam. Okna plastikowe, drzwi stalowe wstawiam. Galwanizuję, alufelgi dobieram. A jak

trzeba komu mordę obić, to chłopaków z miasta też zawołać mogę. Szeroki asortyment. Nie zweryfikowały mnie te psy sukinsyny, to musiałem się przebranzować. No i dobrze. Oni z głodu w tej swojej wolnej Polsce zdychają, a ja w pół roku wilę sobie odstawiłem. Mogę wreszcie sprzedać to gówno. Tyle że na falowce popytu nie ma. Tu wszystko się wali. Smród i ubóstwo. A jaka akustyka! Jak ktoś pierdnie w pierwszej klatce od morza, to na drugim końcu bloku słychać. Mówię panu, żyć tu się nie da. Sami narkomani i złodzieje. I ta plaga samobójstw. Jak przechodzę pod galeriami, to zawsze patrzę w górę, czy jaki kretyn na mnie z dziesiątego piętra nie spada. Wczoraj też jeden skoczył. W sąsiedniej klatce. Mógł mieć ze dwadzieścia lat, ćpun jeden. Mały chłopczyk za nim z domu wybiegł, a on do niego: „Leć za mną”. I skoczył. Taki element, że lepiej się zabezpieczyć. Widział pan moje drzwi? Takie mocne, że nawet przed Balcerowiczem uchronią. Mogę panu wstawić takie same.

Zanim inżynier zdążył odpowiedzieć, ktoś załomotał do drzwi.

– O, w mordę, oby to nie ci od Nikosia. Pójdzie pan ze mną.

Inżynier poczuł, jak dusza znów wspina mu się na ramię. Nie wiedział, kto to Nikoś, ale ton głosu gospodarza sugerował najgorsze scenariusze rodem z kina akcji. Na kryminał zabrakło chyba jednak pieniędzy, bo gdy stalowe drzwi otworzyły się, stała za nimi ta sama co zwykle baba. Mocno postarzała się od ostatniego razu, zmarniała, skurczyła.

– Jajeczka świeże, prosto łód kurki. Kupi pan? – pisnęła słabym głosem.

– Spieprzaj, babo – gospodarz bezceremonialnie trzasnął stalowymi drzwiami. – Już ja ją znam, kurna. Jajeczka chińskie sprzedaje. Stuletnie. Raz u niej kupiłem, to potem przez miesiąc mieszkania wywietrzyć się nie dało. No i jak, decyduje się pan na satelitę?

– Muszę się zastanowić. Jak się teraz zdobywa talon na taki sony trinitron?

– Panie, jaki tam talon?! Wolną Polskę mamy. Do Reichu pojechałem, patrzę, a tam na śmietniku leży. Na chodzie, całkiem niezniszczony. Jeszcze pilota dorzucili. No to biorę, jak taka promocja. Szwabom to się już we łbach kompletnie poprzewracało. I co, instalujemy tę antenkę?

– Nie wiem, czy mój telewizor sobie z nią poradzi. Do tej pory obsługiwał tylko dwa programy.

– A co pan ma za markę?

– Ametyst.

– Fiu... – zagwizdał gospodarz. – Ten eksponat jeszcze chodzi? Niech pan go czym prędzej wyrzuci na śmietnik, a ja oddam panu tego oto soniaka.

– Naprawdę? – ucieszył się inżynier.

– Oddam za jedyne sto marek. Zgoda?

– Przemyślę to jeszcze – odparł zawiedziony klient i pożegnał się pośpiesznie.

„Co to za dziwna wolna Polska – myślał, wracając do siebie. – Mieszkania w falowcu sprzedaje się w niej za dolary, a niemieckie śmieci za marki. Gazeta w kiosku kosztuje zaś piętnaście tysięcy złotych. Więc jednak najwyżej ceni się tam słowo!”

Rozważania przerwał mu bełkotliwy głos.

– Dziadku, masz szlugi?

Inżynier odruchowo poklepał się po kieszeniach. Papierosy pozostały w ortalionie.

– Niestety, nie mam.

– Papież odjechał, a szługów nie zostawił – wymamrotał jeszcze narkoman, zasypiając na wycieraczce.

„A jednak żyje – pomyślał inżynier, idąc dalej galeriami. – Nie zabił się wczoraj. A może to było wczoraj tego nieuczciwego sprzedawcy? Wczoraj z roku dziewięćdziesiątego, nie z osiemdziesiątego siódmego?”

– Wujku, zobacz, co mamy – z zamyślenia wyciągnął go za rękaw Bartek. – Tata przyniósł nam ze stoczni. Powiedział, że to są nasze ordery.

Chłopiec dumnie wyprężył pierś. Na kieszeni sweterka przypięta była biała okrągła plastikowa plakietka.

– Tu pisze: „Element antysocjalistyczny” – pochwalił się. – Piotruś ma inną, jeszcze lepszą.

Maluch baraszkował leniwie na betonowej posadzce. Musiał tak już bawić się od dłuższej chwili, bo ktoś przekornie przyczepił mu plakietkę na plecach.

– „Pełzająca kontrrewolucja” – przeczytał inżynier.

– Dzieci, obiad! – rozległ się dźwięczny głos z kuchennego okna.

Inżynier poczuł, że burczy mu w brzuchu. Pora wracać do własnych czasów i odgrzać wczorajsze kotlety.

KLATKA B

Kolejny dzień przywitał go południowym dzwonem. Dzwony słyszał tu od niedawna. Zwykle o tej porze był już w swoim biurówcu w starym Gdańsku, w którym dzwony przekrzykiwały się wzajemnie jak krążące nad wieżami mewy. Nad Przymorzem słyszać było tylko wrzaski mew, dźwięki dzwonów tu nie docierały. Niebo miało być głuche i puste. Tak postanowiła Partia, która budowała kolejne socjalistyczne osiedle bez Boga. Dopiero niedawno coś się zmieniło w jej urbanistycznych planach. Panu Bogu przydzielono mieszkanie na Małym Przymorzu, tuż za projektowanymi torami linii tramwajowej. Miał zamieszkać w „gazowni” albo „okrąglaku” – tak mieszkańcy ochrzcili nowo powstający kościół. Inżynier był tam tylko raz i wysoko ocenił bryłę oraz funkcjonalność dwupoziomowej budowli. Nie zauważył natomiast nigdzie dzwonów.

„Może to pieśń przyszłości?” – zamyślił się i wychylił przez barierkę balkonu. Na horyzoncie majaczyła okrągła sylweta kościoła, a obok niej – biały strzelisty minaret. „O, Matko Boska, który to ja rok widzę? Staliśmy się społeczeństwem wielokulturowym jak Francuzi? Minarety obok kościołów, głos muezina płynący nad falowcem!” Ekscytacja minęła, gdy rzekomy minaret rozkołysał się znajomą melodią. Tak, nie było wątpliwości. Partia zgodziła się wreszcie na dzwonnice.

„Już dwunasta. Czas się gdzieś wybrać. No bo co tu robić? Gdyby mieć taki sony trinitron, to by się w nim nawet powtórkę plenum chciało oglądać. Ale w tym?” – inżynier z pogardą spojrzał na popielatego ametysta. „Żeby

miał chociaż takie trzy kolorowe kółeczka na obudowie jak tamten... Nic to, niedługo będę miał talon na wszystkie kolory świata”.

Tymczasem założył granatowy ortalion, wsadził do kieszeni nową paczkę caro (choć ostatnio ochrzcił je „papierosami krótkiego zasięgu” – nadawały się do palenia najwyżej na najbliższej klatce) i wyruszył w drogę.

Po sąsiedzku świeciło jesienne słońce. Kolejki jeszcze nie było. Chłop siedział pod oknem na stołeczku, strugając świątką, i nawet bąknął na tę okoliczność „Pochwalony”. Stoczniove dzieci były w przedszkolu, baba w papilotach nie zwróciła na przechodzącego uwagi, a w oknie koło pancernych drzwi wciąż tkwiła kartka: „Absolutnie powracającemu z zagranicy 46 metrów sprzedam”. Coś jednak zaburzyło ukochaną przez inżyniera białą monotonię galerii. Zawrócił na poprzednią klatkę. „Tak, to było tu. Jakiś wandal pobazgrał ściany. Albo dziecko. To musiało zrobić dziecko. Spiczasta czapeczka, uśmiechnięta buzia, rączki i nóżki jak patyczki. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, siedem... inwazja krasnoludków!”

– Krasnoludki zdobędą świat! – zakrzyknął zza drzwi znajomy głos. Właściciel indiańskiej fryzury wystawił głowę na galerię. – Następna rewolucja nie będzie ani czerwona, ani żółta, ale po-ma-rań-czo-wa!

Schował irokeza, by po chwili wynurzyć się zza drzwi z kubełkiem czarnej farby. Na białym zniszczonym, prążkowanym skrzydle zaczął pospiesznie rodzić się krasnoludek.

– Zdobyły twierdzę Breslau, teraz zajmują Danzig. No, co tak sterczysz jak ch... na weselu? Bierz broń i przyspieszaj historię.

Narkoman wcisnął inżynierowi pędzel i poprowadził jego dłoń po ścianie.

– Tak to się robi: czapeczka, buźka, kubraczek, rąsie, nóżki, oczka. A tak się krasnoludek do ciebie uśmiecha.

Uśmiech wyszedł inżynierowi nieco sardoniczny, ale jego mentor i tak był zadowolony.

– Teraz masz licencję na krasnoludki. Idź i maluj je po wszystkich klatkach. Ja ciebie posyłam.

Inżynier odetchnął z ulgą i czym prędzej zmienił galerię. „Czym to puści? Jak usunąć krasnoludki z falowca?” – bił się z myślami, zanim w klatce B nie zafrapował go widok jeszcze dziwniejszy od poprzedniego. Pięćdziesięcioparoletni mężczyzna na wózku u podnóża betonowej balustrady układał piramidę, czy raczej podjazd z książek. Co jakiś czas wspinał się na swoim wózku, by zobaczyć, ile jeszcze zostało mu do krawędzi balustrady. Zawracał i dokładał kolejne książki.

– Czy mogę panu w czymś pomóc? – zapytał uprzejmie inżynier.

– Lepiej nie. Nie wiem, jaką kwalifikację prawną ma teraz pomoc w samobójstwie. Mogliby pana wsadzić do więzienia. Tu muszą zadziałać prawa fizyki. W pewnym momencie nastąpi przechył. Dokładnie to obliczyłem. Chociaż może nic panu nie zrobią, jeśli poda mi pan encyklopedię. O, tamtą. Jest bardzo ciężka.

Inżynier schylił się po wskazany wolumin. Podnosząc go, spojrzał w twarz inwalidy.

– Antek?

– To ty?

– Pamiętasz mnie? Mieszkaliśmy razem w akademiku.

– Jak mam nie pamiętać sławnego inżyniera? To ty wybudowałeś ten falowiec.

– Mówiono mi, że tu mieszkasz, ale nie wiedziałem, jak cię znaleźć.

– To nie jest proste. Tu są 1792 mieszkania, a ja wychodzę tylko na balkon. I teraz także na galerię, odkąd wymyśliłem ten skok.

– Wiesz, nawet próbowałem cię ostatnio szukać, bo mam pewien problem natury obliczeniowej.

– Wejdź, pogadamy.

Mężczyzna wjechał przodem do swojej siedemnastometrowej kawalerki. Tapczan, trzy regały książek, stara szafa z czasów Gomułki i mały stolik z kilkoma brudnymi kubkami wypełniały całe wnętrze. Jediną ozdobą tego lokalu była imponująca kolekcja miniaturowych kaktusów zajmująca długi kamienny parapet.

– Wymagają mniej opieki niż ja – przedstawił je sarkastycznie właściciel. – No to mów, na czym polega ten problem.

– Nie wiem, od czego zacząć.

– Od sedna.

– W jednej z klatek znalazłem na balkonie krowę. Zrobiłem wstępne obliczenia i nie wiem, czy się nie mylę, ale wydaje mi się, że jej obecność tam grozi katastrofą budowlaną. Byłbyś w stanie to sprawdzić?

– Masz dane wyjściowe tej krowy?

– Nie. Widziałem ją tylko przez chwilę. Zwykła mleczna polska krowa.

– Możesz mi podać tamtą książkę?

Mężczyzna kartkował przez chwilę wybraną pozycję, a potem zaczął rysować coś na poplamionej papierowej serwetce.

– Według norm inwentarskich przyjmuje się, że ciężar krowy to sześć kiloniutonów, zaś obciążenie skupione na jedną nogę wynosi jeden i siedem dziesiątych kiloniutona. Balkony falowcowe są wolnopodparte, więc największe siły będą działać w samym środku balkonu i dla nich należy policzyć moment zginający, czyli q razy jeden kwadrat przez osiem, gdzie q równa się sile, z jaką krowa działa na balkon, jeden zaś równa się odległości od środka balkonu do najbliższej podpory, jaką jest ściana

falowca. Policzmy: sześćset razy jeden do kwadratu przez osiem równa się siedemdziesiąt pięć kiloniutonów razy metr kwadratowy.

– Też mi tak wyszło.

– Taki jest moment zginający, teraz trzeba poszukać wewnętrznych naprężeń, jakie ten moment powoduje. Ale po co my to wszystko liczymy? Są przecież normy. Nie złamaliście chyba norm?

– Normy są dla mnie zawsze najważniejsze.

– Otóż normy obciążeniowe płyt balkonowych są identyczne jak te dla stropów budynków inwentarskich. Ktoś chyba przewidział tę krowę. Balkon wytrzyma. Chyba że...

– Chyba że co?

– Chyba że dojdą jeszcze inne parametry.

– Jakie na przykład?

– Wydalanie. Wody odciekowe z obornika są agresywne chemicznie i wżerają się w beton, powodując zmniejszanie się jego wytrzymałości. Towarzyszy temu korozja chlorowo-amonowa zbrojenia. Nośność zmniejsza się, a krowa rośnie. No i po pewnym, trudnym do przewidzenia czasie, mamy naszą upragnioną katastrofę.

– Więc wszystko się może wydarzyć?

– Teoretycznie. W praktyce krowa musiałaby stać w gównie po szyję. A to by ją udusiło. No i mamy krowę z głowy. Napijesz się czegoś? Może kawy?

– Masz kawę? – zapytał z zazdrością inżynier.

– A czemu mam nie mieć? Podlegam opiece społecznej. Przynoszą mi tu żywność mopsy jak psu.

– Sam nigdy nie wychodzisz?

– Ty o to pytasz? Ty, który na wieki uwięziłeś mnie w tej klatce?

– Ja ciebie? Przecież nie widzieliśmy się od czasu studiów. Nawet nie wiem, jak się t o stało.

– To stało się wkrótce po obronie. Banalnie. Skok na główkę do glinianki. Źle wyliczyłem parametry. Już wtedy byłem zapisany do spółdzielni. Czekałem krótko, tylko dziesięć lat. I dostałem to. Wyrok śmierci byłby mniej dotkliwy.

– Nie jest tu tak źle. Masz piękną hodowlę kaktusów – bąknął inżynier.

– Długie lata zastanawiałem się, jak ci się to udało?

– Co?

– Tak zaniżyć wszystkie możliwe normy! W żadnym innym bloku sufit nie jest tak niski. Czuję się, jakbym jeszcze za życia zamieszkał w grobowcu.

– Ta wysokość mieści się w normach.

– Siedemnaście metrów też się mieści?

– Tak, to typowa kawalerka.

– A winda, która nie dojeżdża na dziesiąte piętro?

– Takie były czasy. Wymagano ode mnie racjonalizatorskiego myślenia. Nie wiedziałem, że to padnie na ciebie. Przepraszam.

Antek odwrócił głowę.

– Tuż za torami tramwajowymi, na skrzyżowaniu leży wielki głaz narzutowy z napisem: „Przymorze”. Położono go tam na cześć budowniczych osiedla. Dawniej ludzie mówili na takie głazy: „czarci kamień” i omijali je z daleka.

Inwalida wykręcił wózek i wjechał do wąskiego jak kiszka przedpokoju. Wsypał coś do szklanek i zalał wodą z elektrycznego czajnika, który stał na blacie lodówki obok kuchenki gazowej

z piekarnikiem wypełnionym starymi aluminiowymi garnkami. Te trzy przytulone do siebie sprzęty imitowały kuchnię.

– Słodzisz?

– Tak, poproszę.

Antek powrócił z tacką na kolanach. Parowały na niej dwie najprawdziwsze kawy.

– Dziękuję – wypogodził się inżynier. – Widzę, że nie masz tu telewizora?

– Wyrzuciłem rok temu, gdy komuniści powrócili do władzy. Zresztą, co to teraz za telewizja. Tandetna rozrywka. Tylko książki są wierne. Jedna z nich pozwoli mi stąd odlecieć.

Inżynier długo mieszał cukier.

– Wiesz co, Antek? Mam jeszcze stare znajomości w spółdzielni. Może mógłbym ci załatwić zamianę mieszkania?

– Teraz? Kiedy zmarnowałem całe życie?

– Nie teraz. Wtedy. Ty jako fizyk wiesz pewnie dużo więcej o możliwościach zakrzywienia czasu?

– Nie wiem nic. Dla mnie czas zatrzymał się w sześćdziesiątym drugim.

Rozmowa nie kleiła się. Kawa od długiego mieszania stała się nieznośnie słodka. Inżynier spojrzał na zegarek. Zbliżała się trzecia.

– Spróbuję coś zrobić w twojej sprawie, zanim zamkną spółdzielnię.

Wyszedł bez pożegnania. Wyminął pośpiesznie czarne krasnoludki. Jeden z nich uśmiechnął się do niego sardonicznie. Przebiegł kolejne lata i zdyszany dopadł telefonu.

– Czy zastałem jeszcze panią Basię?

– Tak, panie inżynierze, pije u nas kawkę. Już ją daję.

– Dzień dobry, pani Basiu, mam takie pytanie: czy w obrębie falowca możliwa byłaby zamiana mieszkania?

– Dla pana inżyniera nie ma rzeczy niemożliwych. Chce pan zamienić na większe?

– Nie ja. Mój znajomy. Jest inwalidą, jeździ na wózku, a trafiła mu się kawalerka na dziesiątym piętrze.

– A to pech. Zaraz sprawdzimy. Jak się nazywa? Już wyciągam jego teczkę. Poczeka pan chwilkę.

W słuchawce na dłuższy czas zagościły przyprawione chichotem świeżutkie ploteczki kasjerek. Inżynier starał się ich nie słyszeć.

– Już jestem – odezwała się wreszcie pani Basia. – Tak, zgadza się. Członek spółdzielni. Mieszka tu od siedemdziesiątego drugiego. Ale ja tu nie mam żadnej adnotacji o jego kalectwie. Byłaby wpisana grupa inwalidzka. Jest pan pewien?

– Tak, widziałem na własne oczy.

– Dobrze, czy mógłby mi pan jutro podrzucić jego podanie wraz z grupą inwalidzką?

– Tak, bardzo pani dziękuję. A, i jeszcze jedno. W falowcu załęgły się krasnoludki. Macie może na to jakiś środek? A zresztą nieważne.

Ledwie zdążył odłożyć słuchawkę, rozległo się walenie do drzwi. „Baba” – pomyślał inżynier i z niechęcią poczłapał do przedpokoju. Mylił się jednak, za drzwiami stał chłop.

– Prędszej! Dzwonią po pogotowie.

– Co się stało?

– Bardzo złe się stało. Baba mi zaniemogła.

Inżynier zaczął chłodno kalkulować. Jeśli zadzwoni stąd, wezwie pogotowie z siedemdziesiątego piątego roku, a więc karetka niechybnie

przyjedzie do pustostanu. Po raz pierwszy w dziejach PRL-u pogotowie nie spóźni się, ba! dotrze o ponad rok za wcześniej. Lepiej zobaczyć na miejscu, co się wydarzyło.

– Telefon nie działa. Pójdę z panem.

Ruszyli do sąsiedniej klatki.

– Mówił ja jej, żeby nie chadzała tam. Zawsze taka zmarnowana wracała. Ano raz nie wróciła. To poszłem za nią aż na kraj tego walońca. Patrę, a ona ledwie zipie. Ciąłem ją przez te wszystkie galeryje aż pod dom. Nawet słowa do mnie nie pisnęła, jakem ją ciągnął. Gdzie ona się z tymi jajcami zapuściła?...

Mężczyźni weszli do mieszkania. Baba leżała na tapczanie pod świętymi obrazami. Oczy miała obrócone w sufit.

– Ło Jezu, ona już nie dycha – chłop potrząsnął ją za rękę i przytulił z nieoczekiwaną czułością. Potem, ukrywszy twarz w pięściach, przysiadł na brzegu tapczanu.

– I na co ona tam lizła? Mówił ja jej, że tam dalej to dziwnie jakoś, nie po naszemu. Wszystko jakieś nowsze i nowsze, jakby czas do przodu gonął. Więc poszedłem ja za nią jak do piekła jakiego. I tak ją ciąłem i ciąłem jak z piekielnych czeluści, ale żem jej nie wybawił. Oj, biada mi, biada, biada...

Inżynier, widząc, że nic tu po nim, złożył kondolencje i dyskretnie opuścił pokój, zostawiając rozpaczającego Orfeusza oraz jego martwą Eurydykę w kraciastej chuście i zabłoconych gumiakach. Myśl o Antku nie dawała mu spokoju.

KLATKA C

Obudził go budzik, który nastawił poprzedniego wieczoru. Pierwotnie miał dzwonić o ósmej, ale w wyniku licznych kompromisów odezwał się dopiero o dziewiątej trzydzieści, co i tak było z jego strony wielkim nietaktem.

Inżynier przeciągnął się leniwie i dopiero po dłuższej chwili przypomniał sobie cel tak ранnej pobudki: „Podanie!”. Rezygnując ze śniadania, czym prędzej pospieszył do Antka. Tym razem nikt nie zakłócił jego marszu, nawet krasnoludki, które ktoś z rana starannie zamalował białą farbą. Spod jednej z białych plam przebijał tylko lekko sardoniczny uśmiech.

Na klatce Antka nie było śladu książek. „Musiał je schować na noc” – pomyślał inżynier i nacisnął dzwonek. Zdumiał się, gdy zamiast przyjaciela ujrzał w drzwiach pochyloną wiekiem staruszkę.

– Dzień dobry, czy zastałem Antka?

– Pana profesora? Pan Antoni nie mieszka tu od wielu lat. Wyprowadził się z żoną do Sopotu. Niech pan tam go szuka. Ja po nim wzięłam mieszkanie, bo moje było za duże.

– Nie, nie, nie szukam profesora. Chodzi mi o mojego przyjaciela Antka. On jest inwalidą, jeździ na wózku.

– Żadnego inwalidy u nas na piętrze nigdy nie było – pokręciła głową staruszka.

– Widziałem go tu wczoraj, w tym mieszkaniu. Rozmawialiśmy o fizyce.

– Tak, zgadza się. Pan Antoni wykłada fizykę na politechnice. Spotkałam go niedawno koło moło. Chwalił mi się, że odebrał profesurę od elektryka w Belwederze. Przed wojną nie do pomyslenia. I ma pierwszą wnuczkę. Bardzo z niej dumny.

– Jest pani tego pewna?

– Tak, każdy dziadek jest dumny ze swoich wnucząt. Ja też mam śliczne prawnusie, ale w Ameryce.

– Wie pani może, jak się z nim skontaktować?

– Ja tam nie wiem. Ale w sąsiedniej klatce też mieszkają fizycy. Doktoranci, bardzo miła para. Niech pan zajrzy do nich pod 107. A może kawki się pan napije? Pokażę zdjęcia moich wnucząt i prawnucząt.

– Nie, nie, dziękuję. Muszę odnaleźć Antka.

Staruszka pokiwała głową lekko zawiedziona i ostrożnie zamknęła drzwi swojej kawalerki.

Inżynier pognął do następnej klatki. Czuł po drodze, jak coraz głośniejsze, coraz bardziej nierówno bije jego serce. „Gdzie jest Antek? Skąd wzięła się ta babina? Czy pomieszało się jej w głowie? Trzeba było wejść i sprawdzić, czy wciąż na półkach stoją jego książki. Wszystkie książki, co do jednej – tej najbardziej zdradliwej”.

Pod 107 otworzyła mu młoda sympatyczna para. Ona była przed trzydziestką, on – w wieku inżyniera. „W moim wieku sprzed dwudziestu czterech lat” – pomyślał inżynier, zerkając na wiszący u wejścia kalendarz z amerykańskimi pejzażami. Data roczna – 1999 – wydała mu się kosmiczna i ekscytująca.

– Dzień dobry, szukam mojego przyjaciela Antoniego. Podobno został profesorem fizyki na politechnice.

– Ja nie znam żadnego fizyka o tym imieniu, a ty, Alicjo?

– Nie jestem pewna. Może spotkaliśmy go kiedyś na konferencji w Kioto albo w Bostonie? Jak sądzisz, Alku?

– Doprawdy, nie wiem, Alicjo. Kończyliśmy studia na Uniwersytecie Gdańskim, teraz robimy tam doktoraty. Dużo jeździmy, ze stypendium na stypendium. Z Politechniką Gdańską nie mamy zbyt ścisłych związków.

– Może popytamy? Zamejlujemy do kogoś, Alku?

– Wiem, co zrobimy. Politechnika ma już swoje strony wydziałowe. Zaraz na nie zajrzemy, Alicjo. Niech pan wejdzie.

Inżynier wszedł do siedemnastometrowej kawalerki i zdumiony przystanął na progu pokoju. Jego lwią część zajmował wielki biały piętrowy dom. Spadzisty dach kryła czerwona dachówka.

– To nasza pasja – młody naukowiec uprzedził jego pytanie. – Jeździmy po całym świecie i kolekcjonujemy mebelki dla lalek. Wbrew pozorom to nie jest tanie hobby. Niektóre przedmioty kosztują więcej niż wyposażenie prawdziwego mieszkania. Prawda, Alicjo?

– Tak, Alku. Może wpuścimy pana do środka?

Alicja przekręciła maleńki kluczyk w niebieskich drzwiczkach i otworzyła całą ścianę domku, odsłaniając jego dziewiętnastowieczne wnętrze. Czegóż tam nie było! Eklektyczne kanapy, biedermeierowskie szafy, empirowe biurka wypełniały urządzone z przepychem salony. Tkane pod lupą perskie dywaniki; kandelabry ze świeczkami tak cienkimi, że starczyłoby im wosku tylko na kilka chwil blasku; porcelanowe wazy z epoki Ming, w których nie zaspokoiłaby pragnienia nawet jedna zalatana mucha; kryształowe kieliszki o tęczowym szkłe cieńszym niż skrzydło ważki; złote łyżeczki, którymi można by rozbijać i jeść jajeczka ikry – każde z osobna.

Mahoniowe biblioteczki ugięły się pod niewielkim ciężarem dzieł wszystkich Szekspira w złotym tłoczonych okładkach. Rzeźbione serwantki za szybkami z ciętego szkła kryły kolekcje sewskiej porcelany. Na

małych niebieskich talerzykach odpoczywały małe francuskie pasteczki, a małe młodzi przygrywali im na swoich małych fujarkach. Obok jedwabnej sofy, na intarsjowanym palisandrowym stoliku miśnięska tancerzka ćwiczyła swoje małe pas. Alicja przekreśliła miniaturowy kluczyk i tancerzka zaczęła obracać się wokół własnej osi. Przekreśliła drugi i odezwała się pozytywka, której mechanizm skrywało hebanowe pianino z klawiaturą z szylkretu i pośliskiej kości słoniowej.

Na wyłożonych jedwabiem ścianach wisiały obrazki, na których mali rycerze zmagali się z małymi smokami, a małe nagie kobietki kusiły swoimi niewielkimi wdziękami. W małych, różowych jak mgiełka lustrach weneckich odbite wnętrza malały jeszcze bardziej. Gość przybliżył do jednego z nich oko, ale oko nie zmieściło się w drobinie kryształowej tafli. Otworzył szufladkę w półokrągłej komódce – na wyściełanym aksamitem dnie leżały małe jak okruch srebra nożyczki. Uniósł pokryweczkę wazy – w naczyniu czekały na niego koralowe raki, dziwnie podobne do czerwonych mrówek. Na rzeźbionej półeczce filigranowa szkatułka strzegła przed nim skarbów wielkich jak ziarenka piasku.

Do kogo należało to miniaturowe bogactwo? Na małej pluszowej kanapie w haftowanej w lilijki kremowej sukni z falbanami rozpierała się porcelanowa lalka. Mimo swojej pozycji była tylko jeszcze jednym mieszczańskim bibelotem. Na pewno nie panią tego domu.

Inżynier rozejrzał się po reszcie kawalerki. Prosty tapczan, jeszcze prostsze półki pełne książek i mnóstwo najróżniejszych drobiazgów, biurko z obrotowym krzesłem. Nic więcej. Alek dostrzegł jego krytyczny wzrok.

– Sam pan widzi. Inwestujemy wszystko w dom. Mieszkamy bardziej tam niż tu – wskazał ręką biały domek kryty drobną, czerwoną dachówką.

Inżynier pokręcił głową.

- Jednej rzeczy nie mogę tu znaleźć. Czyżbyście nie mieli telewizora?
- Nie potrzebujemy. Mamy komputer.
- Komputer? Tutaj?!

Ostatni komputer, jaki inżynier w życiu oglądał, zająłby i pochłonął całą tę kawalerkę.

- Mamy laptopa. Nie zauważył pan? Leży na biurku.

Na biurku leżał tylko czarny zamknięty skoroszyt w plastikowych okładkach.

- To jest komputer? – inżynier przełknął ślinę.

– Zdecydowaliśmy się na laptopa. Dużo podróżujemy, a w naszym fachu musimy mieć zawsze myszkę pod ręką. Tu jest stałe łącze, więc zaraz panu znajdziemy pana Antoniego.

Gdy to mówił, Alicja otworzyła skoroszyt. Okazało się, że składa się on z dwóch części: czarnej klawiatury i kolorowego migotliwego ekranu. Dziewczyna wykonała kilka ruchów na klawiaturze, uderzyła palcem w głowę dużego plastikowego żuka, odczekała chwilę i zawołała:

- Już go mam!
- Czy to ten? – upewnił się Alek.

Inżynier wsadził głowę do wnętrza skoroszytu. Z migotliwego ekranu uśmiechał się do niego Antek. Ten sam, co wczoraj, ale jakby inny. Zadbany, pewny siebie, zadowolony z życia. Może nawet szczęśliwy?

– Visiting professor na Harvardzie – zagwizdał z podziwem Alek. – Tu jest jego e-mail. Może pan mu wysłać wiadomość.

- Świetnie. Jeszcze dzisiaj pójde na pocztę.
- Tu jest podany jedynie jego e-mail. Nie ma pan własnego konta?
- Nie, mam tylko książeczkę PKO.

Alek i Alicja zagryźli wargi, żeby nie parsknąć śmiechem.

– Jeśli sprawa nie jest pilna, znajdzie go pan po wakacjach w Zakładzie Fizyki Teoretycznej.

– A może zjadłby pan z nami śniadanie? – zaproponowała Alicja.

– Chętnie, nie jadłem jeszcze dzisiaj śniadania.

– To bardzo specjalne śniadanie. Tylko dla naszych porannych gości – zaznaczyła Alicja.

Zdjęła z jednej z półek porcelanowy serwis, większy niż te, które skrywały rzeźbione serwantki, ale wciąż zdecydowanie bardziej lalczyny niż ludzki. Wyparzyła maleńki imbryczek i wrzuciła do niego kilka żdźbeł zielonej herbaty, które zalała lekko przestudzonym wrzątkiem. Posmarowała masłem ciemną taflę pumpernika, a następnie pokroiła go na kromki wielkości paznokcia. Kładła na nich półprzezroczyste plasterki kabanosa, niewiele grubsze plastry koktajlowego pomidora i po maleńkim strzępku listka rukoli. Groszki ptysiowe przecięła na pół i wypełniła odrobiną ubitej śmietany. Do maleńkich czarek wyłożyła poziomki. Na koniec wysypała z puszek pierniczki własnej roboty: maciupieńkie serduszka, gwiazdki, aniołki, kotki i inne, słodkie jak lukier kształty wypełniły po brzegi porcelanowy spodeczek. Pozostało jej już tylko rozlać herbatę do filiżanek o objętości jednego drobnego łyżeczka.

Inżynier nie chciał się zgorszenia jak Guliwer w kraju Liliputów i powstrzymał się przed wsadzeniem do ust całej garści prześlicznych pierniczków. Czuł jednak, jak z każdą kanapką jego guliwerowy brzuch burczy coraz przeraźliwiej.

– Życzy pan sobie może jajko na miękko? – zapytała troskliwie Alicja.

– Tak, poproszę – gość nie domyślił się w jej słodkim głosie zapowiedzi kolejnej wyrafinowanej tortury.

Alicja ze swojej malutkiej lodówki wyciągnęła trzy przepiórcze jajka. Wsadziła je na parę sekund do wrzątku, a następnie udekorowała nimi

małe porcelanowe podstawki w kształcie wysiadujących jaja perliczek. Każdy z biesiadników otrzymał miniaturową połączoną łyżeczkę, która miała mu posłużyć do opróżnienia nakrapianej skorupki. Alek i Alicja doskonale poradzili sobie z tym precyzyjnym zadaniem, ale dla inżyniera śniadanie zakończyło się żółtą plamą na ulubionej białej koszuli.

– Nic się nie stało. Zaraz to panu zapiorę – uspokajała go Alicja.

Inżynier wyobraził sobie, jak jego koszula pod rękami Alicji zbiega się i kurczy do jednego z lalczyńskich rozmiarów.

– Dziękuję, dam sobie radę. I tak muszę już iść.

– Nie dopił pan herbaty – zmartwiła się gospodyni.

– Mam nadzieję, że smakował panu ten nasz mały poczęstunek? – uśmiechnął się szeroko Alek.

– Tak, był niezapomniany – zapewnił głodny inżynier, ściskając dłonie dwójki sympatycznych doktorantów.

Kiedy dotarł do siebie, pierwsze kroki skierował do łazienki. Już miał zdejmować koszulę i powierzać ją dbającej o jego garderobę frani, gdy kątem oka zauważył w lustrze, że koszula jest nieskazitelnie czysta. Plama zniknęła. Albo raczej nie pojawiła się na niej jeszcze.

Uspokojony, zabrał się do śniadania. Gdy smażył trzy jajka na baleronie, jak zwykle nie w porę odezwał się telefon.

– Panie inżynierze, mam dobrą wiadomość. Znalazłam odpowiednie mieszkanie dla pana przyjaciela. Trzydzieści osiem metrów na parterze. Lokatorzy, sześćoosobowa rodzina, są zadłużeni, więc muszą się zgodzić na zamianę. Zresztą, nikt teraz nie chce mieszkać na parterze. Istna plaga włamań.

– Pani Basiu, przepraszam, ale ta sprawa jest już nieaktualna. Zaszła pomyłka.

– Pomyłka?

– Tak, okazało się, że mój przyjaciel nie jeździ na wózku, a lata. Do Harvardu. Profesorem został.

– Może go w tej Ameryce wyleczyli?

– Od wczoraj? Wczoraj widziałem go na wózku inwalidzkim. Sam opowiadał mi, jak skoczył na główkę w sześćdziesiątym drugim.

– Skoczył albo nie skoczył, a sprawę mamy z głowy – podsumowała radośnie pani Basia i odłożyła słuchawkę.

„Skoczył albo nie skoczył – olśniło inżyniera. – Mógł przecież skoczyć, ale mógł też nie skoczyć. W zależności od położenia zwrotnicy przeszłość może pójść tym albo innym torem. Jemu się udało. Zrobił światową karierę, ma rodzinę, maleńką wnuczkę, wyprowadził się do Sopotu, mieszka pewnie w secesyjnej kamienicy, a ja? Sam jak palec, bez perspektyw, nawet bez kolorowego telewizora, do śmierci w tym lumpenproletariackim falowcu...” Inżynier uzmysłowił sobie, że po raz pierwszy w życiu pomyślał o swoim dziele z pogardą.

Chmurny, odgrzał jajecznicę i zaczął bezmyślnie trawić papkę serwowaną mu przez ametysta. Przysnął na koncercie muzyki węgierskiej. O wpół do siódmej obudziło go walenie do drzwi.

– Zaraz, zaraz – zakrzyknął w stronę korytarza, próbując odszukać żyjące własnym życiem kapcie.

Na klatce stał chłop. Międlil w rękach czapkę.

– Prosima was na pustonoc. Przyjdzieta?

– Pustonoc? A co to takiego?

– Babe trza chować. Pośpiewamy wszyscy, coby jej tam w niebie dobrze było. I coby w tym walońcu jej duch się nie ostał, bo to i jemu, i nam biada. Galeryjami bedzie dreptał i straszył jak jaki wieszcz.

Duch baby krążący po galeriach falowca wydał się inżynierowi na tyle groźną perspektywą, że gotów był zrezygnować ze swojej ulubionej

piątkowej *Giełdy reporterów*. Włożył buty, narzucił ortalionowy płaszcz i podążył za przybitym tragedią chłopem.

W jego paradnej izbie zgromadzili się już żałobnicy. Rozsiedli się na zydlach, drewnianych stołkach i ławach, zataczając szerokie koło wokół tapczanu, na którym w czarnej wyszywanej sukni, ze złożonymi spracowanymi rękami spała snem wiecznym baba, piękniejsza i godniejsza niż kiedykolwiek w życiu. Szkoda, że nie mogła w tej chwili sama siebie zobaczyć, bo jedyne w izbie lustro wiejskim zwyczajem starannie zasłonięto czarną szmatą, aby nie zapatrzyła się w nie martwym wzrokiem i nie została tu na zawsze. Naprzeciw tapczanu stał nakryty białym obrusem stół, na którym paliły się dwie stearynowe świece. Ich mdłe światło pełgało po twarzach skupionych w żałobnym kręgu gości. Była tam żona stocznio-wca w długiej, ciemnozielonej sztruksowej sukience. Obok niej na stołeczku siedziała mała dziewczynka z wielkimi kokardami, a dwuletni chłopczyk wiercił się na kolanach stoczniowej madonny. Za nimi przykucnęła na ławie sąsiadka, której nie dane było zobaczyć papieża. Pod oknem cenzor kartkował podejrzliwie śpiewnik. Nawet biskupie imprimatur nie było w stanie poskromić jego cenzorskich nawyków. Dwóch niedoszłych milicjantów w ministranckich komeżkach siedziało na skrzyni malowanej w koguty. Pani Jadwiga przyprowadziła swoich Trzech Bohaterów z Pawlacza. Byli tak zarośnięci, że i tak nikt nie mógłby ich rozpoznać.

Wszyscy zgromadzeni mieli w rękach własne różańce. Tylko bohaterowie dzielili się jednym, długim, z paciorkami ugniecionymi z chleba. Zdrowaśki falowały w powietrzu, unosiły się nad zmarłą i wylatywały przez lufcik wprost do nieba. Gdy wybrzmiały wszystkie, podniósł się z zydlu niemłody i niestary jeszcze człowiek w czarnym kapeluszu i wiejskim garniturze, pokłonił się babie i zagaił uroczystie.

– Zgromadziliśmy się tu w imię Chrystusa, aby pożegnać naszą zmarłą siostrę. Prosił nas o to ten tu obecny jej mążzonek. I mądrze zrobił, choć nie jest z urodzenia Kaszubą. Ongiś puste noce odprawiały się na całej naszej polskiej, słowiańskiej ziemi, jak owa ziemia długa i szeroka. Ale stopniowo zapominaliśmy o zwyczajach naszych dziadów. Wraz z kostuchą wyganiać zaczęliśmy naszych zmarłych precz do zimnej kostnicy, zamiast ogrzać ich przed drogą naszą pieśnią i żarliwym ogniem świec. Tylko na tym skrawku kaszubskiej ziemi przetrwał obyczaj pustonocny. Patrzyłem, jak mówiliście różaniec. Żaden z was nie ma czarnego podniebienia, a to znak, że nie jesteście Kaszubami. Ale to nic. Będziemy śpiewać po polsku. Każdy z nas ma w ręku śpiewnik. Ja poprowadzę chór.

I popłynęła pieśń. Żona stoczniowca i pani Jadzia, i cenzor, i sąsiadka, co chciała jechać do Rzymu, i roznosiciele mleka w białych komżach, wszyscy zgodnym chórem śpiewali ku czci spoczywającej na tapczanie baby. A najgłośniej zawodzili trzej bohaterowie, bohaterskim tenorem fałszując raz po raz. Do chóru dołączyły zbudzone ze snu kury i kogut, który z dużym wyczuciem dorzucał własne refreny. Tylko Krasula niema patrzyła przez szybę na swą panią wielkim czarnym załzawionym okiem.

I niosły się pod powałę falowcowego zaniżonego sufitu pieśni o Jezusie w Ogrójcu mdlejącym, o Maryi, co pięknie dni swoje skończyła, o darze smutnym od przyjaciół w garstce na grób porzuconej gliny i o matce ziemi, która strawi tego, kogo niedawno żywiła. A kiedy się już tak rozśpiewali, wstał koryfeusz żałobnego chóru i rzekł:

– Ten tu oto mążzonek ze swojej wielkiej żalości ułożył dziś z rana pieśń dla żony swej, nieboszczki. Spisałem ją dla was i każdemu z osobna daję, aby boleść znalazła swe ujście, a żal korytem wspólnym popłynął.

I zaśpiewali razem tę pieśń dziwną:

Szłaś ty, moja duszko, na falowca kraj,

Niosłaś w swym koszyku kopę świeżych jaj.
Jaja się rozbiły, dusza wyszła z ciała.
Będiesz mieć mogiłkę, jako zawsze chciałaś.
Krzyżyk ci postawię jak sosna wysoki,
By twej duszy było bliżej pod obłoki.
Zbiję ci trumienkę, dla ciała pokrowiec,
Prostą, a nie krzywą jak ten tu falowiec.
Kwiatków ci nasadzę do samego nieba,
Skacz z kwiatka na kwiatek, a trafisz, gdzie trzeba.
Ziemi ci podsypię ze cztery hektary,
Żeś mi w tym falowcu dochowała wiary.
Świątka ci wystrugam, niech się modli świątek,
Boś mi gotowała czy świątek, czy piątek.
Trawkę ci wykoszą cztery stada owiec
Za to, że cię zabił ten podły falowiec.

A nie był to koniec pieśni, bo miała ona zwrotek dokładnie pięćdziesiąt sześć, a ich długi korowód ciągnął się przez całą pustą noc. Z każdej strofki jak spod ziemi wyrastał falowiec, a skargi i utyskiwania nań dawały chórowi sąsiadów trudną do ukrycia satysfakcję. Tak oto lament nad babą przemienił się w lament nad falowcem i popłynął galeriami, popłynął zakolami dachu, a stamtąd wzniósł się w górę aż do uszu Wielkiego Architekta. I tylko chłop nie śpiewał. Trzymał babę za rękę i chlipał.

Inżynier stał przez cały wieczór z boku. Słuchał tej pieśni żałobnej jak protest songu przeciwko własnemu dziełu. I czuł, jak ugina się powoli pod brzemieniem nie do końca pojętej winy.

KLATKA D

Inżynier wstał rozbity, pełen nieokreślonych złych przeczuć. Na wszelki wypadek zjadł solidne śniadanie, ogolił się dokładnie i wyruszył przed siebie bez celu. Na wszystkich klatkach ujadły psy. Ujadały na niego? A może chciały go przed czymś ostrzec?

Gdy doszedł do galerii Antka, zakłuło go serce. Na betonie leżały książki. Rozrzucone, niektóre otwarte, z kartkami obracającymi się na wietrze. Parę metrów dalej stał oparty o barierkę facet. Palił nerwowo papierosa.

– Słyszał pan już, co się stało? Tu mieszkał taki inwalida na wózku, fizyk z wykształcenia. Pewnie pan go nie zna, bo rzadko wychodził. Od jakiegoś czasu znosił te książki. Mówił, żeby mu nie przeszkadzać, bo jakiś eksperyment szykuje. No i wyszykował. Dzisiaj rano wjechał na te tomy, przechylił się i poleciał razem z wózkiem. Jakby skrzydeł dostał. Wielu tu już skakało, ale żeby z wózkiem, to pierwszy taki.

Inżynierowi zakręciło się w głowie.

„Czyli Antek jednak skoczył. Skoczył w sześćdziesiątym drugim. A jeśli skoczył w sześćdziesiątym drugim, to dziś też musiał skoczyć. Po tamtym skoku pozostawał mu już tylko ten skok. Ale przecież wczoraj mieszkał tu ktoś inny, a Antek uśmiechał się do niego z Harvardu. Gdzie jest prawda? Czy mógł skoczyć i jednocześnie nie skoczyć?”

Oszołomiony ruszył do następnej klatki. Tam w komputerze mieszkał jego Antek. Szczęśliwy profesor z malusieńką wnuczką. Nacisnął dzwonek klatki doktorantów. Odpowiedziała mu głucha cisza. Zrozpaczony zaczął

walić w drzwi. Walił tak długo, aż sąsiadka obok wystawiła okręconą rącznikiem głowę.

– Nie ma się co dobijać, dzisiaj rano wyjechali na stypendium. Pół roku w Stanach. Takim to dobrze!

Gdy zamknęła drzwi, inżynier osunął się plecami po ścianie. „Wyjechali, zabrali ze sobą Antka w tym swoim czarnym skoroszycie jak w czarnej trumnie. A ja nigdy nie dowiem się, czy naprawdę zniszczyłem mu życie?”

Nie miał po co wracać, wstał więc z wysiłkiem, jak wstaje stary człowiek, i ruszył przed siebie. Na następnej galerii było ciepło i pogodnie, gdzieś podział się nawet falowcowy wiatr. Wszystkie okna i drzwi były powymieniane, każde – w innym punkcie wymiany. Plastikowe okna, sosnowe i stalowe drzwi – nic do siebie nie pasowało. Jeden tylko lokator zatrzymał oryginalne, białe, prążkowane skrzydło. Na metalowej ozdobnej wizytówce inżynier przeczytał nazwisko: Andrzej Miotk. Zawahał się chwilę: „Pukać czy nie? A niech mnie zrzuci z dziesiątego piętra, jest mi wszystko jedno”.

Otworzył mu siwy mężczyzna koło sześćdziesiątki o sportowej sylwetce i przeoranej bruzdami twarzy.

– To ty? Nawet nie wiesz, jak się cieszę. Kopę lat! – w jego głosie czuć było autentyczną radość. – No, wchodź do środka, czemu tak stoisz?

Inżynier niemrawo wsunął się do przedpokoju. Mieszkanie było nieduże, dwupokojowe, nowocześnie urządzone.

– Co za spotkanie! Dobrze, że zrobiłem ostatnio remont. Meble co prawda z Ikei, na lepsze nie było mnie stać – mitygował się Miotk, sadzając gościa na kanapie w białym płóciennym pokrowcu.

– IKEA? To ten szwedzki gigant? – odezwał się wreszcie gość.

– Tak, akurat dobry dla polskich szaraków, takich jak my. No chyba, że ty się odkułeś? Pracujesz nadal w biurze?

– Tak.

– Myślałem, że je zlikwidowano. Teraz wszystkim rządzi deweloperzy. A wracając do naszej Ikei, czy wiesz, że Szwedzi przypływają do Gdańska specjalnie po to, żeby w niej robić zakupy? Bo w ich Ikei jest dużo drożej. Ha ha! Niedługo będziemy razem w Unii Europejskiej, więc ceny mogą się wyrównać. Jak sądzisz?

– Wszystko zmienia się tak szybko, że nie potrafię za tym nadążyć...

– Masz rację, ja też tak czuję. Ledwie się obejrzeliśmy, a mamy już XXI wiek. Myślałeś kiedyś, że będzie tak wyglądał?

Inżynier rozejrzał się po mieszkaniu w stylu IKEA i potrząsnął głową.

– Nie.

– O rany, ile to lat minęło! Ostatni raz widzieliśmy się w biurze. Zwolnili mnie z pracy w siedemdziesiątym piątym, w październiku. Potem mnie aresztowali. Nie wiedziałeś pewnie? Przesiedziałem trzy miesiące. Niby nic, ale zawaliło mi się od tego całe życie. I to dosłownie. Ojciec tak się tym przejął, że umarł na zawał. Przez lata nie mogłem znaleźć pracy, zacząłem zaglądać do kieliszka. Rozpadło mi się małżeństwo, musiałem wyprowadzić się z domu, który sam budowałem latami. Wyjechałem do Malmö. Pracowałem tam jako zwykły gastarbeiter na budowie. Dużo nie przywiozłem – starczyło ledwie na to mieszkanko w falowcu. Wróciłem na szczęście do zawodu. Projektuję domki jednorodzinne. Nieduże. Nie ta skala, co kiedyś. A wszystko przez jedną ulotkę. Co ty taki blady jesteś? Żle się czujesz?

– Nie, nie, nic mi nie jest.

– Napijemy się, to ci przejdzie. Taka okazja! Ćwierć wieku się nie widzieliśmy – gospodarz rozlał do kieliszków absolut. – A pamiętasz, jak

mnie wtedy zaprosiłeś do domu? Takim fantastycznym koniaczkiem mnie wtedy poczęstowałeś. Nie chciałeś powiedzieć, skąd go masz. Ale nam się wtedy języki rozwiązały! Bo przedtem, powiem ci szczerze, odnosiłem się do ciebie z rezerwą. „Trzyma z czerwonymi” – myślałem o tobie. Chyba nie masz mi tego za złe?

– Nie.

– Mówię ci szczerze, jak było. Ale okazało się, że jesteś równy gość. I pierwszy raz paliłem u ciebie gauloisy. Mocne to świństwo jak nie wiem. Nadal to palisz?

– Nie mam okazji.

– No, ale ja tak ciągle gadam i gadam, nie daję ci dojść do głosu. Powiedz, co u ciebie? Założyłeś nową rodzinę?

– Nie.

– A masz jakiś kontakt z dziećmi?

– Nie.

– Przeprowadziłeś się? Kupiłeś samochód?

– Nie.

– Czyli wszystko po staremu? Tak jakby tych lat nie było? Nawet płaszcz masz ten sam, co kiedyś.

Inżynier czuł, jak absolut powoli wypełnia mu przeraźliwą pustkę w duszy.

– Widzisz, ty już postawiłeś sobie pomnik w młodości, więc o nic więcej nie musisz się starać, do niczego nie musisz dążyć. Gorzej ze mną. Zmarnowałem życie.

– Ja zmarnowałem życie innym.

– Ty? W jaki sposób?

Inżynier nalał sobie drugi kieliszek, wychylił go i spojrzał Miotkowi prosto w oczy.

– Od wielu dni idę przez tę galerię jak przez piekło i słyszę płacz i zgrzytanie zębów słyszę. Nikt jeszcze nie powiedział mi dobrego słowa. Same skargi i narzekania: ściany za krzywe, winda za leniwa, sufit za niski. Za głośno, za zimno, za ciasno. Każdy każdemu w gary i wyra zagląda, każdy od każdego w windzie wzrok odwraca. Czuję, jakbym włókł przez te galerie wielki wór, do którego co chwila ktoś wrzuca nowy kamień. Jestem odpowiedzialny za wszystko, co tu się dzieje: za włamania, samobójstwa, alkoholizm, alienację, lęk. Myślałem, że tworzę wielkie dzieło, idealną maszynę do mieszkania, a jak doktor Frankenstein stworzyłem monstrum.

– Nie mów tak. Stworzyłeś wielkie dzieło. Zapisaleś poemat w betonie, zanuciłeś w nim pieśń o szesnastu zwrotkach. Powiedziałem ci to przed laty i powtórzę raz jeszcze: architekci przedwojennej Gdyni wodowali na ulicach swoje białe modernistyczne transatlantyki. Ty po czterech dekadach dorównałeś ich dziełu, tworząc w Gdańsku pofalowane betonowe morze. Piękny, biały, czysty modernizm. Porzucona wśród trawy rzeźba. Zadrżałem, gdy po raz pierwszy na desce kreślarskiej zobaczyłem twój projekt. „Geniusz na miarę Le Corbusiera” – pomyślałem. To było jak Jednostka Marsylska, matka wszystkich bloków, ale miało w sobie więcej polotu, więcej zuchwałości. Było jak wyzwanie rzucone Bogu. Dom bez prostych kątów, wijący się wąż. Dom, który zastąpi miasto, który będzie miastem. Miastem, w którym zanikną podziały społeczne: profesor sąsiadować będzie z robotnikiem, a nad dyrektorem zamieszka sprzątaczką. To nie udało się Le Corbusierowi. Jego mieszkania były za duże, dwupoziomowe, burżujskie. Dzisiaj są bardzo modne i drogie. Falowiec pozostał ludowy. Może dziś jest nawet bardziej ludowy niż kiedyś. I to

właśnie jego problem. Lumpenproletariacki modernizm brzydko się starzeje.

– Widzę to, gdy idę galeriami i płaczę.

– Dobrze, że możesz wciąż iść. Tylko nasze piętro jest jeszcze przechodnie. Widzisz, co się dzieje gdzie indziej? Wszyscy zamykają klatki.

– Zamykają na klucz? – inżynier poczuł, jak ślina zasycha mu w gardle.

– Na klucz, na domofon. Nie zaglądasz na inne piętra?

– Nie.

– To pewnie nie widziałeś, co ludzie potrafią wymyślić, byle się odciąć od swoich bliźnich. Na siódmym ktoś wstawił na klatce drzwi od windy!

– Drzwi od windy? Skąd je wziął? To przecież deficytowy towar.

– „Deficytowy”? Nie ma już takiego słowa w języku polskim. A te drzwi prawdopodobnie pochodzą z rozbiórki naszej windy nieboszczki.

– Co jej się stało? Nie macie windy?

– Mamy wreszcie normalną windę. Szybkobieżną, cichą, taką, która zatrzymuje się na każdym piętrze. Na dziesiątym także. U was nie było jeszcze remontu?

– Nie, u nas wszystko po staremu.

– Więc wasza klatka ciągle tkwi w komunie? – Miotk uśmiechnął się z wyższością, a może z nostalgią. – Znasz zapewne historię o księżniczce Annie i naszej windzie?

– Jakiej księżniczce Annie? Tej, co spadła z konia?

– Tak, tej samej. Nie znasz? To było na początku lat dziewięćdziesiątych. Księżniczka, jak to księżniczka, miała kaprys. Chciała porozmawiać ze zwykłym polskim Kowalskim. No i wylosowali jej Kowalskiego z naszego piętra. Pech chciał, że Kowalski znał dobrze

angielski i opowiedział jej bez ogródek, jak to się żyje w naszym pięknym kraju. Księżniczka tylko kiwała głową, a potem z całym orszakiem zaczęła schodzić z dziesiątego piętra. Tak się bała powrotu naszą rozklekotaną windą, że wolała ryzykować zakwasy w swych królewskich nogach. A wracając do grodzienia galerii, to od dawna podejrzewam, że bierze się ono nie z potrzeby bezpieczeństwa, ale z naszej narodowej, niezatapialnej dulszczyzny. Spędzałem kiedyś wrzesień – taki ciepły jak ten – na Gotlandii. To dawna koralowa wyspa, która dziwnym kaprysem przydryfowała na nasz zimny Bałtyk. A potem zamieszkali na niej wikingowie, piraci, Krzyżacy, Pippi Langstrumpf i Ingmar Bergman. Piękne miejsce. A najciekawsze jest Visby, z kolorowymi domkami wielkości domków dla lalek, wklejonymi jak w album w średniowieczne mury. Całymi dniami chodziłem po wąskich pustych uliczkach, wsłuchując się w odgłosy własnych kroków i uderzenia fal o kamienną plażę w dole opustoszałego miasta. Mijałem drewniane rybackie chaty z malwami wyrastającymi wprost z miejskiego bruku i kamienne owce, które pasły się na kamiennych placykach i skwerkach. Zaglądałem w okna. Nie robię tego nigdzie indziej, ale w Szwecji okna same o to proszą. Usytuowane na wysokości wzroku, bez firan, zasłon i rolet; każde z nich jest małą ekspozycją, bezpłatną wystawą otwartą na spojrzenia siedem dni w tygodniu. Każde oferuje coś innego – od kuchennego kiczu po wysmakowaną sztukę. Szczęśliwe miasta przyszłości z klocków Lego, fajansowe foksteriery i długonogie mewy na barowych stołkach, uśmiechnięte doniczki o zielonych czuprynach i zamyślane marmurowe twarze. Nie mogłem od nich oderwać wzroku.

– Zaglądałeś też głębiej?

– Czasami, sporadycznie.

– Może te wystawy w oknach to są właśnie skandynawskie zasłonki, firanki, rolety? Nie myślałeś tak o tym? Tyle oto chcemy ci powiedzieć o sobie. Spójrz i odejdź w pokoju.

– Nie wiem, może masz rację. Ale z drugiej strony społeczności protestanckie, a zwłaszcza skandynawskie, chcą być przejrzyste, otwarte. Niech każdy widzi, że w twoim domu nie załagł się grzech. I takie są te ich domy – przeniknięte na przestrzał światłem, zadbane, wysprzątane, pełne wewnętrznego ład. Mieszkania, które wytrzymają każde spojrzenie. My boimy się cudzego wzroku, spuszczaemy oczy i rolety. Wstydzimy się bałaganu, niechlujstwa, a najbardziej samych siebie, swojego życia się wstydzimy. Dlatego buntujemy się przeciw falowcowi. A przecież on miał nas zmienić, wyleczyć nas z naszej dulszczyzny, z naszego filisterstwa, stworzyć z nas jedną wielką wspólnotę ludzi równych sobie. A my jak ten Kargul z Pawlakiem grodzimy kolejne klatki, odcinamy kawałki galerii, z tego, co wspólne, czynimy najnaszejsze. Zobacz tylko, jak wyglądają balkony.

Miotk pchnął uchylone drzwi balkonowe. Gość skwapliwie przestąpił próg. Marzył o tym, by nareszcie zaczerpnąć świeżego powietrza. Przechylony przez betonową barierkę przyglądał się ze zdziwieniem nowemu, nieznanemu sobie Przymorzu. Widziane z perspektywy jego okna osiedle było wielką kamienną pustynią, po której hulał wiatr, sypiąc piaskiem w oczy zagubionym pośród szarych bloków przechodniom. W XXI wieku bloki były kolorowe, a pustynia stała się oazą zieleni, której różne tony nadawały klony i lipy, strzeliste topole i powyginane wiatrem sosny, rozłożyste krzewy dawno przekwitłego bzu i owocujące już drzewka drobnolistnej jarzębiny.

– Zobacz lepiej, co dzieje się na balkonach – Miotk odwrócił jego wzrok od bujnej przyrody.

Balkony były równie kolorowe jak bloki. Swoje zróżnicowane barwy zawdzięczały sfatygowanym płytom falistym, chroniącym przed wiatrem i spojrzzeniami nagie żebra balkonowych kratek. Za kratkami mieściły się osobne królestwa. Na sznurach wisiały wielkie chorągwie pościeli i białe proporce kalesonów. Peletony rowerów w najdziwniejszych pozach zdawały się podążać wszystkimi piętrami. W boczne ściany balkonów wtulały się szafy, regały lub szczątki starych meblościanek. Na terakotowych posadzkach stały zardzewiałe miski z zeszłorocznym śniegiem, wielkie aluminiowe gary z reszkami bigosu weselnego dziadków, rozkraczone fotele i olbrzymie stare lodówki, które wykarmiły trzy pokolenia mieszkańców molocha.

– Slumsy. Typowe slumsy – podsumował Miotk, przyklepując dłonią do ściany płąt złączącego z elewacji tynku. – Nasz ukochany modernizm przeszedł w fazę slumsów. A spójrz tam, na te wszystkie ozdóbki, pierdółki, witrażyki. Polacy nie lubią modernizmu. Nasz katolicyzm wymaga złocen i dekoracji, kolorków i amorków. Nie potrafimy znieść czystej formy. Zobacz, co zrobiono z moimi pięknymi szarymi blokami.

Gość zerknął na pastelowe osiedle w dole. Majtkowe róże i koszulkowe seledyny pasowały do siebie jak ulał.

– Mogłoby być gorzej – pocieszył bez przekonania kolegę.

Miotk zamknął drzwi balkonowe, zostawiając za nimi Przymorze XXI wieku.

– Chcesz jeszcze łyk absolutu?

Gość skinął głową.

– Mówisz, że ludzie mają do ciebie pretensje o za niskie sufity i za małe metraże. W Skandynawii panuje teraz wielka moda na małe rybackie chaty, w których mieszkańcy uderzają głową o drewnianą powałę. Mówi się o nich, że są bardzo przytulne. O twoich siedemnastometrowych

kawalerkach też można tak powiedzieć. Przestrzeń to rzecz względna. Poznałem kiedyś bardzo zgraną parę. Mieszkali zgodnie na swoich siedemnastu metrach, ale w końcu dorobili się i zamówili u mnie projekt dużego domu. Nie wytrzymali próby przestrzeni, oddalili się od siebie, pogubili. Niedawno byłem świadkiem na ich sprawie rozwodowej. Napijesz się jeszcze?

Gość przytaknął.

– Wiesz, tak bardzo zazdrościłem ci tego twojego falowca, że chciałem ci ukraść choćby jego kawałek, choćby dach. W tajemnicy przed tobą opracowałem projekt jego zagospodarowania. To miała być wspaniała, prawie kilometrowa promenada prowadząca zakolami w stronę zatoki, którą widać stamtąd jak na dłoni. Wijący się chodnik, ścieżka dla rowerów, latarnie, ławki, donice z kwiatami. Wiem, że Le Corbusier był bardziej śmiały. Jednostka Marsylska ma na dachu basen, kino plenerowe z betonowym ekranem, przedszkole, bieżnię, salę gimnastyczną i kolekcję nowoczesnych rzeźb. Ale on żył w bogatej Francji, choć i tak twierdził, że odkryty przez niego efekt *béton brut*, efekt surowego, brutalnego betonu, z pozostawionymi przez roboczarzy papilarnymi liniami szalunku, zrodził się z powojennej biedy. „Całe szczęście, że nie mamy pieniędzy!” – napisał urzeczony jego szorstką fakturą...

– Pokazałeś komuś swój plan? – gość odstawił opróżniony kieliszek i rozparł się wygodniej w fotelu. – Ta ścieżka rowerowa to świetny pomysł. Można by dachem falowca poprowadzić Wyścig Pokoju. Taki etap, powiedzmy, górski.

– Pokazałem projekt naszemu dyrektorowi. Był zachwycony, ale powiedział, że musi skonsultować to jeszcze w Komitecie. Omal nie rzucił się na mnie następnego dnia. „Co wy mi tu, Miotk, kombinujecie?

Stwarzacie potencjalne zagrożenie dla ustroju. Nie wiecie, że falowiec jest obiektem o znaczeniu strategicznym?”

– Tak, tak, ażebyś wiedział, że jest! – zawołał jego twórca, nalewając sobie sam kolejny kieliszek. – Miałem nawet taki pomysł, żeby katapultować z niego dżem truskawkowy... – ostatnie zdanie zakończyło się czkawką w miejsce kropki.

– I wiesz, co jeszcze mi powiedział? Że ten najdłuższy wiedeński budynek...

– Karl-Marx-Hof? – gość odstawił kieliszek i podjął nierówną walkę z czkawką.

– Tak, ten sam. No więc Karl-Marx-Hof został w latach trzydziestych obleżony przez siły nazistowskie. Zamieszkiwali go wtedy głównie robotnicy socjaliści, więc stał się prawdziwą twierdzą. Wyobrażasz sobie regularne oblężenie bloku? Zniszczono wiele robotniczych mieszkań, ale powstańcy poddali się dopiero po tym, jak oddziały rządowe ostrzelały blok z lekkiej artylerii. W Komitecie stwierdzili więc, że swoją promenadą osłabiam siły obronne falowca. Nie wiem do końca, dlaczego je osłabiałem, a nie, na przykład, wzmacniałem – można było przecież bronić się, zrzucając kamienne donice. Pewnie już wtedy Partia miała mnie na oku. Jestem przekonany, że ktoś z biura na mnie regularnie donosił. Nie wiesz, kto to mógł być?

– Nie... mam... po...ję...cia – czkawka wróciła ze zdwojoną siłą.

– To musiała być niezła szuja. Kiedyś się dowiem. Polać ci jeszcze wódki?

– Nie, dziękuję, będę się zbierał – gość zaparł się na poręczach, aby wstać z fotela.

– Zostań jeszcze. Widzę, że ledwie trzymasz się na nogach.

– Ładny masz telewizor.

– Żartujesz, to stary philips.

– Kolorowy?

– No pewnie.

– A jak bardzo stary?

– Chyba sześćioletni. Z 1995 roku.

– Dla mnie to telewizor przyszłości! Andrzej, czy ty wierzysz w możliwość zagięcia czasoprzestrzeni?

– Tak, ale dopiero po dwóch absolutach. A tyle już od dawna nie pijam. Marzy mi się plazma z dużym, płaskim ekranem, ale sam wiesz, ile to kosztuje. Może pooglądamy coś razem?

Miotk wcisnął pilota. Na ekranie pojawiły się nowojorskie drapacze chmur. Z jednego z nich buchał ogień.

– Nowy *Bond*? – zainteresował się gość.

Wtem ni z tego, ni z owego w drugi z budynków wbił się duży samolot. W kolejnym ujęciu wieżowiec sypał się w dół.

– Nie, to jakaś chała – odparł zdegustowany Miotk. – Czy w tym Hollywoodzie też już brakuje im kasy? Kto robił te efekty specjalne? Budynek zapada się w sobie, a wokół czyściutko, żadnych zniszczeń. Tak to można robić planową rozbiórkę trotylem, a nie wojnę światów. I jak to jest filmowane! Nieruchoma kamera, żadnych zbliżeń, żadnych twarzy. O, tam daleko jakaś kukła leci... Na kaskaderów nie było ich stać. Przełączę lepiej kanał. No nie, tutaj też to samo?!

Miotk, rozzłoszczony, zgasił telewizor.

– Taka jest dzisiejsza telewizja... Sto kanałów, a na każdym ten sam film klasy B.

– Pójdę już – przemógł się w sobie gość.

– Jak chcesz – westchnął gospodarz. – Ale jeszcze ci coś pokażę.

Podał koledze ortalion i wyprowadził go na galerię.

– Badam ostatnio strategię zasłaniania okien. Widzisz: tu są klasyczne rolety, tam żaluzje, a tu coś ciekawszego, popatrz.

W kuchennym oknie wisiała firaneczka z białymi wiejskimi domkami i białym kogutem na równie białym płocie.

– Moi sąsiedzi bawią się w sielską wieś w samym sercu blokowiska. A na to byś już na pewno nie wpadł. To okno było myte ostatni raz chyba w latach siedemdziesiątych. Jest tak brudne, że absolutnie nic przez nie nie widać.

Inżynier przepełniony absolutem cały świat widział teraz jak przez brudną, zamazaną szybę. Objął kolegę, żegnając się wylewnie.

– Cześć, Jędrus. Do zobaczenia w biurze.

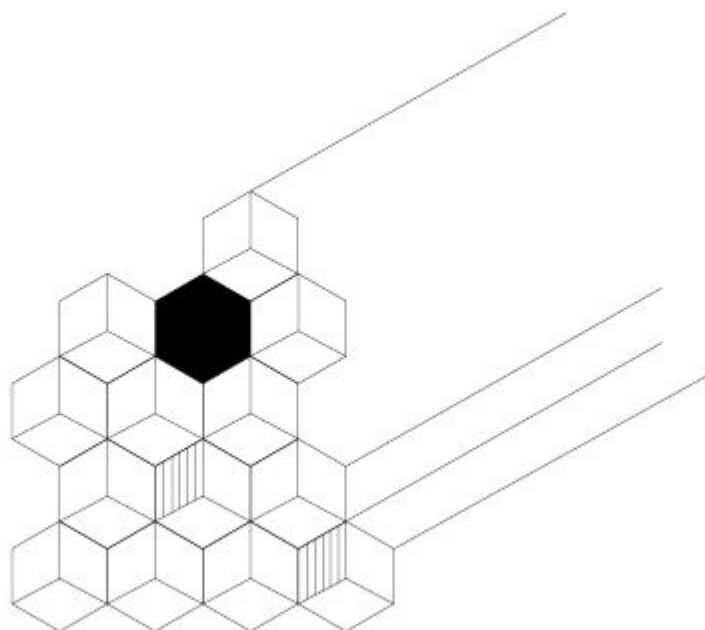
– W biurze? – zdziwił się Miotk.

– Urlop mi się kończy. We wtorek wracam do roboty. Ale na koniaczek nie masz co liczyć. Już go dla ciebie na pewno nie zamówię.

Na chwiejących się nogach ruszył niepewnie w przeszłość. Jedyne, czego był pewny, to to, że nie chce być dłużej szuja. Lipcowe spotkanie przy zachodnich trunkach nigdy się nie odbędzie. Ojciec Miotka dożyje późnej starości, a oni obaj aż do emerytury pracować będą deska w deskę, zazdroszcząc sobie nawzajem wszystkiego po trochu. „Jak on to powiedział? «Porzucona wśród trawy rzeźba»”. Inżynier po raz pierwszy podczas swojej wielodniowej wędrówki czuł się naprawdę szczęśliwy. Na jednej z klatek – było to w latach osiemdziesiątych albo siedemdziesiątych, zupełnie stracił orientację w czasie – zamglonymi ze szczęścia oczami patrzył na małą, może dziesięcioletnią dziewczynkę, która na długich, cienkich jak patyki nogach skakała po całej galerii. Pochylona, ze wzrokiem wbitym w posadzkę wyglądała jak wielki, uwięziony w betonie pasikonik.

– Grasz w klasy? – zagadnął ją bełkotliwie.

– Nie, szukam szpar – mała spojrzała na niego poważnie. – Ten straszny dom się niedługo zawali. A wtedy przeniosą nas do jakichś lepszych bloków.



SEGMENT CZWARTY

KLATKA A

Długie metalowe wiertło wkręcało się w ucho. Przebijało kolejne płaty, miażdżyło nagromadzone wspomnienia, dziurawiło myśli. Głowa pękała z bólu. Gdy wiertło przeszło ją na wylot, inżynier otworzył raptownie oczy. Ból nie zniknął. Był równie nieustępliwy jak wiertło, które wżerało się w ścianę tuż nad uchem śpiącego.

„Pan Mietek dostał nowy dyplom” – pomyślał półprzytomnie inżynier, który każdy sukces sąsiada przypłacał dokuczliwą migreną. Pan Mietek był doskonałym fotografikiem amatorem, ale kompletnie nie radził sobie z wiertarką. Nie raz już i nie dwa przebił się przez żelbetonową ścianę graniczną ich mieszkań. Te niespodziewane wizyty miały najczęściej miejsce w niedziele, bo pozostałe dni tygodnia pan Mietek pracowicie spędzał w stoczni, malując wielkie transoceaniczne statki. A kiedy już pomalował na czerwono radziecki drobnicowiec, zamiast jak inni stoczniowcy położyć się na słońcu z butelką ciemnego, nagrzanego piwa, brał do ręki lustrzanekę i próbował odbić nią chropowate, koślawe piękno wielkoprzemysłowego świata. Na jego zdjęciach zardzewiałe rury zmieniały się w symbole nieskończoności, suwnice stawały się wrotami

raju, a rozrzucone kaski szeptały zakazaną stoczniową opowieść. Nic dziwnego, że zdobywał nagrody na kolejnych przeglądach, biennialach i triennialach fotografii amatorskiej. Nagrody były najczęściej symboliczne, ale pan Mietek kochał symbole i każdy dowód uznania pieczołowicie oprawiał w ramki i wieszał na ścianie, za którą w niedzielny poranek próbował wyspać się inżynier.

Wiertarka i ból dalej świdrowały mu głowę. Wstał, przegryzł dwa ostatnie krakersy (spotkanie z absolutem uniemożliwiło mu wczoraj zrobienie zakupów), zapił wodą tabletkę z krzyżykiem, narzucił ortalion i czym prędzej opuścił wprowadzone w paralityczne drgania mieszkanie. Odetchnął dopiero dwie klatki później – w czerwcu siedemdziesiątego dziewiątego opuściła go migrena. Wychylił się przez barierkę i raźniej spojrzał w przyszłość, która falowała białymi, niekończącymi się galeriami. „Ja to stworzyłem, ja sam. Ilekroć będzie się wymawiać słowo «falowiec», wspominać się będzie i moje imię. Ono jest w tym słowie zawarte, zatopione w betonie jak jaszczurka wyprężona w soczewce bursztynu”. Wola mocy wypełniła go bez reszty. Ruszył rażno do przodu. Zatrzymał go dopiero widok Irokeza samobójcy. Chłopak kiwał się półprzytomnie na krawędzi barierki, jakby za chwilę miał skoczyć w dziesięciopiętrową otchłań.

– Niech pan tego nie robi! – zawołał przerażony inżynier.

Ćpun obrócił głowę.

– Taki paradoksik: jak się chce trafić do tego twojego Boga u góry, to trzeba skoczyć w dół. Nieźle to sobie gostek wymyślił. Ale na mnie musi jeszcze poczekać.

Nadspodziewanie zwinnie zeskoczył z balustrady i trzasnął drzwiami, zostawiając na galerii osłupiałego przechodnia. Inżynier stracił cały animusz. Zgarbił się, zaczął powłóczyć nogami. Kolejne klatki stawiały mu

coraz większy opór. „Starzeję się” – pomyślał, z trudem chwytając oddech. Wstrzymał go zupełnie, mijając mieszkanie Miotka. Przystanął dopiero na następnej galerii. Tu znów wychylił się, by podziwiać białe zatoki swego modernistycznego morza. Ale morze nie było już białe, w południowym słońcu nabrało łososiowej barwy. Nie, to nie był łosoś. To był pomarańcz! Długi, prążkowany listek falowca przypominał gumę owocową, którą inżynier przywiózł córkom przed laty z Zurychu. „Barbarzyńcy! Jak mogli coś takiego zrobić?! Trzeba natychmiast zawiadomić... No właśnie, kogo trzeba zawiadomić? Spółdzielnię? Partię? Pierwszego sekretarza? Kogo zawiadamia się w tym nowym niepojętym świecie, gdy jakiś gigantyczny wandal maluje najdłuższy falowiec Europy na pomarańczowo?”

Inżynier poczuł, że musi natychmiast podzielić się z kimś swą goryczą i swym gniewem. Obrócił się i nacisnął pierwszy z brzegu dzwonek. W drzwiach stanęła ładna trzydziestoparoletnia kobieta. Miała lekko zadarty, udekorowany kilkoma piegami nosek i blade, ale pięknie wykrojone usta. Jej włosy splecione były w misterne wielobarwne warkoczyki zbiegające się na plecach w coś w rodzaju kolorowej miotły. Kobieta miała na sobie obcisłe džinsy i bladoróżową koszulkę z angielskim napisem, z którego inżynier zrozumiał tylko jedno słowo: *Love*.

– Wejdz – powiedziała kobieta. – Czekałam na ciebie długo.

Wszedł do zalanej słońcem przestrzeni. Jeden jedyny dwudziestometrowy pokój wyglądał jak nowoczesna sala gimnastyczna. Nową podłogę z ciemnych desek zajmowały: wielki biały materac, rower bez kół oraz sztuczna bieżnia. Na materacu ktoś rozrzucił niedbale kolorowe poduszki i rozgrzebał tęczową satynową pościel. Pod pozbawionym firan oknem stał stół trawiastozielony z filcowymi wycinankami zamiast zwykłego obrusa. Towarzyszyły mu krzesła

z przezroczystego pleksi na przestrzał prześwietlone południowym słońcem.

– Usiądź – powiedziała kobieta i inżynier przysiadł na słonecznym promieniu, zapatrzonego w jej tęczowe włosy.

– Nie jest ci za gorąco? Ciągłe nosisz ten swój okropny ortalionowy płaszcz.

Kobieta obracała w ustach słowa jak twarde kamyki.

– Kto ci powiedział, że tu mieszkam? Szukałeś mnie, powiedz? Milczysz jak wtedy. Jak potem. Jak zawsze. Dlaczego ty ciągle milczysz, tato?

Inżynier podniósł pytający wzrok.

– Agata?

Dopiero teraz rozpoznał jej zadarty nos, jej kolekcję piegów i usta wycięte w serduszko. Nawet głos był jej, ale na emigracji stwardniał, a polskie słowa stały się w Bremie kanciaste i z trudem przechodziły przez gardło. Mężczyzna chciał przytulić córeczkę, wziąć ją na kolana, pokłusać. Od czasu jej zniknięcia wciąż o tym marzył. Ale zamiast Agatki stała przed nim trzydziestopięcioletnia wysportowana kobieta mówiąca z silnym niemieckim akcentem.

– Szukałem cię przez te wszystkie lata – powiedział cicho, zwieszając głowę. Był pewien, że mówi prawdę.

– Daj mi ten twój płaszcz – dziewczyna sama zaczęła ściągać z niego ortalion. Poddał się jej bezwolnie jak manekin albo małe dziecko.

– Ciągłe palisz te same obrzydliwe papierosy? Nie wiedziałam, że je jeszcze w tym kraju można kupić. Jak byłam dzieckiem, to tęskniłam za tym smrodem.

– Tęskniłaś za mną? – spytał wzruszony.

– Nie za tobą, za smrodem twoich papierosów – powiedziała, odwracając głowę. Była jak jej matka, która nigdy nie potrafiła przyznać wprost, że go kocha.

– Dawno tu mieszkasz? – zmienił niezręczny temat.

– Od miesiąca. Mam stypendium z Deutsch-Polnische Stiftung. Piszę doktorat o mieszkańcach wielkiej płyty: „Przemiany w stylu życia postkomunistycznych blokowisk w Polsce i na terenach byłej DDR”. Jestem socjologiem. Nie wiedziałeś, tato?

Nie miał nawet siły, by pokręcić głową.

– Chciałam cię już dawno odwiedzić. Robię wywiady pogłębione, a ty byłeś jednym z pierwszych lokatorów.

– Tylko po to? – spytał cicho.

– Nie, nie tylko. Chcesz herbaty? Mam rooibos.

Skinął głową, choć nazwa nic mu nie powiedziała.

Dziewczyna odpaliła stojący na podłodze metalowy kosmiczny czajnik i wsypała herbatę do dwóch białych kubków z zielonymi rozczapierzonymi listkami.

– Co słyszeć u Agnieszki? – zapytał, gdy wybrzmiał bulgot gotującej się wody.

– Skończyła architekturę, ale nie poszła do pracy. Została kurą domową – tak tutaj mówicie. Mieszka pod Bremen, ma dwoje blond niemieckich dzieci, Helgę i Hansa. Jesteś dziadkiem, nie wiedziałeś, tato?

Inżynier poczuł, że wraca mu migrena. A może tylko kręci mu się w głowie?

– A co z mamą?

– Naprawdę nie wiesz? Umarła na raka w 1982. Ja miałam czternaście lat, a Aga jedenaście. Od tamtej pory wychowywała nas babcia. Chciała cię

nawet zawiadomić, ale był stan wojenny i dała spokój. Przecież i tak się nami nie interesowałeś.

– To nieprawda – powiedział, a może tylko pomyślał inżynier.

– Pij, herbata ci wystygnie – Agata postawiła na stole tacę z kubkami.

– Mogę prosić o cukier?

– Słodzisz? W twoim wieku to niezdrowe. Zresztą nie mam tu cukru.

Nie używam.

Inżynier upił łyk dziwnego, cierpkiego płynu i odstawił kubek.

– Kiedy dokładnie umarła mama?

– 15 sierpnia 1982 roku.

Inżynier zasępił się. Próbował przypomnieć sobie, kiedy spotkał prywaciarza wylatującego do Bremy. „Tak, to było wtedy, gdy w telewizorze zamiast generała pojawiła się Bromba. W grudniu 1981 roku. Żona jeszcze żyła, mogłem nawiązać z nią kontakt. Mogłem nawet odzyskać dzieci. Dlaczego tego nie zrobiłem?” Nie wiedział, komu postawić to pytanie. Ale miał w zanadrzu jeszcze jedno, które chodziło za nim od wielu dni. Podniósł głowę i spojrzał Agacie prosto w oczy.

– Kim jest Bromba?

– Ty mnie o to pytasz? – roześmiała się cicho. – Pamiętam, jak parę miesięcy przed naszym wyjazdem mama kupiła mi książeczkę o dziwnym świecie, w którym żyją jeszcze dziwniejsze, niepodobne do niczego stwory. Uwielbiałam oglądać jej obrazki, ale protestowałam, kiedy mama chciała mi ją przeczytać. Czułam, że to jest książka przeznaczona dla ciebie, że tylko my dwoje razem możemy odkryć jej tajemnicę. Przeczytamy ją wspólnie i nie piśniemy o niej słowa nikomu, nawet małej Agnieszce. Codziennie przychodziłam do ciebie wieczorem i prosiłam: „Poczytaj mi, tato”. A ty mówiłeś, że zrobisz to jutro, bo dziś nie masz czasu, bo jesteś w swoim jeszcze dziwniejszym świecie, w którym nawet bloki nie

przypominają bloków, a wielkiego kamiennego węża. A potem któregoś dnia mama obudziła nas bardzo rano, kiedy ty jeszcze spałeś, i wyszłyśmy na paluszkach prosto do Bremen, a ja wzięłam ze sobą tylko jednego misia, bo myślałam, że jedziemy na niedzielę do babci, i wszystkie książeczki zostały same na półce w zaklętym pokoju naszego dzieciństwa, i już nigdy, przenigdy nie dowiedziałam się, kim jest Bromba.

– Jak długo tu zostajesz? Mogę ci przynieść tę książkę.

– Nie wiem. Miesiąc, dwa. Zbiorę materiały i wyjadę. Dużo rozmawiam z ludźmi. Opowiadają mi dziwne historie. Ktoś mi na przykład wspominał o krowie na balkonie. Była tu taka? Wiesz coś o tym?

– Tak. Zjadła jednej dziewczynce majteczki w kwiateczki.

– O, to bardzo ciekawe. To potwierdza teorię ruralizacji wielkiej płyty. Nie wiesz, co to jest? Napływający do miast element chłopski wprowadzał wtórnie w blokowiskach wiejski styl życia pod względem wystroju wnętrz, kultywowanych obrzędów, zwyczajów, a nawet obecności żywego inwentarza w przestrzeniach mieszkalnych.

„Falowiec to jedna wielka wiocha” – przypomniał sobie krótszą definicję autorstwa jej matki. Agata miała oczy tak błękitne, że aż szare. Jak mógł jej wcześniej nie rozpoznać? Gdyby nie te warkoczyki i sportowa sylwetka, byłaby idealną kopią jego żony.

– A potem lecę do Bremen – tak jak ona niezmordowanie wyrzucała z ust ostre, raniące język i uszy kamyki. – Skończę doktorat, obronię go i może tu wrócę. Za trzy tygodnie referendum europejskie. Jeśli zagłosujecie na „tak”, to dla nas, Niemców, otworzą się tu zupełnie nowe perspektywy.

Słowa „dla nas, Niemców” wypowiedziała w sposób równie naturalny, jakby mówiła: „dla nas, kobiet po trzydziestce”.

– Właściwie to przyjechałam tu już z pewnymi planami, ale rzeczywistość, niestety, okazała się bardziej skomplikowana, niż myślałam. W całej Europie Wschodniej powstają teraz muzea komunizmu. Tylko u was, nie wiem czemu, to się nie udaje. Może dlatego, że i komunizm nie bardzo się u was udał? Ale macie przecież taki piękny Pałac Kultury. I co? Chcieliście go zburzyć. A komunizm to jest teraz dobry biznes. Pomyślałam, że gdzie jak gdzie, ale w Gdańsku powinno powstać takie muzeum. Tutaj przecież komunizmowi przetrącono kark. Dla nas, Niemców, symbolem dawnego ustroju jest przeklęty mur berliński, ale dla mnie osobiście komunizm to falowiec, ten zaczarowany labirynt mojego dzieciństwa. Jedna z największych Wielkich Budów Socjalizmu i nieudany eksperyment społeczny – to się wręcz domaga własnej narracji. Chciałabym tu stworzyć Muzeum Wielkiej Płyty, takie żywe muzeum dnia codziennego, z prawdziwymi mieszkańcami zamiast woskowych figur. Ubrani w grempliny, bistory, anilany, bluzeczki z włóczki, swetry z golfem, pulowerki w serki, sztruksy, getry i lambady imitowałiby tamten czas. W godzinach zwiedzania muzeum, od dziesiątej do osiemnastej, siedzieliby na wersalkach, na klubowych fotelach, na pufach i drewnianych, tapicerowanych ławach i w nieskończoność oglądali na zabytkowych rubinach, neptunach i ametystach teleranki, dzienniki w mundurkach, telewizyjne technika rolnicze, opola, sopoty i koncerty życzeń. Turyści mogliby się do nich dosiąść na stawkę większą niż życie albo zajrzeć im do garnka i posmakować zupy nic, kiełbasy białej toaletowej, kaszy gryczanej kamieniami okraszonej i kaszanki z krwią robotników świeżej.

– I ci pracownicy muzeum, te żywe figury woskowe, przez osiem godzin dzień w dzień musieliby oglądać stare programy telewizyjne? – inżynier próbował zrozumieć pomysł swojej córki.

– Nie tylko. Dostaliby też do ręki stare wydania gazet: „Trybuny Ludu”, „Głosu Wybrzeża”, „Szpilek”. Czytaliby sprawozdania z plenów, cieszyliby się z bramek Deyny i Bońka, śmialiby się głośno z antyimperialistycznych dowcipów. To się nazywa w literaturze anglosaskiej *historical reenactment*, po waszemu chyba „rekonstrukcja historyczna”.

Przez obolałą głowę inżyniera przebiegła, nie wiedzieć czemu, myśl, że to prawdziwy koszmar być skazanym osiem godzin dziennie na w pełni uświadomione życie w Peerelu.

– Czy będą chociaż za to sowicie wynagradzani?

– Dostaną dwa euro za godzinę. Dwa euro za godzinę mieszkania w falowcu to chyba uczciwa stawka? A ty, tato, nie chciałbyś trochę dorobić? Za rok przechodzisz na emeryturę. Jako twórca falowca świetnie byś do tego projektu pasował. Nawet nie musiałbyś szukać przebrania. Ten ortalion, ta koszula *non-iron*, nawet twój zapach to zapach Polski Ludowej: woda przemysławka, mydło zielone jabłuszko i tanie papierosy bez filtra. Byłbyś żywym eksponatem, perfekcyjną rekonstrukcją. Zastanów się dobrze, tato.

Inżynier zapił tę propozycję gorzkim łykiem herbaty rooibos.

– Gdzie dokładnie miałoby powstać to muzeum?

– W tej klatce. Początkowo myślałam, że zajmie całe dziesięć pięter, póki nie zaczęły się problemy. To miało wyglądać tak: na dachu taras widokowy oraz kawiarnia z kawą po turecku i herbatą popularną w szklance; najwyższe piętra zajmowałyby pieczołowicie zrekonstruowane mieszkania; niżej byłyby sale kinowe, wykładowe, warsztaty dla dzieci „PRL – zrób to sam”, biblioteka z dziełami wszystkimi Lenina, sklep z pustymi półkami, izba wytrzeźwień, bar mleczny i biuro, w którym przez cały dzień nic się nie robi – to by dopiero była atrakcja dla turystów! Resztę pięter przeznaczyłabym na hotel. Ceny od dwudziestu do nawet dwustu

euro za czteropokojowy apartament w stylu pierwszego sekretarza. Miałam gotowy cały projekt, ale tu, w Polsce, rzeczywistość zawsze skrzeczy. Herbata ci wystygła. Zaparzę nową.

Dziewczyna wstała i podeszła do czajnika, po drodze zamiatając tęczową miotełką powietrze. „To moja córka – myślał gorączkowo inżynier. – Zafascynowana komunizmem bardziej niż ja w szkolnych latach stalinowskich. Co ona widzi w tych szarych, koślawych czasach, czego my nie umieliśmy dojrzeć? To był świat, z którego każdy chciał się wyrwać, świat, z którego uciekła jej matka. A teraz ona wraca do tej klatki jak tresowany gołąb. Jak jej wytłumaczyć, że tam nie ma po co wracać?”

– To się, tato, nazywa „nostalgia” – odpowiedziała jego myślom Agata, stawiając na stole dwa parujące kubki gorzkiej herbaty. – „Nostalgia za komunizmem”, tak na to mówią socjologowie. To się budzi w całym byłym obozie. W Polsce jest jeszcze słabe, ale będzie przybierać na sile. Tak pokazują badania. Trzeba się spieszyć, zanim inni ukradną ci pomysł. Jak tu przyjeżdżałam, to myślałam, że wszystko będzie takie proste. U nas, na terenach DDR, są całe opuszczone bloki, ciemne i zimne widma socjalizmu. Byłam pewna, że tu jest tak samo, że falowiec też opustoszał, że bez trudu znajdę dla siebie całą pustą klatkę. Przyjechałam i znalazłam jak dawniej – sześć tysięcy osób ciasno stłoczonych w jednym bloku. Może nawet więcej, bo w takim mieszkaniu jak to potrafi zmieścić się do dwudziestu Wietnamczyków. Będę musiała ich wszystkich wysiedlić, dać im nowe mieszkania. To wymaga wielkich grantów, wielkiego nakładu pracy. Boję się, czy dam sobie radę. Lubisz szparagi?

– Nie wiem, nigdy nie jadłem.

– Ugotowałam rano cały garnek. Mam nadzieję, że polubisz.

Wyszła na chwilę do kuchni, by wrócić stamtąd z zieloną misą pełną bladych fallicznych jarzyn.

– Jestem weganką. To najbardziej mięsna z moich potraw.

Wzięła do ust jednego szparaga i zaczęła ssać go nieprzyzwoicie.

– Na szczęście można je już dostać w Polsce. Bez nich maj nie byłby dla mnie majem.

Inżynier ugryzł kawałek mitycznego warzywa. Pierwszy kęs nie miał dla niego żadnego smaku, ale kiedy wciągnął cały pęd, poczuł, że i on go wciąga. Z przyjemnością sięgnął po następną sztukę.

– Czy wiesz, tato, że szparagi i asparagus to jedna i ta sama roślina?

– Naprawdę? Nie wiedziałem.

– Ja też nie. Przeczytałam o tym niedawno w Internecie. Pamiętasz ten nasz stary asparagus na trójnogu?

– Oczywiście, ciągle rośnie w mojej pracowni.

– Żartujesz? Od trzydziestu lat? – Agata omal nie zadławiła się szparagiem. – Muszę go zobaczyć! Wtedy widziałam go oczami dziecka: był taki wielki i groźny. Ciekawe, co powiedziałabym o nim dzisiaj?

– Że bardzo zmarniał. Wygląda, jakby nieustannie tęsknił za wami.

– Nie lubiłam asparagusów. Pamiętasz, dodawano je w kwiaciarni do każdego kwiatka, do każdego goździka, do każdej gerbery. Asparagus obsługiwał wszystkie komunistyczne święta, od Dnia Kobiet po Barbórkę. Był kwiatową kwintesencją tego ustroju.

– A szparagi?

– Szparagi były snem mojego peerelowskiego dzieciństwa. Mama przeczytała mi kiedyś artykuł z dziewiętnastowiecznej gazety o tym, jak należy jeść szparagi, by nie wywołać zgorszenia w towarzystwie. Nie rozumiałam, dlaczego warzywa mogą gorszyć, ale uznałam, że szparagi jedzą tylko jacyś lepsi, bogatsi, bardziej eleganccy ludzie. „Szparagi rosną w kapitalizmie” – myślałam wtedy. I rzeczywiście, przeczucie mnie nie myliło. W Niemczech odnalazłam ich całe hektary. A na koniec okazało się,

że wykwintne kapitalistyczne szparagi i wiotkie gałązki socjalistycznego szparagusa to pędy wyrastające z tego samego kłącza. I jak? Smakują ci?

– Tak, bardzo. Naprawdę chciałybyś zobaczyć znowu nasz stary asparagus?

– Jasne! Chciałabym go porównać z tym obrazem, który wciąż noszę w sobie...

– To będzie trudne. Możesz go znów zobaczyć tylko oczami dziecka.

– Nie rozumiem.

– Wierzysz, że możliwe są podróże w czasie?

– Oczywiście, dlatego chcę założyć Muzeum Wielkiej Płyty.

– Coś innego miałem na myśli. Sama powiedziałaś, że jestem żywym eksponatem, że pachnę tamtą epoką. Ja tam nadal żyję. Ciągłe mam trzydzieści pięć lat i czekam na wasz powrót.

– I donosisz na kolegów?

– Skąd wiesz?

– Spotkałam tydzień temu twojego kumpla z biura, inżyniera Miotka. Robiłam z nim wywiad pogłębiony do mojego doktoratu. Wszystko mi powiedział.

– Gdzie go spotkałaś?

– Znalazłam go przez Internet. Umówiliśmy się w kawiarni. Nieważne. Był w tym waszym IPN-ie, widział dokumenty. Zniszczyłeś mu życie, sk... synie, tato.

– Nie, to nie tak. Ja tam, w tym moim czasie, w tej mojej przeklętej klatce czasu, jeszcze nie doniosłem. I nie doniosę. Zerwę współpracę.

– Więc na co czekasz? Zrób to, zerwij ją natychmiast.

– Czy wtedy będę miał prawo tu wrócić i przytulić cię, i zabrać cię jako moją małą córeczkę do tych moich czasów, do czasów, w których żyliśmy

oboje?

– Tak, będę tu na ciebie czekać. Nie chcę mieć ojca zdrajcy.

– Nie będziesz miała. Obiecuję ci. A potem podaruję ci twoje wymarzone muzeum. Tam, na kolejnych klatkach odnajdziesz utracony czas, odnajdziesz swoje peerelowskie dzieciństwo. Już wiem, dlaczego udało mi się zagiąć czasoprzestrzeń. Stało się to, bym odnalazł ciebie i uczynił cię kustoszem najdziwniejszego muzeum świata, muzeum naszej własnej pamięci.

– Idź już, chcę pamiętać cię dobrze.

Córka odprowadziła go na galerię. Podała mu ortalion.

– Trzeba zatrzymać czas. Widziałeś, jak zmienił się nasz falowiec? Wygląda jak listek pomarańczowej gumy, którą kiedyś przywiozłeś nam z Zachodu. Kusi mnie czasem, by wziąć go w całości do ust i żuć powoli, póki nie straci smaku, a potem wydać go językiem w gigantyczny balon i dmuchać w falowiec tak długo, aż naciągnie się, przetrze i pęknie z wielkim hukiem.

Inżynier wracał do siebie oszołomiony. W ciągu dwóch godzin i jednej migreny stał się dziadkiem oraz ojcem dwóch niemieckich córek, z których jedna jest architektem, a druga – jego rówieśnica – chce być kustoszem tego powyginanego świata, który sam stworzył. „Dwa pędy z jednego kłącza” – pomyślał wzruszony. Druga myśl była bardziej trzeźwa. „Muszę poprosić Agatę, by zmieniła nazwę muzeum. Muszę jej wytłumaczyć, że falowiec nie powstał w technologii wielkiej płyty, a w technologii wielkiego bloku, w której prefabrykaty są dużo mniejsze i bardziej zindywidualizowane. To ważne. Z wielkiej płyty budował swoje czworaki inżynier Miotk”. Tu zasepił się, przypomniawszy sobie o obietnicy danej córce. Ciężka mu ona przez resztę drogi. Gdy dotarł do domu, spojrzał na ścienny kalendarz i odetchnął z ulgą. „Dziś niedziela. W Resorcie nie będzie żywego ducha”.

Uspokojony, usiadł w fotelu, ale natychmiast poderwał go stamtąd chrapliwy charkot hipopotama. W słuchawce odezwał się głos aż nazbyt znajomy.

– Dzień dobry, inżynierze. Jutro ostatni dzień urlopu. Skończyła się labra, *n'est-ce pas?* A my tu pracujemy świątek piątek. Resort czuwa. Nad wszystkim czuwa. I w związku z tym takie pytanko mam do was od razu, jaki koniaczek przygotować na to wasze spotkanie z inżynierem Miotkiem? Nie krępujcie się, Resort ma nieograniczone możliwości.

– Nie będzie żadnego spotkania. Ten wasz koniaczek możecie sobie... – głos uwiązł mu w gardle. – Możecie sobie wypić sami.

– A co to za fochy? Jesteście naszym współpracownikiem czy nie? My wam mówimy, co macie robić, a wy to robicie, zrozumiano?

– Zrywam współpracę.

– Co?! Powtórzcie, bo chyba się przesłyszałem.

– Zrywam z wami współpracę.

– Spiliście się czy co, do cholery? Nie wiecie, co mówicie.

– Dobrze wiem, co mówię. Nie będzie więcej żadnych spotkań, żadnych raportów, koniaczków ani taloników. I żebyście nie musieli się męczyć szantażowaniem mnie, już we wtorek powiem w pracy, że byłem waszym kapusiem. Na szczęście nie mam wiele na sumieniu, przynajmniej do tej pory. A wasza władza kiedyś się skończy. Wiem to na pewno.

– Ty sk...synie...

– Wolę, abyście to wy nazywali mnie sk...synem, niż żeby mówiły tak o mnie moje córki.

– Zapomniałeś chyba, że je masz. I jeszcze tego pożałujesz.

– Nie zapomniałem. Moje córki są bezpieczne, z dala od waszych łap.

– Myślisz, że Brema leży tak bardzo daleko? Albo że w Niemczech jest całkiem bezpiecznie? Tam też są drogi, ba, nawet autostrady tam są. A na autostradach zdarzają się wypadki. Czasem ze skutkiem śmiertelnym. Jeszcze będziesz wył jak ojciec zadżumionych, ty miłośniku Słowackiego pieprzony. I jeszcze coś. Te twoje donosy wcale nie były tak bezwartościowe, jak myślisz. Niektóre już się nam przydały. Możecie być z siebie dumni, panie inżynierze.

W słuchawce dał się słyszeć trzask, a potem zapadła grobowa cisza. Mężczyzna opuścił rękę. „Po co ja to zrobiłem?...” Rzucił słuchawkę i zaczął nerwowo przeszukiwać szuflady. W końcu w jednej z nich znalazł złoty klucz yeti. Otworzył nim wreszcie zaklęty pokój córek. Panował w nim półmrok. Żona, opuszczając go potajemnie wczesnym rankiem, zostawiła opuszczone żaluzje. On też nie podniósł ich nigdy, bo półmrok dzieciennego pokoju uznał za doskonały symbol swojego własnego opuszczenia i bólu. Teraz jednym szarpnięciem wpuścił czerwcowe słońce. Padło ono najpierw na piętrowe łóżko jego własnej konstrukcji, na którym głębokim snem spały pluszowe misie i niebieski Koziołek Matołek w krótkich czerwonych spodenkach. Radziecka pucułowata lalka spojrzała na niego spode łba. „Ona umie mówić tylko «mama»” – przypomniał sobie inżynier. Na podłodze leżały w kurzu rozrzucone drewniane klocki, ślady ostatniej z budów socjalizmu, której nie zdążyły ukończyć jego córki. Mężczyzna przysiadł na ziemi, ułożył kilka klocków, a potem obrócił się w stronę niskiego wyszkowskiego segmentu z brzydką, kiepsko imitującą słoje drewna okleiną. Na dwóch półkach mieściła się tu dziecięca biblioteka. Szybko znalazł to, czego szukał. *Bromba i inni* – głosił tytuł na twardej okładce. Zanim otworzył książkę, spojrzał w górę, na słomiankę, którą przybił kiedyś, by dziewczynki miały gdzie eksponować swoje

najnowsze prace. Wisiało tam kilka świeżych rysunków sprzed roku. Na każdym z nich falował długi, kolorowy, dziesięciopiętrowy blok.

Oczy zaszyły mu wilgocią. Aby całkiem się nie rozkleić, wziął książkę i zaczął czytać jej pierwsze zdania na głos, tak jakby czytał ją siedzącej na zakurzonym parkiecie, tuż obok niego, Agatce: „Pciuch zamieszkuje Czas. To znaczy, że można go zobaczyć tylko wtedy, kiedy się żyje kiedy indziej”.

KLATKA B

Inżynier nie spał całą noc. Skoro świt chciał biec, by sprawdzić, czy coś złego nie stało się Agacie, ale właśnie o świcie przysnął męczącym, gniotącym jak zmora piersi snem. Obudził go telefon.

– Dzień dobry, panie inżynierze. Przepraszam, że tak w poniedziałek z rana, ale mam istotną wiadomość. Odnalazł się dokument dotyczący pana przyjaciela. Rzeczywiście, przyznano mu rentę inwalidzką w sześćdziesiątym drugim. Ten świstek trafił przez pomyłkę do jakiejś innej teczki. Ale widzi pan, u nas nic nie ginie – zakończyła z satysfakcją pani Basia i, nie czekając na odpowiedź, odłożyła słuchawkę.

„Skoczył” – pomyślał już beznamiętnie, jak myśli się o tragediach sprzed wielu, wielu lat. Spojrzał w kalendarz. Był poniedziałek, 30 czerwca 1975 roku, ostatni dzień urlopu. Dzień, który postanowił spędzić z córką w jej dalekiej przyszłości.

Może pozostanie tam na zawsze jako żywy eksponat, żywa skamielina wczesnej epoki Gierka? A może ona zgodzi się powrócić tutaj? Odrzuci swoją niemiecką biografię, pozbędzie się twardego akcentu i wspomnień o umięśnionych blondynach z silną germańską szczęką. Wyrzeknie się zdobytych dyplomów, socjaldemokratycznych poglądów, wegetariańskich rojeń. Pozostawi bez żalu swoje trawiastozielone porsche, swoją przeszkloną kawalerkę w Bremie, swojego syjamskiego kota i najnowszego kochanka o modnej, sportowej sylwetce. Będzie znów jego małą siedmioletnią córeczką, dla której tym razem znajdzie czas, na pewno go znajdzie. Będą wspólnie rysować niekończące się tęczowe falowce, a na

dębowym parkiecie budować będą z drewnianych klocków kolorowe osiedla przyszłości. A potem zaprowadzi ją do szkoły, by z tych samych liter nauczyła się składać nie niemieckie, a polskie słowa, które są bardziej obłe i nie ranią tak nękanego anginami dziecięcego gardła. Po szkole kupi jej wielką chmurę waty cukrowej i ze śmiechem rozrywać ją będą palcami, doprawiając sobie białe wąsy i brody słodkie jak dziecinne wspomnienia, a potem pójdą alejką nad morze i wypuszczą na długim sznurku latawca, którego nigdy nie miał czasu zbudować. A gdy upłyną lata, pójdą pod rozkwitłą kwiatami stoczną i na wielki plac pomiędzy blokami, gdzie wśród fal wiernych płynąć będzie na swym okręcie polski papież. Tylko czy Agata się na to wszystko zgodzi? Czy zgodzi się przeżyć jeszcze raz dzieciństwo, tym razem w szarej, siermiężnej Polsce, bez babci, mamy i siostry, bez perspektyw, klocków Lego i zachodniej gumy balonowej? Co otrzyma w zamian? Ojca.

„To niewiele” – westchnął inżynier. – Może ta książka sprawi, że powróci w czasy dzieciństwa”. Do bezdennej kieszeni ortalionu ostrożnie wsadził Pciucha, Brombę i innych. Pogłaskał kieszeń, jakby sprawdzał, czy jest im tam dostatecznie wygodnie. „Tak, Agata na pewno tu przyjdzie. Ona jedna jedyna uwierzyła, że udało mi się zagiąć czas”.

Zaraz po śniadaniu wyruszył w drogę. Na sąsiedniej klatce znów stała kolejka. Jej oczy i siatki z dużymi okami były przeraźliwie puste. Wśród szpaleru nóg przechadzał się jesiennobarwny kogut i dziobał znieruchomiałe, wrośnięte w beton kostki.

Dwie klatki dalej bawił się żołnierzkami Bartek.

– Cześć, wujku – zagadnął inżyniera. – Ja już jestem duży, bo chodzę do zerówki. I nasza pani uczy nas liczby mnogiej. Wiesz, jaka jest liczba mnoga od człowieka?

– Ludzie – odparł przechodzień.

– Nie, kolejka.

W pierwszej klatce stanu wojennego wędrowiec ujrzał dwie kobiety wychylone ze swoich kuchennych okienek. Jedną z nich była Scylla w papilotach. Inżynier zamarł przy wejściu.

– I wyobraża pani sobie, on wyglądał zupełnie normalnie.

– Niemożliwe – zdziwiła się druga z trwałą ondulacją.

– Tak, miał długi, ciemny płaszcz i niby-spodnie.

– Co to znaczy „niby-spodnie”?

– To znaczy same nogawki. Nogawki na gumce! Uwierzy pani?

– Niesamowite, co za patent!

– I kiedy wsiadałam do windy, on rozchylił poły płaszcza.

– Wszystko było widać?

– Tak, sterczało mu czerwone jak sztandar na 1 Maja.

– I co pani zrobiła?

– Zaczęłam krzyczeć: „Milicja!”.

– A on?

– Odjechał windą.

– Może to ten? – sąsiadka z trwałą zwróciła wreszcie uwagę na czającego się u wejścia inżyniera.

– Nie, ten to menel – uspokoiła ją sąsiadka w papilotach. – Łazi po galeriach i mleko ludziom kradnie.

Jak na komendę obie zamknęły swoje kuchenne okienka. Droga była wolna.

„Oho, czyżby zboczeńcy przenieśli się z łąk do falowca? A może tylko zimują tutaj, chroniąc swoje skarby przed mrozem i szronem?” Dziarskim krokiem minął kolejne dwadzieścia dwa lata (one minęły jemu, one minęły

go) i zapukał do drzwi Agaty. Odpowiedziała mu cisza. Zapukał głośniejsze. Drzwi otwarły się powoli.

– My tu przebywać legalnie – zapiszczał dziwny głosik. W drzwiach stał niziutki Wietnamczyk w trawiastzielonym T-shircie.

Inżynier jeszcze raz spojrzał na numer lokalu. Wszystko się zgadzało.

– Czy mógłby pan poprosić moją córkę Agatę?

– Nie znać pania Agata. My tu mieszkać legalnie.

– Tu mieszka Agata, moja córka. Mogę wejść?

Wietnamczyk pokręcił głową.

– My tu mieszkać legalnie.

Inżynier, zdenerwowany, pchnął drzwi, omal nie miażdżąc nimi niepozornego człowieczka. Mieszkanie Agaty wyglądało zupełnie inaczej niż wczoraj. Nie było już w nim urządzeń sportowych, a na drewnianej podłodze leżały grube ryżowe maty. Siedziało na nich w kucki dwudziestu Wietnamczyków i wyjadało coś pałeczkami z orientalnych puszek.

– Gdzie jest Agata?! – wykrzyknął na cały głos intruz.

Wietnamczycy odłożyli pałeczki i wstali, by się przywitać.

– My tu mieszkać legalnie – powiedzieli chórem.

– Uprowadziliście Agatę! – zawołał z rozpaczą.

– Co to znaczy „uprowadzić”? – zapytał zaciekawiony mały odźwierny, który prawdopodobnie jako jedyny władał jako tako polszczyzną.

– Nieważne... – machnął ręką inżynier i wybiegł na klatkę. Krew uderzyła mu do głowy.

„Zabiłem ją. Zabiłem ją na niemieckiej autostradzie. Zabiłem ją kilkoma nieodpowiedzialnymi słowami. Zabiłem Agatę, Agnieszkę, żonę, teściową, kto wie kogo jeszcze? Zabiłem je, żeby się samemu przez chwilę lepiej poczuć, żeby zachłysnąć się wolnością, żeby wyrwać się jak mysz

z pułapki systemu. Za jaką cenę, za jaką cenę, za jaką...” – jego myśli przeszły w głośny szloch.

– Czym panu służyć? – spytał stroskany Wietnamczyk.

Inżynier odwrócił się do niego plecami i ruszył przed siebie. Wiedział już, co należy zrobić. Na następnej galerii dowiedział się jak.

Przy betonowej balustradzie stała mała drabinka. Stała jak postument, jak podium dla Budowniczego Falowca, który miał odebrać zań w końcu swą zasłużoną nagrodę. Wspiął się po jej medalowych stopniach i dotknął stopami krawędzi balustrady.

„Nareszcie koniec – pomyślał. – Po to wybudowałem ten dom, aby mieć skąd skoczyć”. Spojrzał w dół i poczuł, jak przyciąga ziemia. „Może tylko po to warto go było budować? Dziesiątki tych, którzy skoczyli przede mną, nie mogą się mylić”. Zawiał wiatr, a on poczuł się wolny, nareszcie prawdziwie wolny, i chciał, aby ta chwila trwała w nieskończoność. I wtedy przestraszył się, że nigdy nie zdecyduje się na ten skok, który jest zarazem jego największą karą i nagrodą, który jest spełnieniem jego życia i wszystkich tych żyć, które zmarnował innym, i zaczął liczyć do dziesięciu. Liczył powoli, z namysłem i z czułością, tak jak liczy człowiek, który nade wszystko ukochał liczby i wierzy, że cały świat można w nich zawrzeć. I wychodziły z jego ust po kolei tak brzemienne w znaczenia i symbole: jedynka, dwójka, trójka, czwórka. Żegnał się z nimi na zawsze jak z wiernymi przyjaciółkami, które przez lata niezmordowanie towarzyszyły jego pracy. Były z nim od dziecka: w przedszkolnych wyliczankach, w szkolnych równaniach, w politechnicznych wzorach. Zapisywał je w zeszytach, na czarnych tablicach, kalce technicznej i stosach papierów, z których pięły się ku górze jego domy. Jego życie było ciągiem liczb. Teraz wypowiadał je po raz ostatni, aż do liczby dziesięć,

która oznaczać miała jego ostateczny koniec. Jeden i zero. Jedność i nicość. Którą z nich jest śmierć?

– Dziewięć – powiedział głośno i wtedy otwarły się wrota.

– Z nieba mi pan spadł – trzęsącym się głosem oznajmiła mała przygarbiona staruszka, ostrożnie przestępując próg swoich drzwi. – Przystawiłam drabinę, ale sama nie dam rady go powiesić.

Zanim zdążył zaprotestować, wcisnęła mu w ręce duży wełniany zwój.

– Co to jest? – zapytał głosem jak zza grobu.

– Niech pan sam zobaczy.

Nie schodząc z drabinki, rozwinął zwój. Z wełnianej tkaniny spojrzali na niego oczy jakby znajome, ale postarzałe, zmęczone, znękanе jakąś chorobą.

– Ten kilim z papieżem wisi nad moim łóżkiem, ale dziś chcę go powiesić na frontonie falowca, *urbi et orbi*, miastu i światu. Wszyscy musimy go godnie pożegnać – oznajmiła staruszka, której twarz teraz też wydała mu się znajoma.

– Pożegnać? On opuszcza nas? – spytał skonsternowany.

– Nie, ma pan rację. Źle powiedziałam. On zostaje z nami na zawsze. Tu są narzędzia. Proszę go dobrze przybić.

Wskazała ręką na metalową skrzynkę schowaną u podnóża drabiny. Inżynier wyjął z niej młotek, gwoździe i z mazołem zaczął przybijać papieża do betonowego lica falowca. Zerkając w dół, zauważył coś, czego nie dostrzegł wcześniej zapatrzonym w siebie, samolubnym okiem samobójcy: na wszystkich piętrach wisały już papieskie portrety, powiewały biało-czerwone flagi z czarnymi tasiemkami, którymi bawił się wiatr. Zrozumiał, że śmierć polskiego papieża uratowała mu życie, ale nie czuł z tego powodu ani krzty wdzięczności.

– Tak będzie dobrze – orzekła staruszka i zaprosiła inżyniera do domu.

Mieszkanie przypominało rozkładem mieszkanie Agaty: mała kuchenka i duży, prześwietlony słońcem pokój. Wypełniały go meble, które inżynier w ciągu ostatnich kilkunastu dni na pewno już gdzieś widział: miodowy segment z czeczotki, bordowe krzesła i ciemnozielone fotele. Wszystkie te sprzęty zmieniły się podobnie jak twarz papieża: postarzały się, pomarszczyły, przygasły. Na honorowym miejscu w meblościance spoczywał wielki grundig, który nawet przybyszowi z odległej przeszłości wydał się starym gratem. Telewizor pełnił funkcję ołtarzyka: w otoczeniu sztucznych kwiatów i oklejonych pobożną kalkomanią świec stał na nim w złotych ramach obrazek z papieżem młodym i uśmiechniętym, takim, jakim inżynier ujrzał go po raz pierwszy w kuchennym oknie falowca.

– Pamiętam pana – powiedziała staruszka. – To panu popsuł się telewizor i przyszedł pan do mnie, żeby zobaczyć przylatującego papieża. Pan jest zawsze tam, gdzie być należy. O, nawet pamiętam, że siedział pan tu, na tym zielonym fotelu.

– Nigdy tu przedtem nie byłem.

– A, bo widzi pan, ja już mam dziewięćdziesiąt lat i miesza mi się miejsca i epoki. To było na starym mieszkaniu, w trzeciej klatce od morza. Zgadza się? Minęło ponad ćwierć wieku, bardzo się oboje postarzelismy, ale ja pana poznałam.

„Niesamowite – pomyślał. – Ona też jest wędrowcem w czasie”.

– Jak to się stało, że jest pani tutaj, nie tam? – zapytał na głos.

– Zamieniłam mieszkanie. Po śmierci męża tamto stało się dla mnie samej za duże, a syn potrzebował pieniędzy na jakiś własny kąt.

– Kiedy to było?

– Kiedy? Nie pamiętam. Pamiętam już tylko daty pielgrzymek papieskich. Cała reszta mi się miesza. Życzy pan sobie kawy?

– Tak, poproszę.

Staruszka wyszła na chwilę do kuchni. „Wyszła to złe słowo” – pomyślał inżynier. Jej płaskie, wyszurane kapcie ani na chwilę nie odrywały się od podłoża. Poruszała się na nich jak ktoś, kto po raz pierwszy założył na nogi narty. Dotarła ruchem ślizgowym do kuchni, a potem powolutku, ostrożnie wróciła na swój fotel, by odpocząć po trudach wstawiania czajnika.

– To mieszkanie jest w sam raz dla mnie i Fafika – wskazała pustą przestrzeń w miodowym segmencie, którego wysoki połysk przygasł razem z końcem systemu. Inżynier dopiero teraz zauważył, że w mieszkaniu poza nimi jest ktoś jeszcze. Między czeczotkowymi szafkami na wełnianej poduszce spał, trzęsąc się – nie wiadomo, czy bardziej z racji rasy czy starości – maleńki siwy ratlerek. Posapywał cichutko i przebierał nogami, jakby starał się dogonić kogoś w swoim śnie, w którym był znowu młodym, pełnym werwy szczeniakiem.

– Fafik ma prawie szesnaście lat. Jest starszy niż ja – oświadczyła z dumą właścicielka.

Dobiegł ich przeciągły gwizd. Staruszka wstała i poszurała z powrotem do kuchni. Zanim tam dotarła, gwizd ucichł. Czajnik, nie mogąc się jej doczekać, sam wypuł knebel. Gospodyni wróciła z chińską tacą z desy, na której parowały dwie szklanki w metalowych koszyczkach.

– To kawa inka – wyjaśniła. – Innej już nie pijam. Ile pan słodzi?

– Trzy kostki wystarczą – zapewnił inżynier, gdy szczypczykami odmierzała mu słodką nagrodę pocieszenia.

– Kiedyś, gdy zabrakło mi cukru, to zjeżdżałam na dół, wsiadałam do autobusu, jechałam dwa przystanki aż na drugi koniec falowca, wjeżdżałam znów na górę i pukałam do moich dawnych sąsiadów. Ale tam już teraz nikogo nie ma. Wszyscy nie żyją, wymarła klatka. Tutaj jeszcze się

trzymamy. W naszej klatce jest piętnaście kobiet po dziewięćdziesiątce, kobiety, widać, bardziej harde.

Staruszka upiła zapadłymi ustami kilka łyków parującej wciąż inki.

– A teraz i on umarł. Tak bardzo chciałam go kiedyś zobaczyć z bliska, dotknąć jego świętej ręki. Wszyscy moi sąsiedzi byli na pielgrzymce w Rzymie, dyplomy z błogosławieństwem przywieźli, w przedpokojach powiesili, a mnie jakoś nigdy się nie składało. Z renty trudno uzbierać. A to na leki potrzeba, a to wnusio ma komunię, a to już rodzi mi się prawnusia i babcia pomóc musi. Teraz do Rzymu nie pojadę. Widzi pan, do kuchni zrobiło mi się tak daleko, że chyba na tamten świat bliżej. Niedługo spotkam go w Domu Ojca. On tam jako święty powinien mieć prywatne audjencje. Zobaczę go wreszcie, rękę z pierścieniem ucałuję, choć On tam, przed zmartwychwstaniem, chyba nie będzie miał ręki, a ja ust to już teraz prawie zupełnie nie mam – staruszka zachichotała cichutko, bezzębnie. – Gorszy to pana, że się śmieję? Cały świat płacze. Wyłączyłam telewizor, bo był mokry od łez. Zaczęło przeciekać. Tylko patrzeć, a zwanie gotowe. A ja wiem, że to tak miało być. Papież sam sobie datę odejścia wybrał. Czy to nie on ustanowił Niedzielę Miłosierdzia i sobotę fatimską? Wczorajszego wieczoru spotkały się te dwa święta i otwarło się niebo. Sam Pan Jezus i Maryja zstąpili, żeby odprowadzić go pod rękę po marmurowych schodach aż do bramy Piotrowej. Wszystko jest zapisane. Każdy włos na głowie policzony. I w tej pana białej brodzie też.

Inżynier machinalnie dotknął podbródka. Zakłuła go ostra, obca szczecina.

– Mój syn dzwonił do mnie rano. Wybiera się na pogrzeb do Rzymu. Martwię się o niego, bo już niemłody, po zawałach, a tam będą miliony. Pan też jedzie?

– Nie, raczej nie. Nie dadzą mi paszportu.

– Paszport niepotrzebny.

– Do Rzymu nie potrzeba paszportu? Ani wizy? – zdziwił się inżynier. – Ale i tak nie miałbym za co jechać. Zarabiam dwadzieścia dolarów miesięcznie. W przeliczeniu.

– Dwadzieścia dolarów? To jakieś sześćdziesiąt złotych, dobrze liczę? I pan z tego żyje?

– Tam, gdzie mieszkam, kurs dolara jest zawrotnie wysoki. Jakoś więc wiąże koniec z końcem.

– Chyba że tak. Tak przecież kiedyś się żyło. A u nas bardzo ciężko. Nawet za komuny było lepiej. Leki były tanie, miałam ich pełne szuflady. A teraz kupuję każdą tabletkę z osobna, odmierzam złotówki trzęsącą się ręką. Moje sąsiadki tak samo. Bieda w falowcu aż piszczyci i beznadzieja go spowija. Jedni jedzą mięso z biedronki, inni piją na umór, a każdy klnie, na czym falowiec stoi.

„Mięso z biedronki to brzmi gorzej niż biblijna szarańcza” – pomyślał ze zgrozą inżynier.

– A to wszystko przez Kaszpirowskiego.

– Przez kogo?

– Przez Kaszpirowskiego. Nie pamięta go pan?

– Nie.

– A ja mam dziewięćdziesiąt lat i jeszcze pamiętam – kobieta z satysfakcją uniosła do góry łyżeczkę. – On zahipnotyzował całą Polskę. Pojawił się w telewizji zaraz po tym, jak odzyskaliśmy wolność. I zaczął liczyć: *adin, dwa, tri*. Aż do dziesięciu liczył. A my się w niego wpatrywaliśmy jak w Mesjasza. Cały naród się wpatrywał. Ja też. Żadnego seansu nie opuściłam. A on siedział w telewizorze, w każdym z polskich telewizorów, i liczył: *adin, dwa, tri*. I tak nas zahipnotyzował, że sami teraz nic nie potrafimy, na obcych się oglądamy, czekamy, aż nas uzdrowią, aż

nam podpowiedzą: *adin, dwa, tri. Łan tu fri. En dy trła*. Może śmierć papieża nas z tego letargu wybudzi.

Na dźwięk rosyjskich liczb Fafik za każdym razem strzygł uszami. W końcu otworzył leniwie oczy i ziewnął.

– Fafik też Kaszpirowskiego oglądał, prawda? – staruszka zwróciła się tym razem bezpośrednio do psa. Ten otworzył pysk, by jej coś odszczeknąć, ale zakrztusił się pierwszym dźwiękiem i smutno zwiesił głowę.

– Chcesz na spacer?

Pies pokręcił ogonem na tak. Z wielkim wysiłkiem uniósł przednie łapy i zsunął się z legowiska na podłogę. Z podobnym trudem wstała z krzesła jego pani.

– Pójdzie pan z nami na spacer? – spytała, otwierając drzwi balkonowe.

Gdy dostrzegła niepewny, spłoszony wzrok mężczyzny, wyjaśniła:

– My już tylko na balkon chodzimy spacerować. Ale to dalekie spacer, bo stąd widać wszystko, nawet Hel. A czasem całą Polskę widać, tak jak teraz.

Inżynier rozejrzał się po Przymorzu. Była wczesna wiosna i ze wszystkich balkonów, ze wszystkich okien wyrastały białe-czerwone chorągiewki i flagi – wszystkie przewiązane kirem. W każdej szybie odbijał się obraz polskiego papieża.

– Taka jest teraz Polska. Przewiązana jednym kirem, zjednoczona w bólu i dumie, zapłakana i przez łzy uśmiechnięta. Cud się stał dzisiejszej nocy, cud jak w Betlejem. Prostaczowie trzeźwieją, ateści się nawracają, wrogowie godzą. Cud się stał w dalekim Rzymie. Cud śmierci, cud życia.

– Cud śmierci, cud życia – powtórzył inżynier, myśląc o przystawionej do balustrady drabince.

– Sądzi pan, że to długo potrwa? Jak dobrze byłoby teraz umrzeć. W takiej podniosłej chwili dusza sama się do nieba rwie. Ale nikt nas tam

na razie nie woła, nikt nas tam nie potrzebuje, prawda, Faficzku?

Ratlerek dopiero teraz dowlókł się na balkon. „Niedowład tylnych kończyn” – pomyślał ze smutkiem inżynier i zapatrzył się w daleki horyzont. Po chwili poczuł, że piesek ociera się o jego nogi. Gdy spojrzał w dół, dostrzegł tylko jego bezgłowy, trzęsący się tułów.

– Fafik też ma prawo świat oglądać – odezwała się jego pani. – Ten, co ten falowiec budował, nie pomyślał o nim. Nie pomyślał ani przez chwilę o mojej małej psiuni, więc ja sama musiałam o niej pomyśleć. Wzięłam łyżeczkę od cukru i tą łyżeczką dzień w dzień grzebałam w betonie, aż zrobiłam w nim dziurę, akurat na głowę Fafika. I co tam ciekawego, piesku, zobaczyłeś?

Fafik wysunął łeb z dziury i zaskamlał cichutko.

– Fafik to bardzo mądry pies. Jak jeszcze umiał szczekać, to szczekał, ale tylko na złych ludzi. I na falowiec szczekał, jakby co złego w nim było. A wie pan, że jak Prymas Tysiąclecia do nas kiedyś przybył, to tylko spojrzał na nasz blok, głową pokręcił i odjechał. Nawet wodą święconą nie pobłogosławił. A potem napisał, że to długie gmaszysko przypomina mu skręt kiszek. To był święty człowiek, więc miał świętą rację. A pan wie przecież, co się w kiszki mieści? To tu mieszkali straszni bracia bliźniacy. Ci, co siali terror na całym Przymorzu, a potem św. Wojciecha z Gniezna uprowadzili. W srebrnym sarkofagu. Pocięli go na kawałki, jak ci pruscy poganie przed tysiącem lat: ręka, głowa, noga osobno. Srebro w donicach przetopili, Boga się nie bali. A Fafik na nich szczekał, prawda?

Pies potrząsnął głową, jakby nękały go pchły.

– To nie byłeś ty? A może to była Sara? Wszystko mi się miesza, czasy mi się mieszają. Już nawet nie pamiętam, skąd pana znam. Ale pan dobry jest, prawda, Fafiku?

Fafik obwęchał nogawki inżyniera, odsunął się i kaszląc, zaczął się krztusić.

– Choruje mój piesek. Boję się, że to on mnie pierwszy opuści. Chodźmy do kuchni, naleję mu mleczka, a panu gorącej herbaty.

Wyruszyli w drogę: pełzający ratlerek, szurająca staruszka i inżynier, który z trudem dotrzymywał im kroku. U końca ich wędrówki była czterometrowa kuchenka z oknem na galerię. Na parapecie wśród innych zużytych i niepotrzebnych przedmiotów stał stary srebrzysty budzik, na którego zszarzałym cyferblacie dawno zatrzymał się czas.

– Pomoże mi pan rozłożyć stolik? – spytała gospodyni i trzęsącymi się rękoma zapaliła zapalkę.

– Tak, chętnie, mam w kuchni taki sam.

Rozłożył wmontowany w ścianę mały, jednonogi stoliczek, zanim jeszcze gospodyni zdążyła zapalić gaz pod pogiętym, okopconym, aluminiowym czajnikiem z gwizdkiem.

– I niech pan położy na nim ceratę – komenderowała dalej staruszka.

Cerata też była taka sama jak u niego, w biało-czerwoną kratę. I puszka, z której nabrała do szklanek herbacianych liści, była identyczna jak ta, która stała dzisiaj rano na kuchennej szafce w jego odległej przeszłości. Czarno-czerwono-niebieska puszka z napisem „Herbata Jubileuszowa”, najcenniejsza z jego zeszłorocznych przedświątecznych zdobyczy.

– Puszka jest stara – powiedziała zagubiona w czasie kobieta. – Ale herbata świeżo kupiona. Yunnan, moja ulubiona. Nie wiem, czy to ja się zmieniłam, czy ona, ale nie smakuje mi już tak jak kiedyś.

Nalała mleka z emaliowanego rondelka do blaszanej miski i oboje usiedli na dwóch kulawych taboretach, takich samych jak ten, na którym inżynier siedział dziś rano w swojej własnej kuchni.

– Dostałam niedawno list z zagranicy – zagaiła gospodyni, podsuwając mu talerzyk z jego ulubionymi herbatnikami z „Jutrzenki”. – Jakaś niby pani socjolog z Niemiec skarżyła się, że dwa razy nie dostała stypendium i musi robić wywiady drogą korespondencyjną. Do każdego mieszkania taki list przyszedł. Z sąsiadkami rozmawiałam, wszystkie go zaraz do zsypu wyrzuciły, bo teraz dużo takich dziwnych listów przychodzi, każdy chce stare kobiety oszukać. A ten list był bardzo dziwny, bo niby po polsku napisany, ale nie całkiem. I wiele w nim było pytań: jak nam się żyło kiedyś, za komuny, i teraz jak nam się żyje, i jak mamy urządzone mieszkania, i ile mamy dochodu na głowę. Takie pytania to chyba tylko złodziej mógł wymyślić. Powinniśmy to zgłosić na policję, jak pan sądzi?

Oczy inżyniera błyszcząły.

– Czy może mi pani pokazać ten list?

– Nie, gdzieś mi się zapodział. Już rano szukałam i nie mogłam znaleźć. Taka jest starość.

– Wie pani, skąd był ten list, może z Bremy?

– Nie wiem, nie pamiętam.

– A może pamięta pani nazwisko tej niemieckiej socjolog?

– Nie, nie pamiętam. Ale imię miała chyba na A.

– Agata?

– Może Agata, może Angela, nie pamiętam.

– Niech sobie pani przypomni, błagam...

– Pamiętam... Pamiętam tylko, jak pan siedział na tym zielonym fotelu, z nieba zlatywał papier, a u sąsiadów telewizory wybuchały jak petardy. Tylko tyle pamiętam. Nic sobie więcej nie przypomnę. To pamięć rządzi nami, nie my pamięcią.

Inżynier poczuł, że byłby gotów roztrzaskać staruszce czaszkę, byle tylko wyjąć stamtąd ten list.

– Czemu pan się tak patrzy, jakby chciał mnie zabić?

Fafik podniósł się na przednich łapach, wyszczerzył resztki uzębienia i zaszczeakał w sufit głosem rozsierzonego ratlerka. Mężczyzna wstał, przewracając rozklekotany stołek.

– Nie zabiłem jej. Nie zabiłem Agaty. Wierzy mi pani? Nie przyznano jej stypendium i nie może tu przyjechać. Jeśli znajdzie pani list, proszę jej odpisać. To dla niej bardzo ważne. I niech pani napisze w *post scriptum*, że ojciec wciąż o niej pamięta. I że ją bardzo... Nie, niech pani tylko napisze, że pamięta. Ona nie lubi wielkich słów.

Wyszedł na galerię i ruszył przed siebie. Wiosenny chłód studził jego rozpaloną głowę. „Nie zrobili tego. Nie skrzywdzili moich córek. Nie byli aż tak źli, czy może tylko nie byli dość silni? Jeśli szatan cofa się przed zbrodnią, dlaczego to robi?” Zanim zdążył znaleźć odpowiedź, sam musiał cofnąć się o dwa kroki. Drogę tarasował mu naćpany Irokez.

– Pokonałem ich.

– Kogo? – spytał półprzytomnie inżynier.

– Prusaków. Nie ma już ich. Dokonali odwrotu. Falowiec jest wolny od ich czarnych ruchliwych oddziałów. Ale oblężenie się nie skończyło. Zamiast nich przyszły one.

Narkoman przytknął brudny palec do popękanej ściany bloku. Z jednej ze szpar w stronę kuchennego okna podążał równym krokiem batalion małych czerwonych mrówek. Jedna za drugą szły na podbój nowej przestrzeni życiowej, owej wyśnionej krainy przypalonym mlekiem i sztucznym miodem płynącej.

– To mrówki faraona? – inżynier przyglądał się im z zaciekawieniem.

– Nie, to mrówki pierwszego sekretarza. Nie widzisz, jakie czerwone? Oblazły wszystkie bloki, całą Polskę zajęły, opanowały nasze mrówkowce.

To dla nich je wznieśliśmy – narkoman uniósł palec w niebo i zawiesił się na chwilę.

– Nigdy nie widziałem takich małych mrówek – inżynier wpatrywał się w nie pochylony.

– Im większy blok, tym mniejsze mrówki. I tym bardziej niebezpieczne. Wejdą nam przez uszy, wedrą się do mózgu, zajmą jego wzgórki i sploty. Będziemy myśleć na czerwono, tak jak chcą oni. I żaden polski papież nam nie pomoże. Bo już go nie ma. Widziałeś, jak odlatywał? Też bym tak chciał odlecieć.

Narkoman znów zawiesił się z palcem wzniesionym w górę. Kiwał się lekko na wietrze w przód i w tył. Inżynier porzucił obserwację mrówek i ruszył dalej. Pragnął wrócić do siebie jak najprędzej, ale los chciał inaczej.

– Panie Mietku, co pan robi?!

Sąsiad stał na drabince głęboko przechylony przez betonową balustradę. Inżynier rozpoznał go po stoczniowych, malarskich spodniach w kolorze radzieckich drobnicowców i norweskich trawlerów.

– Może nie jest aż tak źle, jak się panu wydaje? Niech pan tego nie robi, proszę...

Wygięte w łuk ciało uniosło się. Pan Mietek spojrzał na inżyniera z góry, potrząsając przerzedzoną czupryną. W ręku miał swoją ukochaną praktykę.

– Dlaczego mam tego nie robić? Pierwszy raz widzę tak niezwykle zachód słońca. Zrobiłem już pół rolki. No niech pan sam spojrzy. Wygląda jak Krzyż Południa.

Inżynier, skonsternowany, wbił wzrok w miejsce, które wskazał mu sąsiad. Hen, daleko, na drugim końcu falowca w gęstniejącym mroku połyskiwały okna. Nie wszystkie jednak, tylko te wybrane. Bijące z nich światło tworzyło wielki krzyż.

„To klatka, z której właśnie wracam. Tam umarł papież. Ludzie ułożyli dla niego krzyż z własnych okien” – pomyślał w zadumie inżynier.

– To prawdziwy cud – wyszeptał pan Mietek. – Znak z nieba. Komuniści tak długo nie chcieli się zgodzić, byśmy mieli kościół na Przymorzu, a teraz mamy i kościół, i krzyż na naszym falowcu. Może kiedyś doczekamy słowiańskiego papieża... Wstąpi do mnie sąsiad na chwilę? Zdobyłem dziś kawę. Prawdziwą.

Inżynier skinął głową. Po raz pierwszy przestępował progi najbliższego sąsiada, do tej pory zaglądał do niego tylko przez dziury wywiercone nadgorliwą wiertarką. Mieszkanie pana Mietka było bardzo skromne. W jedynym pokoju stały dwa drewniane krzesła z okrągłym oparciem, nakryty ceratą stół i stara wersalka otulona kraciastym, wełnianym kocem. Na rozkraczonym kredensie telewizor marki Belweder drzemał starczo, rozpamiętując pierwsze *Kabarety Starszych Panów* i kabaretowe numery towarzysza Wiesława. Jedyną ozdobą pokoju były oprawione w ramki dyplomy, które z każdej ze ścian chóralnie głosiły chwałę talentu pana Mietka.

– Mam jeszcze jeden dyplom, całkiem świeży – pochwalił się sam gospodarz, widząc, jak inżynier wodzi wzrokiem po zapełnionych papierowymi trofeami ścianach. – Z samych Piekar Śląskich. Przyjęli moje zdjęcie na wystawę, dyplom uczestnictwa mi przysłali. Nie zdążyłem go powiesić. Późno wracam i nie chcę wieczorami budzić ludzi. Przywiercę w niedzielę rano.

Pan Mietek zamiast obiecanej kawy postawił na ceracie butelkę czystej wyborowej i dwa złożone po brzegach kieliszki.

– To lepsze przed snem – zawyrokował i rozlał do kieliszków robotniczy nektar. – Skromnie tu u mnie, prawda? Miało być inaczej. Wziąłem kredyt, zadłużyłem się u krewnych i kupiłem sobie meble ze

Swarzędza. Piękny segment na wysoki połysk. I jeszcze wersalkę elegancką jak z Wersalu. To było zaraz po tym, jak się tu wszyscy zaczęliśmy sprowadzać. Nikt nikogo nie znał i ruch był duży, a ja pracowałem na dwie zmiany i nigdy mnie nie było.

Inżynier sącył milczkiem czterdziestoprocentowy nektar z ziemniaka.

– No i któregoś dnia odwiedziło mnie paru gości z wytrychem. Sąsiedzi wnosili właśnie swoje meble, a oni, korzystając z okazji, zaczęli w tym rozgardiaszu wynosić moje. Że niby się przeprowadzają do mniejszego bloku, bo tu za bardzo wieje. I poprosili jeszcze wszystkich sąsiadów, żeby pomogli im znieść te moje meble do windy na dziewiąte piętro. I sąsiedzi im pomagali, tak z dobrego serca.

Inżynier przypomniiał sobie pewien słoneczny dzień, kiedy razem z nieznajomym znosił po schodach nowy, pachnący fabryką regał.

– Kredyt trzeba było spłacić, rodzinie pieniądze oddać i tak już zostało. Te graty od rodziców ze wsi przywiozłem.

Gospodarz napełnił kieliszki po raz wtóry.

– Może wypijemy brudzia? – zaproponował inżynier.

– Mietek jestem. Ale do ciebie, jeśli pozwolisz, będę mówić: inżynierze. Mnie, prostemu robociarzowi, do takich jak ty po imieniu zwracać się nie godzi.

Przepili do siebie. Po chwili kieliszki znów były pełne.

– Wiesz, jakie zdjęcie przyjęli mi w Piekarach?

– Pewnie jakąś grubą rurę?

– Nie. Ja już teraz fotografuję co innego. Coś najpiękniejszego w świecie. Nasz falowiec.

Mietek wspiął się na drewniane krzesło i wyciągnął z pawlacza dużą czarną tubę. Zaczął wyłuskiwać z niej błyszczące, czarno-białe fotografie w wystawowych formatach. Układał je obok siebie na parkiecie, wygięte ku

górze, żadne ludzkiego podziwu. Rytm okien, niekończące się linie balustrad, abstrakcyjne zakola, czysta geometria bloku objawiała na tych zdjęciach swoje przykryte codziennością piękno.

– Wypijmy za twoje dzieło, inżynierze!

– Wypijmy za twoje dzieło, Mietku!

Mietek długo opowiadał o swoich przygodach z aparatem, o samotnych wyprawach na szczyt falowca, o leżeniu na dachu w pozie amerykańskiego snajpera, o niebezpiecznych figurach na balkonie, o migawkach, przysłonach, kolorowych filtrach i różnych długościach ogniskowych. Z każdym kieliszkiem mówił o tym wszystkim mniej wyraźnie. Z każdym kieliszkiem mniej wyraźnie słyszał to wszystko inżynier. W jego głowie zaczęły obracać się kolorowe filtry. Falowiec rozłożony na części na dębowym parkiecie falował coraz mocniej. Inżynier podniósł kieliszek z takim trudem, jakby był to średniowieczny złoty kielich, i zaintonował pieśń swojego dzieciństwa.

– Budujemy nowy dom, jeszcze jeden nowy dom...

Gdyby budował go tak, jak śpiewał, dom runąłby natychmiast. Melodia od początku nie trzymała pionu. Ciężkie jak cegły nuty spadały bezwładnie z rusztowania pięciolinii. Razem z nimi opadła w końcu na ceratę głowa inżyniera.

– Inżynierze, za dużo wypiliśmy. Idziemy spać – usłyszał, ocknąwszy się po chwili.

Przez ciemną galerię szły dwa kołyszące się cienie. Jeden wspierał się na drugim, pociągając go za sobą na twardą, betonową posadzkę. Cienie podnosiły się z trudem i znów robiły kilka chwiejnych kroków połączone w pijacko-braterskim uścisku. Kolejny upadek i... tu urwał się film w wysłużonej zębatce praktyki.

KLATKA C

Dzwony kołysały się pod sklepieniem jego czaszki. Raz po raz któryś uderzał go boleśnie w skronie. Inżynier próbował opędzić się od nich ręką, ale dzwony były coraz bardziej natarczywe. „Dwunasta” – pomyślał i otworzył raptownie oczy. Leżał na własnym łóżku z popękaną od bólu głową.

Coś mocno uwierało go w bok. Dotknął biodra i wyczuł pod nim ostre krawędzie książki. Zrozumiał, że położył się (a może położono go?) spać w ortalionowym płaszczu. Wyjął książkę z kieszeni i zaczął ją wertować. Nagle pewien szczegół przykuł jego uwagę. Wrócił do strony tytułowej, potem spojrzął na stopkę. Wszędzie widniała ta sama data wydania: 1975 rok. „1975 rok – powtórzył. – Jakim więc cudem *Bromba* znalazła się w dzieciennym pokoju zamkniętym na klucz od połowy roku 1974?” Może to Pciuch, wędrowiec w czasie i dostarczyciel listów na wczoraj, przyniósł ją w swojej torbie wprost do rąk Agaty? Inżynier podniósł się z łóżka, by czym prędzej ugasić wodą palące go pragnienie. Pił łąpczywie prosto z kranu, wpatrując się kątem oka w swoją opuchniętą, nieogoloną twarz. Gdy przechodził przez przedpokój, machinalnie zerwał kartkę z kalendarza. Był wtorek, 1 lipca 1975 roku. Coś mówiła mu ta data. Mówiła? Nie, krzyczała: „Koniec urlopu!”. Od kilku godzin powinien być już w biurze. Tu nie pomoże żaden Pciuch. Polecą mu po premii, straci nienaganną opinię. Nogi ugięły się pod nim, opadł ciężko na fotel. „Co robić?” Szczerze mówiąc, nie bardzo miał ochotę wracać do pracy. Podróże w przyszłość zaczął traktować jako swoją nową pracę, stokroć ważniejszą

od innych pracę nad samym sobą i nad własnym potłuczonym życiem. „Może dzisiaj uda mi się natrafić na jakiś ślad Agaty? Gdybym tylko mógł zdobyć jej adres, nawiązać kontakt z Bremą... Wszystko byłoby inaczej”.

Podniósł się i pomaszerował z powrotem do łazienki. Napełnił wodą z kranu wysuszone koryto gardła i starannie ogolił twarz. Znów zobaczył w lustrze krzepkiego trzydziestopięciolatka. Wziął prysznic, zmienił koszulę, skropił się przemyśławką, zjadł śniadanie, wypił inkę, wypalił trzy caro. Był gotów do drogi.

Zatrzymał się dopiero w grudniowej klatce stanu wojennego. Postawił ortalionowy kołnierz, mocniej naciągnął poły płaszcza i nacisnął dzwonek. Odpowiedziała mu głucha cisza. „Wyjechał do Bremy” – pomyślał zawiedziony. Poczuł, jak wraca tępy ból głowy. Wtem w drzwiach galerii ukazała się znajoma sylwetka prywaciarza. Dźwigał na plecach wielki świerkowy drapak.

– O, witam, witam. Nie zimno tak panu w ortalionie? – spytał przybysz w tureckim kożuszk. – Dzisiaj tęgi mróz. Proszę zobaczyć, jaką piękną choinę udało mi się zdobyć. Robimy jutro wigilię z Basią. Pierwszy raz sami, nie u mamusi. Generał tak zarządził. A może to i dobrze.

– Nie jedzie pan do Bremy?

– Do Bremen? – mężczyzna machnął ręką. – Granice zamknięte na głucho, myś się nie przecisnie. Zresztą, kto by w takie mrozy chciał uciekać? Nawet „Solidarność” chyba zamarzła, bo przestała się ruszać. Mrozy i zimna wojna. Tylko z pierwszej gwiazdki zostało nam się cieszyć. *À propos*, nie wie pan, gdzie można upolować karpia?

– W klatce B pod numerem 103. Gospodarz ma staw rybny w wannie.

– Bardzo panu dziękuję. Wrzucę choinkę na balkon i zaraz tam biegnę. Wesołych świąt, sąsiedzie.

– Wesołych świąt – powtórzył inżynier i ruszył dalej niekończącymi się galeriami falowca, aż dotarł do kawalerki Agaty. „Nie ma sensu pukać” – pomyślał. Przez kuchenny lufcik z mieszkania wydobywał się zapach kurczaka smażonego w orientalnych przyprawach. To nie mógł być obiad jego córki. Inżynier ruszył dalej. Na następnej klatce w każdym oknie tkwił portret polskiego papieża. Uśmiechniętego, zboląłego, z otwartymi ramionami lub z wielkim krzyżem, na którym ciało Chrystusa rozpostarte było jak sztandar. Inżynier zadzwonił do mieszkania swojej wczorajszej wybawicielki. Odpowiedzią było ciche popiskiwanie ratlerka. Nacisnął dzwonek jeszcze raz, drugi, trzeci. Wreszcie otwarły się drzwi obok. Stała w nich malutka zasuszona staruszka.

– Pani Zofii nie ma. Zabrała ją wczoraj wieczorem karetka. Jakiś zbir był u niej i chciał ją zabić. Papież umarł, a ludzie dalej tacy źli.

– Co jej się stało? – inżynier przełknął ślinę w wysuszonym gardle.

– Przestraszyła się i ciśnienie jej skoczyło. Jest w szpitalu. Ja się jej pieskiem opiekuję. Czy coś przekazać synowi? Miał jechać do Rzymu, ale już nie pojedzie...

– Nie, nie trzeba – odetchnął z ulgą. – Ja chciałem tylko spytać o list z zagranicy. Przyszła do państwa ostatnio ankietka od pewnej socjolog z Bremy. Pamięta pani?

– Nie, ja tam nic nie pamiętam.

W tym momencie otwarły się następne drzwi i stała w nich kolejna zasuszona staruszka.

– Łucjo, a może ty słyszałaś o jakimś piśmie z Bremy? Dostałaś coś takiego?

– Ja to już tylko pisma z ZUS-u dostaję – westchnęła nostalgicznie koleżanka.

Obie dziewięćdziesięciolatki zamknęły wolniutko drzwi. Czy kazała im milczeć wierna towarzyszka starości – nieufność, czy palec na ustach trzymał pan Alzheimer – trudno było inżynierowi zgadnąć. Pozostawało mu już tylko rzucić się w głąb zsypu za podartymi skrawkami listu własnej córki. Zwiesił smutno głowę. Nadal ciążyła mu po wczorajszej libacji. Wychylił ją przez barierkę, zapatrzył się w szare morze. Tak rzadko na nie spoglądał, zawsze nad jego widok przedkładał panoramę szarych bloków. Ale teraz bloki nie były już szare. O, na przykład ten naprzeciw jego okien był soczyście pomarańczowy. Bardziej pomarańczowy niż falowiec. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że nigdy wcześniej nie widział tego wysokiego, siedemnastopiętrowego budynku z zabawnymi, wystającymi jak plastikowe klocki loggiami. Stąd nie było go dobrze widać, częściowo przesłaniało go zakole falowca. „Z następnej klatki zobaczę go lepiej” – pomyślał i podreptał na sąsiednią galerię. Gdy przekroczył jej próg, poczuł się jeszcze gorzej. Do bólu głowy dołączył ból serca i lekki ucisk w piersiach. Nogi wlokły się za nim gdzieś daleko w tyle. „Starzeję się” – pomyślał i wychylił się znów przez barierkę. Tym razem zamiast jednego pomarańczowego bloku zobaczył trzy. „Troi mi się w oczach” – uśmiechnął się do swojego kaca, zanim odkrył, że za pomarańczowymi blokami czają się jeszcze inne, białe. Powiódł wzrokiem po całej ulicy. Zmieniła się nie do poznania. Jeszcze w poprzedniej klatce była tu wąska, zaniedbana jezdnia z wyboistym asfaltem, którego dziury pamiętały koła syren i czerwonych ogórków. Dzisiejszy asfalt pachniał nowością, a po jego nieskazitelnej powierzchni sunęły eleganckie zachodnie samochody.

Po drugiej stronie ulicy, tam gdzie w latach siedemdziesiątych znajdowała się wielka polowa fabryka mieszkań, a potem zarosły ją trawy, chwasty i ludzka niepamięć, teraz wykarczowano krzaki i ogrodzono teren pod nową budowę. Na samym końcu zaś, tuż przy linii tramwajowej, tam

gdzie od zawsze rósł dziki park z rzadkimi gatunkami drzew, wyrósł teraz wielki, przysadzisty budynek z neonowym napisem: „Galeria Przymorze”.

„Nareszcie – westchnął inżynier. – Trafiłem w szczęśliwe czasy”. Przypomniawszy sobie, jak od początku planowano w tym miejscu wzniesienie wielkiego osiedlowego domu kultury. „Tyle lat trzeba było czekać. Widać – ta nowa Polska bardziej przyjazna jest dla kultury niż ten mój pełen hipokryzji i pustych haseł PRL. Żeby taką wielką galerię sztuki postawić w środku blokowiska! No, no”. Z rosnącym podziwem patrzył też z oddali na tłumy odwiedzających, którzy szturmowali ten nowoczesny przybytek sztuki. Takich tłumów nie widział nawet w warszawskiej Zachęcie, a cóż dopiero w robotniczym Gdańsku. Co ciekawe, ci niezwykle kulturalni ludzie wychodzili z budynku nie tylko z bagażem przeżyć estetycznych, ale i z wielkimi plastikowymi torbami reklamowymi, takimi jakie przywiózł kiedyś z Zurychu jako pamiątki dla rodziny i znajomych. Wielu z opuszczających galerię niosło też obrazy w różnych formatach, wszystkie zapakowane w płaskie kartonowe pudełka. Niektórzy ładowali swoje skarby do eleganckich zachodnich samochodów, inni podążali z nimi w stronę falowca. Inżynier zapatrzył się w dwie kobiety z wielkimi, wypchanymi torbami w rękach. Gdy zbliżyły się do bloku, rzucił się na nie przyczajony pod falowcem wiatr. Kobiety wyglądały teraz jak ptaki, rozczapierzonymi siatami pokonujące powietrzne wiry. Inżynier nie zdążył zobaczyć, czy zmiotły je kolejne poddmuchy, czy udało im się szczęśliwie powrócić do gniazda. Przez drzwi klatki wtoczył się hałaśliwie łysy pięćdziesięciolatek z nalaną czerwoną twarzą. Ubrany w luźny dres, pod pachami dźwigał dwa duże obrazy w kartonowych pudełkach.

– Podoba się panu, no nie? Ameryka – zagaił przybysz. – A za chwilę, kurna, będzie tu jeszcze bardziej po amerykańsku. Big Boya mają nam postawić. Nie słyszał pan? O tam, gdzie te pomarańczowe bloczki.

Dwieście dwa metry będzie miał skurczybyk. Pięćdziesiąt jeden pięter – najwyższy budynek nad Bałtykiem. Na naszej ulicy wszystko jest „naj”: najdłuższy i najwyższy. Ameryka, nie mówiłem? Niech pan zajdzie do mnie, przecież widzę, że pana męczy kac. Swój swojego od razu pozna.

Facet w dresie postawił obrazy na posadzce i otworzył pancerne drzwi. Inżynier przestąpił próg i poczuł, jakby trafiła go fala uderzeniowa stężonego w powietrzu alkoholu. Mieszkanie było dwupokojowe, zaniedbane, ale gospodarz oprowadzał go po nim z dumą kolekcjonera dzieł sztuki. We wszystkich pomieszczeniach na brudnych, odrapanych ścianach wisiały tajemnicze czarne ekrany.

– Tutaj nad zlewem mam małego filipsiaka. *Kuchenne rewolucje* w nim oglądam. Czasem muszę się uchylić, jak garnki z ekranu lecą. Zamiast lustra w łazience powiesiłem małego samsunga. Jak się gołę, to patrzę wprost w oczy tej pani z telewizji śniadaniowej. I ona mi mówi: „Jest dobrze”. W sypialni zainstalowałem dużego thompsona. Kiedyś oglądałem w nim same strzelanki, aż mi kobieta uciekła. Teraz, kurna, muszę oglądać niemieckie pornole. No i wreszcie salon – tu są same soniaki. Na cztery strony świata.

Inżynier ze zdumieniem rozglądał się po dużym pokoju. Tandetna tapeta złaziła ze ścian, na stojącej pośrodku czerwonej kanapie kotłowała się brudna pościel, pod kaloryferem stało parę opróżnionych butelek. Podłoga usłana była kolorowymi gazetkami ze zdjęciami luksusowych, zachodnich produktów. Wielką czcionką krzyczały w nich ceny, na które nawet jego byłoby stać. W jednej z gazetek bił po oczach ogromny napis: „Otwarcie Galerii Przymorze – 20 marca 2009 roku”. W tej pijackiej melinie inżynier ujrzał też coś, czego nie oglądał do tej pory nawet na filmach z gatunku *science fiction*: na każdej ze ścian wisiał wielki, absolutnie płaski telewizor przyszłości.

– Na co panu tyle ekranów? – zapytał zdumiony.

– To chyba jasne, kurna, że na Ligę Mistrzów. Wszystkie mecze na raz oglądam. A te – wskazał na stojące w przedpokoju kartonowe pudła – wziąłem, bo dawali za pół darmo. Promocja na otwarcie. Pan żadnego nie kupił? Co, za dużo pan ma? Telewizor zawsze się przyda. Mnie, dla przykładu, sporo ich rocznie wychodzi. Bo, jak się człowiek, kurna, mocno zdenerwuje, to czymś z balkonu pieprznąć trzeba, co nie?

– Pan wyrzuca telewizory z dziesiątego piętra?

– A co mam robić, jak sędzia kalosz? Albo jak nasi samobója strzelą? Kibic musi czymś cisnąć. Kiedyś to się puste butelki zrzucało, bo telewizory były na talony. A teraz co i rusz któryś z sąsiadów swój stary odbiornik spuszcza. Jak spadają, to jeszcze się w nich życie tli. Sam widziałem, jak sędzia przebierał w powietrzu nogami, a potem zamiast po murawie Camp Nou dryblował zdziwiony po naszym popękanym chodniku.

– A jeśli telewizor spadnie jakiemuś przechodniowi na głowę?

– No to ma denat pecha. Dla mnie problemu nie ma, prokurator takie sprawy umarza. Nikt mu przecież nie powie, z którego piętra leciało. Nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał, a sam nie znajdzie. Tu jest dżungla i prawo prerii, szanowny panie.

Inżynier chciał mu coś odpowiedzieć, ale łysol go ubiegł.

– Niech pan nic nie mówi, przecież sam widzę. Czego się pan szanowny napije?

– Szklankę wody poproszę, jeśli można.

Facet w dresie wyszedł do kuchni i zamiast szklanki wody przytaszczył stamtąd całą skrzynkę piwa.

– To miał pan na myśli? Waldek jestem – dodał, otwierając zębami kolejne butelki.

Inżynier skinął tylko głową i zaczął łapczywie wlewać w siebie spieniony, brunatny płyn z zielonej, zagranicznej butelki. Waldek wielkopańskim gestem zrzucił na podłogę skotłowaną pościel i zaprosił gościa na kanapę.

– Z falowca jesteś?

– Uhum – odpowiedział inżynier między jedną a drugą butelką.

– A co robisz? To znaczy, co robiłeś przed emeryturą?

– Projektowałem domy.

– Ten nasz to jest zajebisty, co nie? Chciałbym kiedyś poznać tego, co to go wymyślił. Pełen szacun. Gdyby nie te góry, to pewnie pociągnąłby go aż do Kościerzyny. Kolei Metropolitalnej nie musieliby budować. Wyobrażasz sobie, inżynierku? Chodzilibyśmy na Kaszuby w kapciach. Szkoda, że to wszystko trzeba będzie niedługo zburzyć.

– Zburzyć? Co takiego? – zapytał inżynier, sięgając do skrzynki po trzecią butelkę.

– Nie słyszałeś? Falowiec trzeba będzie zburzyć. To przecież prowizorka. Zaplanowano go na pięćdziesiąt lat, a już prawie czterdzieści stoi.

– To nieprawda, nigdy nie było takich planów.

– W spółdzielni też tak samo mówią. To dlaczego wstrzymali wykup mieszkań? Ludzie wiedzą lepiej, kto może, to się stąd wynosi. Niedługo to wszystko złoży się jak talia kart. Albo runie jak te amerykańskie bliźniaki... Czego się mażesz, inżynierku?

– Zmarnowałem życie.

– Nie ty jeden.

Inżynier spojrzał na Waldka załzawionymi od piwa oczami. Czuł, że potrzebuje spowiedzi generalnej, nawet jeśli rozgrzeszenie ma mu dać ten

oto prymitywny opój w brudnym, powyciąganym dresie. Waldek okazał się doświadczonym spowiednikiem.

– Rzuciła cię kobieta? – spytał. – Mnie też. I jakoś żyję.

– Zaniedbałem rodzinę.

– Nie ty pierwszy.

– Donosiłem na kolegów.

– Ja też. I co z tego?

– Jak to: „co z tego”?

– Pokazać ci?

Dresiarz wyszedł na chwilę do łazienki i wrócił stamtąd z rolką szarego papieru toaletowego.

„Co za cham” – pomyślał inżynier, ale nic nie rzekł na tę grubiańską metaforę.

– Donosiło się w młodych latach – gospodarz rozpoczął własną spowiedź. – Człowiek był szczeniakiem, nie miał na panienki, to co było robić? Lepiej donosić, niż kraść. Czystsza robota. Wina bez kary. I takie intelektualne zajęcie. No bo co taki, dajmy na to, pisarz robi? Najpierw się ludziom przygląda, potem pisze, a potem mu za to płacą. Ze mną tak samo było. A jak taki pisarz książkę wyda, to nie zawsze chcą go czytać. A u mnie sukces był murowany. Jak ci oficerowie uważnie mnie analizowali, każde słowo obracali wte i wewte. To chyba na uniwersytetach Miłosza tak nie studiują, profesorska ich mać. I taki pisarz to nie ma żadnego wpływu na rzeczywistość, a ja miałem. Miałem niemały wpływ na dalsze losy moich bohaterów. Zwykle zgubny, to prawda, ale jak się powieść kończy happy endem, to to marna literatura jest raczej. A w falowcu było o czym pisać. Tutaj lisy, borsuki zimowały. I taki jeden wariat był, co mu się uroiło, że jest ważnym cenzorem. Ale najlepszą rzecz

odkryłem u takiej jednej babci w kawalerce. Nie uwierzysz, gdzie ona swoich trzech opozycjonistów trzymała!

– W pawlaczu?

– Skąd wiesz? Jak ich milicja wyprowadzała skutych do więzienia, to im się aż oczy świeciły. Ze szczęścia. Każda najmniejsza cela lepsza niż ta ich trumienna skrytka. Tak im się w tym więzieniu spodobało, że siedzieli aż do okrągłego stołu. No, paru takie wczasy załatwiłem. Jak przyszła ta niby wolność, nie mówię, miałem pietra. Myślałem, że będą rozliczać od góry do dołu. Ale wtedy wezwał mnie mój oficer prowadzący i mówi: „Ty się, Waldek, niczego nie bój. Tej historii już nie ma”. I dał mi to.

TW wręczył inżynierowi szarą rolkę papieru.

– Tu są wszystkie akta. Zdążyli je wywieźć do Świecia i przemieścić. Nikt nam już nic nie zrobi. Możesz to sobie zatrzymać jako pamiątkę. Serio mówię. Mój oficer dał mi na drogę parę worków. Od dwudziestu lat go używam i wciąż jest.

Inżynier trzymał w ręku rolkę. Była lekka i on poczuł się na początku lekko. Ale już po chwili wina bez kary zaczęła mu ciążyć, lekkość bytu okazała się nieznośna. Inżynier rozdarł papier i zaczął odwijać go z rolki. Studiował go uważnie jak cenny papirus. Oficer się mylił. Nie wszystkie ślady udało się zatrzeć. Wśród zgrubień szorstkiego papieru wyraźnie widać było niebieski atrament, resztki czcionki, tusz pieczętek, którym przypieczętowano ludzki los. Może to właśnie na tej rolce zachował się jego podpis? Ten, którym zrujnował Miotkowi życie?

Inżynier obracał rolkę historii w rękach starych, pomarszczonych, pełnych brązowych plam. To były jego ręce. To była jego historia. Tak właśnie się w niej zapisał.

– Pójdę już – powiedział, wstając z trudem.

– Szkoda, fajny z ciebie gość. Dawno mi się tak dobrze z nikim nie gadało. Poczekaj chwilę, jeszcze ci coś pokażę.

Waldek przykucnął na podłodze i zaczął majstrować przy nowoczesnych wzmacniaczach.

– Zainstalowałem sobie kino domowe na balkonie. Dźwięk niesie na całe Przymorze. Nazywają mnie królem osiedla. Tańczą tak, jak im zagram.

Łomot zagłuszył jego przechwałki. Bateria głośników ryczała z balkonu rymowany manifest do mieszkańców blokowisk:

„Wszyscy Polacy to jedna rodzina”.

Pulsujące decybele wdzierały się przez niedomknięte okna, wirowały w powietrzu i płoszyły przycupnięte na żerdziach gołębie. Waldek znów miał władzę nad ludźmi i nad światem. Inżynier zakrył uszy i wybiegł na klatkę. Wyminęła go kobieta z płaskim kartonowym pudłem pod pachą. Inżynier przyspieszył kroku. Gdy mijał rok osiemdziesiąty czwarty, z lufcika dobiegło go rżenie radia.

– Mówi Radio Marność Gdańska. Nadajemy specjalne wydanie naszej audycji.

A potem odbiornik zaczął krztusić się jakąś natchnioną, niezrozumiałą pieśnią.

– Waligórom zęby kradł – pojął tylko inżynier i odruchowo znów zakrył uszy.

Dwie klatki dalej zatarasował mu drogę prywaciarz.

– Panie, ja tam w cuda nie wierzę, ale to jest cud – wymamrotał niepewnie. – Poszłem tam, gdzie mi pan powiedział. Patrzą, a w wannie pływa ostatni karpik. Tyciusi – przybliżył do siebie dwa palce. – Wziąłem go, co było robić, zapłaciłem jakieś grosze, zawinałem w gazetę i przyszedłem tutaj. Już po drodze czułem, że coś ciężkiego niosę.

Rozwinąłem gazetę, a tam taaaka ryba. Królewski karp. Ale się będzie Basia cieszyć. Dziękuję, sąsiedzie.

Inżynier skinął głową i ruszył dalej. Nie chciało mu się tłumaczyć osłupiałemu prywaciarzowi zagadki pływającej w strumieniu czasu ryby.

Na następnej klatce bawili się chłopcy. Do czterech rogów chusteczki jednorazowej przywiązywali dwie grube nitki, tworząc w ten sposób mały spadochron. Produkowane przez nich seryjnie spadochrony przeznaczone były dla żołnierzyków różnej broni i różnych epok. Jeden dostał się trębaczowi napoleońskiej Starej Gwardii, drugi – piechurowi z kampanii wrześniowej, trzeci – giermkowi spod Grunwaldu. Chłopcy zakładali im białe czasze na ramiona, a potem z namaszczeniem spuszczaali spadochroniarzy z dziesiątego piętra. Inżynier rozpoznał jednego z chłopców.

– Bartku, nie szkoda wam zabawek?

Bartek spojrzał na niego zgorszony.

– To nie są zabawki. To są żołnierze. Oni się stąd ewokują. Falowca nie da się dłużej bronić.

Inżynier przyznał mu w duchu rację i przyspieszył kroku. Był znużony dzisiejszym dniem i całą swoją wędrówką. Gdy dotarł do domu, wszedł najpierw do łazienki. Wychleptał litr wody bieżącej z kranu, spojrzał w lustro, a potem na swoje ręce. Były młode i bezużyteczne. Usiadł w fotelu naprzeciw ametysta i zmierzył się z nim wzrokiem. „Twoja to wina, ty durny kineskopie, ty ciemna maso, ty szara emisjo. Gdybym trochę poczekał, gdybym poczekał te głupie trzydzieści pięć lat, mógłbym całe mieszkanie wytapetować kolorowymi ekranami cieńszymi niż to twoje wystające pokrętko. Nie potrzebowalbym judaszowych talonów”.

Wypalił papierosa i wstał. Ciągnęło go do pokoju dziewczynek. Podróż w czasie stały się jego nałogiem, a ta była jedyną, jaką mógł odbyć wstecz.

Przekraczając próg, znalazł się na powrót w roku siedemdziesiątym czwartym. Przez ruiny miasta z drewnianych klocków przebrnął do dziecięcego biurka. Leżał na nim album. Ten sam album, który oglądał z córeczkami na kilka dni przed ich zniknięciem. Otworzył go. Zaczął wertować. Coraz szybciej i szybciej. Coraz bardziej nerwowo. Gdzie są dziewczynki? Gdzie jest żona? Zniknęły z jego życia. Zniknęły z tego pokoju. Zniknęły z albumu. Na jego czarnych kartach pozostały po nich ślady zakrzepłego kleju. Żona tuż przed ucieczką musiała wyrwać stąd wszystkie cenne fotografie. Ostały się tylko, nikomu niepotrzebne, zdjęcia inżyniera: pamiątki z jego delegacji, uściski władz partyjnych i rządowych, podobizny zaprojektowanych przez niego bloków. Z jednej z kart spoglądała na niego wielkimi plastikowymi oczami wściekle szara krowa z soczyście szarymi kwiatami na boku. Był też falowiec sfotografowany z lotu ptaka. Na początku inżynier przerzucił tę stronę obojętnie, ale coś kazało mu do niej wrócić. Tak, fotografia wyglądała inaczej niż zwykle: była pobazgrana niebieskim długopisem. Dziecięca, nieporadna ręka dorysowała na szarym niebie latawiec. Ten sam, który tyle razy obiecywał swoim córkom.

Inżynier zamknął album i zapłakał. Zapłakał łzami wielkimi jak jego wina. I nie myślał w tej chwili wcale o falowcu, o Antku, o donosach na kolegów, o umizgiwaniu się władzy, o rozkładzie rodziny i degrengoladzie własnego „ja”. A może wszystkie te myśli zbiegły mu się w jedną – rozpaczliwą, obsesyjną: „Dlaczego nie zbudowałem córkom latawca?”.

Wina puchła i rozsadała mu głowę. I wtedy, nie wiedzieć czemu, przypomniał sobie zakładową wycieczkę do kościoła franciszkanów w Gdańsku. Przewodnik opowiadał im o dawnych funeralnych zwyczajach gdańszczan. Mówił, jak to u wejścia do świątyni pod posadzką umieszczano niegdyś – zgodnie z ich ostatnią wolą – zwłoki największych

grzeszników. Było to wyrazem ich bezbrzeżnej pokory – każdy wchodzący wierny deptał ich doczesne szczątki. Miało też jeszcze jeden dodatkowy sens: grzesznik mógł osiągnąć zbawienie dopiero wówczas, gdy na płycie nagrobnej podeszwy wiernych zatarły jego wykute w kamieniu imię. Wówczas inżynier nie zwrócił na tę informację uwagi, teraz pojął nagle, że jest ona kluczem do jego własnego wybawienia.

„Wina tkwi w człowieku tak głęboko, że może zostać zmazana tylko razem z jego imieniem. Wina wżera się w samo jądro człowieczeństwa. Aby zniszczyć winę, trzeba zniszczyć człowieka. Trzeba zdeptać go tak, by nie pozostał po nim żaden ślad”. Wstał od biurka i ruszył do pracowni, deptając po drodze rozrzucone klocki.

Poczuł, jak wstępuje w niego nieznana mu siła. Szarpnął pierwszy z wiszących na ścianie dyplomów. Gwóźdź wypadł z kawałkiem tynku, pękła i rozprysła się na parkiecie szyba. Następna rozbiła się w drobny mak. Najdłużej mocował się z dyplomem za falowiec. Dyplom ten wisiał na solidnym, dobrze zakrzywionym haku. Inżynier nawet nie zauważył, że wyrywając go na siłę, pokrwawił sobie dłoń.

Przyniósł z kuchni zieloną nylonową siatkę i wrzucił do niej wszystkie okaleczone dowody swojego istnienia. Zaniósł je do zsypu i ciskał po kolei w jego otchłań, z przyjemnością wsłuchując się w dźwięki rozbryzgującego się na poszczególnych piętrach szkła. Gdy żarłoczna gardziel zsypu pochłonęła już wszystko, inżynier wrócił do domu i – tak jak stał – rzucił się na łóżko.

Zasnął kamiennym snem. I przyśnił mu się falowiec. Z dziesiątego piętra spadał w letnią noc kosmiczny rój telewizorów. Ich ekrany rozbłyskały w ciemności, pokazując przedziwne obrazy. Był na nich polski papież z białymi skrzydłami anioła, był generał bez twarzy, z samymi tylko ustami, co wypowiadały wojnę, był polski kosmonauta huśtający się na

Księżycu, byli polscy piłkarze grający w nogę głową radzieckiego arbitra, był płot stoczniowy, z którego wyrosły kwiaty żarłoczne jak lwie paszcze, i była Bromba, która patrzyła na niego błękitno-szarymi oczyma Agaty. A potem przyśnił mu się latawiec. Trzymał go w ręku na długiej linie, a on szybował ku niebu, koziołkując i przekomarzając się z wiatrem. W pewnej chwili niebo poszarzało, a latawiec zaczął opadać. Ciężył mu długi, pofalowany ogon. Inżynier przyjrzał się mu uważnie. Ogon miał okna, drzwi i galerie i ciągnął się aż na pół mili. „Zbudowałem latawiec z betonu” – pomyślał inżynier i zasnął głęboko, bez snów.

KLATKA D

Szary hipopotam ryczał rozdrażniony. Inżynier zaspaną ręką wymacał słuchawkę.

– Dzień dobry – usłyszał głos kadrowej. – Dzwonię, bo wszyscy niepokoją się o pana. Wczoraj nie było pana w pracy. Jeden dzień, wiadomo, trzeba odpocząć po urlopie, ale dzisiaj też pana nie ma. Dobrze, że zamontowano panu wreszcie ten telefon. Czy coś się stało?

– Tak, stało się bardzo wiele. Ale pani i tak tego nie zrozumie. Zapomnijcie o mnie.

Odłożył słuchawkę, przeciągnął się leniwie i zaczął powoli szykować się do drogi. Pozostała mu ostatnia klatka. Zmierzał ku niej powoli, jakby próbując poczuć mijany przez siebie czas. Na galeriach nie było żywego ducha, nawet w pierwszej klatce stanu wojennego, gdzie wszyscy szykowali się do wigilii. Mimo przedpołudniowej pory w oknach paliły się tu już kolorowe światełka, a przez lufciki wydostawał się zapach bigosu i dźwięk nadawanych w radiu pastorałek. Inżynier przebrnął przez cztery dekady i stanął u ostatnich wrót. Na drzwiach wisiała kartka: „W dniu dzisiejszym, tj. 30 maja 2015 roku, w godz. 12.00–16.00 zapraszamy wszystkich mieszkańców i gości na Wielkie Święto Falowca”. Obok kartki

przylepiono wydrukowany na zachodnim, błyszczącym papierze kolorowy plakat zawierający szczegółowy program imprezy. Inżynier stwierdził z żalem, że nie potrafi już odczytać tak malutkich liter.

– Mam dzisiaj szczęście – powiedział ktoś za jego plecami. – Zwykle ta klatka jest zamknięta na klucz, a mojego kolegi, niestety, nie stać na domofon. Muszę walić w drzwi, aż usłyszysz w drugim końcu korytarza. Wchodzi pan?

Nieznajomy przepuścił go w drzwiach, a potem zastukał do jednego z mieszkań. Inżynier spojrzał na zegarek. Była za pięć dwunasta. Miał jeszcze chwilę na samotny rekonesans, zerknął więc ciekawie przez barierkę. Nie zauważył nigdzie dwustumetrowego drapacza chmur. Po drugiej stronie ulicy zieleniły się tylko dwa nowe kilkunastopiętrowe wieżowce. Inżynier odczytał wielki kolorowy napis na łączniku pomiędzy blokami: „Cztery Oceany”. „Cztery oceany? – zdziwił się. – W szkole uczyli mnie, że są tylko trzy. W tym kapitalizmie wszystkiego jest więcej. Jakiż mógłby być ten czwarty? Ocean Lodowaty? Brrr... Nie chciałbym mieszkać w Oceanie Lodowatym”.

Na razie w jego miejscu lśniła tylko gigantyczna, ogrodzona płotem kałuża. Przed Galerią „Przymorze” oddział emerytów ćwiczył w czworoboku jogę. „Śmieszni ci staruszkowie na jednej nodze – pomyślał. – A ci jeszcze lepsi”. Od strony morza zbliżał się drugi zastęp emerytów z kijkami narciarskimi w ręku. Krzepcy siedemdziesięciolatekowie płci obojga poruszali się jak narciarze biegowi, ale inżynier nie dojrzał ani nart na ich nogach, ani tym bardziej śniegu na majowym trotuarze. „Świat zwariował” – orzekł z pełnym przekonaniem. W tej chwili drzwi galerii otwarły się i stanął w nich młody człowiek w niebieskich okularach.

– Nie wie pan, czy mieszka tu ktoś z Wilna?

– Nie mam pojęcia, jestem pierwszy raz na tej klatce – odparł zgodnie z prawdą inżynier.

– Pan też gra?

– Na czym?

– Jak pan nie gra, to panu pokażę. Piętro niżej znalazłem takiego oto hinta: „Pani spędzająca czas wolny na pogaduszkach pracuje w tej samej klatce, w której mieszka smakoszka kołdunów”. Jeśli kołduny, to Wilno, prawda?

Inżynier skinął niepewnie głową. Młody człowiek wypatrzył coś na ścianie i ze zwinnością żbika rzucił się w kierunku znaleziska. Zerwał z tynku maleńką karteczkę, przeczytał ją ze zmarszczonym czołem i pieczołowicie schował do kieszeni. Potem z innej kieszeni wyciągnął malutki aparacik, pstryknął i wycofał się z galerii.

„James Bond – pomyślał o nim z podziwem inżynier. – Pewnie jest na tropie jakiegoś groźnego przestępcy”.

Po chwili drzwi znów się otwarły i na klatkę wparowała grupa nastolatek w czarnych ubraniach i podartych rajstopach. Jedna z nich miała na sobie bluzę z trupią czaszką.

– Pani Helga lubi kurczaka! – zawołała.

– Nie, to nie tutaj – orzekła inna.

– Ale zajebisty widok! – trzecia – w makijażu za mocnym jak na jej wiek, przechyliła się przez barierkę tuż obok ramienia inżyniera.

– Zmywamy się stąd – zarządziła odwrót najgrubsza, w króciutkiej czarnej sukience odsłaniającej przed światem wątpliwe uroki jej masywnych ud.

„Co się tu dzieje? Czyżby znowu wojna? – pomyślał z niepokojem inżynier. – Wszyscy mówią szyfrem, ulicami maszerują komanda emerytów uzbrojonych w kijki, inne oddziały ćwiczą...”

Nie zdążył dokończyć myśli, gdy na klatce pojawiło się dwóch czterdziestolatków w eleganckich kurtkach.

– Dzień dobry – powiedzieli grzecznie, wchodząc. Obaj nieśli coś w rękach.

– Uwalniamy mrówki – jeden z nich uśmiechnął się przepraszająco.

Z falowca poszybowwały dwie otwarte czasze chusteczek higienicznych.

– Pamiętasz, jak w osiemdziesiątym roku ewakuowaliśmy w ten sam sposób żołnierzy? – zapytał jeden z nich i położył swemu towarzyszowi rękę na biodrze. Obaj spojrzeli na siebie z dziwną tkliwością.

– A pan nie uwalnia mrówek? – zapytał inżyniera ten drugi, przyciskając rękę kolegi do własnego biodra. – Można pobrać je na dole, ale spadochron trzeba zrobić samemu.

W tym momencie na klatkę wszedł mężczyzna z dziesięcioletnią odświeżnie ubraną dziewczynką. Oni też chcieli uwolnić swoje mrówki. Dziewczynka jednak, zamiast podejść do barierki, zaryła bućkami w beton i zaczęła histerycznie krzyczeć.

– Tato, popatrz, tam jest szpara. Jak tu wszystko strasznie wygląda. Ten blok się zaraz zawali, uciekajmy stąd, tato.

Ojciec rozejrzał się lękliwie po galerii i chyba przyznał swojej córce rację, bo ewakuował się niezwłocznie razem z dzieckiem, nie dbając o los powierzonych im mrówek. W drzwiach wyminęli się z grupą studentów. Jeden z nich, w czapce z polibudy, obwieścił inżynierowi:

– Prawdopodobnie już wiemy, kto lubi supkę pomidorową. A pan?

– Ja też lubię. Każdy chyba lubi.

– Ma pan rację. Ale to jest gra miejska inspirowana zagadką Einsteina. Możemy wytypować tylko jedną osobę. Przepraszam, mam telefon.

Wyjął z kieszeni bondowski czarny aparacik na długim, zakotwiczonym w uchu sznurku i zaczął mówić coś do siebie, śmiejąc się głośno jak wariat.

– Co będzie dziś na obiad? Pomidorówka! Skąd wiedziałem? Wyszło mi z rachunku prawdopodobieństwa. Pa, mama, nie wiem, kiedy wrócę.

Chłopak oparł się o barierkę, pstryknął sobie aparacikiem prosto w twarz, schował go do kieszeni i zadowolony dołączył do studenckiej braci. Na galerii przybywało ludzi. Jedni uwalniali wycięte w deszczułce i dociążone magnesem sylwetki mrówek, inni szukali konesera zupy pomidorowej, jeszcze inni podziwiali rozległą panoramę zatoki. W pewnej chwili otwały się drzwi i na klatkę weszło gęsiego trzydziestu Japończyków. Każdy z nich miał w ręku nieduży, całkiem płaski ekran i wymachiwał nim na prawo i lewo, pstrykając bez opamiętania.

„*Science fiction*” – pomyślał inżynier.

Grupie Japończyków przewodził niższy od nich, korpulentny Polak z wielką kolorową parasolką rozpiętą nad głową jak spadochron. W usta przewodnika nabożnie wpatrywał się japoński tłumacz.

– Wjechali państwo na dziesiąte piętro jednego z najciekawszych budynków modernistycznych w Polsce.

Japończycy pokiwali głowami z podziwem.

– Ma on długość 860 metrów, co plasuje go na trzecim miejscu wśród najdłuższych budowli Europy, po wiedeńskim Karl-Marx-Hof i rzymskim Il Serpentine, czyli węzu wybudowanym później, na początku lat osiemdziesiątych XX wieku. Falowiec też przypomina węża albo przybijającą do morskiego brzegu falę.

Japończycy znowu pokiwali głowami z zachwytem.

– Oficjalnie zameldowanych jest tu zazwyczaj nie więcej niż sześć tysięcy osób, ale faktyczna liczba mieszkańców dochodzi niekiedy do dwunastu tysięcy. Po drugiej stronie ulicy, która wcześniej była niezabudowana, w ostatnich latach powstał kompleks nowoczesnych wieżowców. Od tej chwili ulica ta stała się najgęściej zaludnioną arterią

w Trójmieście. Szacuje się, że na odcinku długości zaledwie jednego kilometra zamieszkuje obecnie dwa procent populacji całego Gdańska.

Japończycy pokiwali głowami ze zrozumieniem.

– Mieszkania w falowcu są na ogół małe. Z myślą o młodych zaprojektowano tu szereg kawalerek o wielkości siedemnastu metrów kwadratowych. Było to rozwiązanie wizjonerskie. Dziś takie mieszkania sprzedają się najlepiej, w Warszawie hitem sezonu są kawalerki dwunastometrowe.

Japończycy pokiwali głowami z aprobatą.

– Falowiec był niejednokrotnie odwiedzany przez znamienitych gości. Podziwiał go z okien tramwaju prezydent Francji Valéry Giscard d'Estaing, który – kto wie – być może marzył o wzniesieniu podobnych bloków na brzegach Normandii. W październiku 1991 roku gościła tu córka królowej Elżbiety, księżniczka Anna, która być może przemyśliwała o wykupie falowca i przerobieniu go na kolejną królewską rezydencję.

Japończycy pokiwali głowami z uwielbieniem.

– Falowiec był też miejscem bardzo smutnych wydarzeń. Skokiem z dziesiątego piętra zakończyło tu efektownie swoje życie wielu mieszkańców bloku i całego Trójmiasta. Skakali stąd znani muzycy, inżynierowie, młodzi narkomani.

Japończycy znowu pokiwali głowami z uznaniem.

– Statystyka falowcowych samobójstw została przez policję utajniona, co dodatkowo rodzi plotki o skali zjawiska. W każdym razie odradzam państwu spacer pod galeriami falowca. Chyba że zaopatrzą się państwo w solidny parasol z logo naszej agencji.

Japończycy przyjęli tę ofertę z wyraźnym zainteresowaniem.

– Pomimo że falowiec ma zaledwie czterdzieści lat, pojawił się projekt, aby wpisać go do rejestru zabytków ze względu na jego unikatowe walory

architektoniczne i społeczne, które w czasie wolnym będą państwo mogli sami podziwiać. Czy są jakieś pytania albo uwagi?

Starszy siwawy Japończyk podniósł w górę dwa palce. Przybliżył się do niego tłumacz.

– Pan mówi, że falowiec to druga Japonia.

Japończycy pokiwali głowami na znak poparcia i rozproszyli się w poszukiwaniu wielbiciela egzotycznej dla nich zupy pomidorowej z makaronem.

Wkrótce potem w narastającą ciżbę ludzką zaczęła się wbijać ekipa telewizyjna z ultranowoczesną, lekką kamerą. Łysiejący pan redaktor w czerwonych okularach i prążkowanej koszuli wodził wzrokiem po tłumie, szukając swojej ofiary. Wypatrzył inżyniera.

– Czy mógłby pan udzielić nam krótkiego wywiadu? – wymierzył mu mikrofon prosto w usta. – Jest pan jednym z najstarszych mieszkańców falowca. Czy mieszka pan tu od początku?

– Tak – odpowiedział inżynier.

– Znakomicie. W takim razie pamięta pan pewnie ten legendarny pionierski okres jego zasiedlania?

– Tak.

– Wspaniale. A jak się tu panu mieszka? Ten budynek budzi skrajne emocje. Jedni wychwalają jego niezwykłą modernistyczną architekturę i zapierające dech w piersiach widoki, innych przytłacza on swoją skalą, która skazuje mieszkańców na anonimowość i jest źródłem wielu patologii. Czy prawda jak zwykle leży po środku?

Redaktor podsunął mu mikrofon, by po raz kolejny nagrać jego wyczerpujące „tak”, ale tym razem inżynier pokręcił głową.

– Nie wiem, gdzie leży prawda. Niech pan pyta innych. Ja już naprawdę nie wiem, co myśleć o moim własnym dziele.

– Pana dziele?

– Tak, jestem głównym projektantem falowca. Zaprojektowałem tę galerię, na której teraz stoimy.

– A widzi pan, jakiego mam nosa – ucieszył się redaktor. – Z tak gęstego tłumu wyłuskałem właśnie pana. No to czeka nas dłuższy wywiad.

Postukał palcem w mikrofon i zakomenderował kamerzyście:

– Kręcimy jeszcze raz.

Kamera ruszyła.

– Jesteśmy na dziesiątym piętrze falowca – niezwyklego bloku wzniesionego na gdańskim Przymorzu w początkach lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku. W tych odległych czasach polscy architekci porywali się na wiele śmiałych projektów, o których nie mogliby zamarzyć w naszej epoce drapieżnych deweloperów. Chciałbym przedstawić naszym telewidzom jednego z gigantów polskiej myśli architektonicznej, kogoś, kto zaprojektował blok, który – podobnie jak mur chiński – widoczny jest z orbity okołozemskiej. Nie byłem na orbicie, nie sprawdzałem, ale już stąd widzę, że dokonał pan czegoś kosmicznego. Czy jest pan z siebie dumny?

Inżynier zawahał się. Redaktor w czerwonych okularach piał dalej wniebowzięty.

– Cóż za niebywała skromność! Nasz rozmówca wydaje się onieśmielony swoją jakże zasłużoną sławą. Cieszę się niepomrotnie, że pomimo wieku i widocznych już niedomagań zgodził się pan na ten ekskluzywny wywiad dla naszych telewidzów. Falowiec kryje w sobie wiele zagadek i tylko pan może pomóc nam je rozwiązać. Czy to prawda, że istniał oryginalny, niezrealizowany projekt związany z kolorystyką falowca? Historycy sztuki twierdzą, że zaginął on jeszcze w latach

siedemdziesiątych XX wieku. Jak w rzeczywistości miał wyglądać falowiec? Czy kiedyś się tego dowiemy? A jaki jest pana ulubiony kolor?

– Szary.

– Szarość to synonim czasów PRL-u, okresu, którym teraz coraz bardziej fascynuje się nasza popkultura. Nie tak dawno gdańska artystka wydziergała falowiec na szydełku i wystawiła go w Zachęcie. Białoróżowy, ciepłutki, oswojony falowiec, każdy z nas chciałby w takim zamieszkać. Czy pan również?

– Nie wiem.

– Bardzo dziękuję panu za rozmowę. Naszym gościem był projektant tego niesamowitego budynku, którego tajemnice będziemy państwu odsłaniać w kolejnych wejściach na żywo. Z Wielkiego Święta Falowca mówił do państwa wasz gdański korespondent Tomek Szypiard.

– Idź to zmontuj – rzucił swojemu asystentowi. – A pan niech poda mojemu koledze nazwisko. Będzie pan w telewizorze.

Redaktor zaczął czyścić swoje czerwone okulary elegancką chusteczką ze słonecznikami van Gogha. Zanim załśniły szkła, przez tłum przedarł się do barierki drugi z jego asystentów. Dźwigał jakiś ciężar zawinięty w szmatę.

– Tomek, ty naprawdę chcesz to tu filmować? Ci ludzie będą nam cały czas włązili w kadr.

– Damy radę. Sam wiesz, że mamy wejścia tylko do trzeciej, a odsłonięcie jakiś kretyn zaplanował na czwartą. Szkoda tylko, że nie będziemy mieć biskupa.

– Tomek, co ty byś zrobił bez ekipy. Patrz, jaki myk wymyśliłem. Pożyczyłem z parafii kropidło. Będę nim machał do kamery lepiej od arcybiskupa.

– Nieźle. Ale ja też mam coś. Widzisz tego zgarbionego staruszka w starym ortalionie?

– W czym?

– Zapomniałem, że ty młody jesteś. W tym wypłowiłym ciuchu, czy jak wy tam teraz mówicie. Wypatrzyłem go w tłumie. Wiesz, kto to jest?

– Nie.

– To główny projektant tego monstrum. Śmieszny dziadek, trochę dziki. Ostatni raz przed kamerą stał w czasach propagandy sukcesu. No mówię ci, żywa skamielina epoki Gierka.

– Ernesta Gierka?

– Niech ci będzie „Ernesta”, młody. Sprowadź go lepiej tutaj, żeby go nam ten tłum nie zdeptał.

Inżynier, mimo pewnego oddalenia i panującego wokoło harmidru, słyszał dokładnie całą ich konwersację. Była mu jednak zupełnie obojętna. Na jego piersiach leżał wielki głaz, który bronił płucom dostępu powietrza. Nigdy dotąd nie czuł się tak dziwnie.

– Pan pozwoli – powiedział do niego asystent. – Chcemy pana o coś poprosić.

Ekipa usunęła gapiów i ustawiła wszystko tak jak trzeba. Inżynier miał tylko pociągnąć za sznurek. Kamera ruszyła.

– Uczestniczymy wszyscy – mówił z emfazą łysiejący redaktor – my tutaj, a państwo przed telewizorami, w historycznym momencie w dziejach Przymorza. Oto po czterdziestu pięciu latach od chwili wbicia pierwszej łopaty w przymorskie łąki, z których miał wyrosnąć ten niesamowity budynek, jego twórca i główny projektant odsłoni na jego fasadzie tablicę z własnym imieniem.

Inżynier szarpnął linkę, asystent zamachnął się kropidłem.

– To nie jest moje imię – wyszeptał inżynier.

– Kamera stop! – zarządził redaktor. – Kurna, a takie było dobre ujęcie. O co panu chodzi? – spojrzał na inżyniera wściekłym wzrokiem.

– To nie jest moje imię – powtórzył ten cichuteńko.

Na marmurowej tablicy widniały trzy imiona i trzy nazwiska. Żadne nie było jego. Znał te imiona dobrze. Należały do jego kolegów z biura – dwóch mężczyzn i jednej młodej dziewczyny, w której mysim warkoczu podkochiwał się nawet przed laty. Asystent redaktora stukał kciukiem w swój czarny bondowski aparacik.

– Nie, no tutaj nie ma żadnego błędu. Dokładnie te same trzy nazwiska projektantów znajdują się pod hasłem „Falowiec” w Wikipedii. Wikipedia się nie myli. A jak właściwie pan się nazywa?

Inżynier czuł, jak głaz na piersiach staje się ciężki niczym diabelski kamień. Pod jego ciężarem serce zaczęło kruszyć się i pękać. Otworzył jeszcze usta, ale zamiast imienia wydostała się z nich biała piana.

* * *

„Ale miałem sen” – pomyślał, przeciągając się w rozkopanej pościeli. Letnie słońce zaglądało do wnętrza przez porwane żaluzje. „Co takiego właściwie mi się śniło? Moja mała Agatka jako dojrzała kobieta. Ponętna jak cholera, omal się w niej nie zakochałem. Edypalny sen. I jakaś wojna mi się śniła. Chińczycy, Wietnamczycy, Japończycy – kto ich tam rozróżni. I krowa na balkonie, wielka jak bydlę. I moi koledzy, Antek i Andrzej, ale jacyś inni, o coś mieli do mnie pretensję. Nie pamiętam, o co. I jakaś bomba czy bromba. A, i jeszcze polski papież, a właściwie nie papież, tylko aktor, który grał papieża. I co tam jeszcze było? Jacyś ludzie, którzy szukali po falowcu konesera pomidorówki, i inni, co chcieli uwolnić swoje mrówki. I wreszcie tablica pamiątkowa, na której zapomnieli wykuć moje nazwisko. Czysty oniryzm i surrealizm. Pospałbym jeszcze”.

Inżynier zwinął się w kłębek, ale zaraz rozwinął go z niego ryk hipopotama.

– Dzień dobry, inżynierze, mam dla was dobrą wiadomość. Resort zakupił do waszej akcji najlepszy koniak świata. Prawdziwy francuski martell. Napój z ponaddwustuletnią tradycją. Przed wojną to się serwowało na transatlantyku Queen Mary. Mam do tego piękną francuską ulotkę. Znaście francuski, *n'est-ce pas? À propos* widzieliście już dziś Miotka?

– Nie widziałem. Jestem na zaległym urlopie.

– Doprawdy? Urlop skończył się wam w czerwcu.

– Zgadza się, urlop mam do końca czerwca. A którego dziś mamy? – zerknął do kalendarzyka. – Dzisiaj jest środa, 18 czerwca.

– Toście nieźle na tym urlopie zabalowali. Dzisiaj jest środa, ale 2 lipca. I na sobotę macie przygruchać do siebie Miotka.

– Zaraz się zbiorę i jadę do biura.

– A co to, na drugą zmianę zaczęliście pracować? Trzecia dochodzi.

– No tak, za późno, pojedę jutro.

– Widzę, że spokornieliście. Dobrze. I żeby mi już więcej takich wyskoków nie było. Jutro przekazemy wam ten cenny trunek. Najdroższy koniak w całym Peweksie. Bez odbioru.

Inżynier ubrał się i wyszedł na balkon, by zapalić swoje ulubione caro. Kamienna pustynia Przymorza parowała od upału. Właściwie to nawet cieszył się na to sobotnie spotkanie. „Pogadamy, trochę go za język pociągnę, ale nie za bardzo, żeby się nie spłoszył. Podelektujemy się martellem. Z mojej inżynierskiej pensji nigdy nie byłoby mnie na taki luksus stać. Każdy coś musi robić na boku, żeby przeżyć. Taki system, nic się na to nie poradzi”.

Wtem coś dużego poruszyło się na balkonie w sąsiedniej klatce. Zza betonowej balustrady wychynął krowi łeb. Inżynier udał, że go nie widzi. Poszedł do łazienki, by się ogolić. W przedpokoju zerknął na ścienny kalendarz, z którego regularnie zrywał kartki. Głosił on z uporem, że jest środa, 18 czerwca 1975 roku. Inżynier wprawnie włożył do maszynki ostatnią żyłkę, z żalem pomyślał o utraconej bezpowrotnie rodzinie i rozprowadził na twarzy biały pieniący się krem. „Wyglądam jak Święty Mikołaj” – uśmiechnął się do lustra.

W tej chwili rozległo się walenie do drzwi. Pełen najgorszych przeczuć wytarł ręcznikiem twarz. Zarzucił koszulę i – wciąż rozchełstany – wychylił się z mieszkania. W progu stała babina w chustce na głowie i w uwalanych błotem gumiakach. W ręku trzymała kosz pełen świeżutkich jaj. A w każdym jajku tkwiła inna historia.

Spis treści

Karta tytułowa

GENESIS

SEGMENT PIERWSZY

KLATKA A

KLATKA B

KLATKA C

KLATKA D

SEGMENT DRUGI

KLATKA A

KLATKA B

KLATKA C

KLATKA D

SEGMENT TRZECI

KLATKA A

KLATKA B

KLATKA C

KLATKA D

SEGMENT CZWARTY

KLATKA A

KLATKA B

KLATKA C

* * *

Karta redakcyjna

© Wydawnictwo WAM, 2018

© Monika Milewska, 2018

Książkę zrealizowano z pomocą finansową Województwa Pomorskiego oraz ze środków Miasta Gdańska w ramach Stypendium Kulturalnego Miasta Gdańska, a także dzięki Stypendium Baltic Centre for Writers and Translators w Visby



WOJEWÓDZTWO
POMORSKIE



Autorka dziękuje panu inżynierowi Jakubowi Kozakowi za obliczenia związane z obecnością krowy na balkonie

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculewicz

Redakcja: Magdalena Mnikowska

Korekta: Anna Śledzikowska

Projekt okładki: Pola Augustynowicz

ISBN 978-83-277-0946-2

WYDAWNICTWO WAM

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003

e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

www.wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIEGARNIA WYSYŁKOWA

tel. 12 62 93 260

e.wydawnictwowam.pl

Plik opracował i przygotował Woblink


woblink.com